

PHILIP KERR

MARCOWE FIOŁKI

Przekład EWA FISZER

Tytuł oryginału MARCH VIOLETS



Mary Read

Mojej Matce

BERLIN, 1936

MEŹCZYŻNA PIERWSZY: My, weterani, jesteŹmy kompletnie lekcewaŹeni. Popatrz na te „marcowe fiołki”, wszystko jest dla nich.

MEŹCZYŻNA DRUGI: Źwięta racja! Gdyby Fűhrer pűzniej wstąpił do partii, zaszedłby duŹo dalej.

Das Schwarze Korps, listopad 1935

Rozdział 1

Dziwniejsze rzeczy zdarzają się w ciemnych snach Wielkiego Nakłaniacza...

Owego ranka zobaczyłem na rogu Friedrichstrasse i Jägerstrasse, jak dwóch facetów z SA zdejmuje ze ścian budynku czerwoną gablotę „Stürmera”. „Der Stürmer” to antysemicka gazeta wydawana przez głównego żydożercę, Juliusa Streichera. Widok wystawionych w tych gablotach na wpół pornograficznych rysunków, przedstawiających aryjskie dziewice nie mogące się wyrwać z objęć długonosych potworów, ma przyciągnąć uwagę mało rozgarniętych czytelników i wzniecić dreszczyk emocji. Szanujący się ludzie nie zwracają na nie uwagi. Co się dziś stało, że tych dwóch facetów z SA kładzie gablotę do ciężarówki, gdzie leży już wiele innych? Wykonywali swoje zadanie niezbyt starannie, parę gablot było już stłuczonych.

W godzinę później zobaczyłem, jak tych samych dwóch mężczyzn zdejmuje jedną z takich *Stürmerkästen* z przystanku tramwajowego przed ratuszem. Tym razem podszedłem do nich i spytałem, co robią.

– Przygotowania do Olimpiady – odpowiedział jeden z nich. – Mamy zdjąć wszystkie te gabloty, żeby nie raziły uczuć cudzoziemców, którzy przyjadą do Berlina na Igrzyska.

Władze wykazują nagle podobną przezorność! Niesłychane!

Pojechałem do domu autem, starym czarnym Hanomagiem, i przebrałem się w mój ostatni przyzwoity garnitur z jasnoszarej flaneli, który przed trzema laty kupiłem za 120 marek. Obecnie trudno już jest znaleźć materiał tej jakości; zamiast masła, kawy i wełny mamy już tylko ersatze. Te nowe materiały da się nosić, ale szybko się niszczą i nie bardzo chronią przed zimnem.

Przejrzałem się w lustrze w sypialni, żeby sprawdzić, jak wyglądam, i wziąłem najlepszy kapelusz. Był to kapelusz z ciemnoszarego filcu z dużym rondem, otoczony czarną rypsovą wstążką. Najzwyklejszy w świecie. Ale tak jak gestapowcy, nosiłem go nasunięty na czoło. W ten sposób zakrywał mi oczy i trudniej było mnie rozpoznać. Ową modę

wprowadziła kiedyś Berlińska Policja Kryminalna, Kripo, i to tam się tego nauczyłem.

Do kieszeni marynarki wsunąłem paczkę papierosów Muratti, wziąłem ostrożnie pod ramię ozdobnie zawinięty pakiet z porcelaną Rosenthala i wyszedłem.

Ślub odbywał się w Luther Kirche na Dennewitz Platz, koło dworca Potsdamer, o parę kroków od domu rodziców panny młodej. Ojciec jej, Herr Lehmann, był maszynistą kolejowym z dworca Lehrter, cztery razy w tygodniu prowadził D-Zug, pociąg pospieszny do Hamburga. Panna młoda, Dagmarr, była moją sekretarką i zupełnie nie wiedziałem, jak sobie bez niej poradzę. Nie to jednak najbardziej mnie w tej chwili martwiło. Ostatnio bowiem często przychodziło mi na myśl, żeby się z nią ożenić. Była śliczna i świetnie potrafiła organizować mi życie, sądzę, że na swój dziwaczny sposób byłem w niej zakochany, jednakże miałem już trzydzieści osiem lat i chyba byłem dla niej za stary, no i zbyt nudny. Nie przepadam za rozrywkami, a Dagmarr była dziewczyną, której należy się trochę radości życia.

Wychodziła więc za lotnika. Na pozór był on kimś, o kim mogłaby marzyć każda panna. Młody i przystojny, w szarobłękitnym mundurze nazistowskiego Korpusu Lotniczego wyglądał jak żywe wcielenie ideału aryjskiego młodzieńca. Ale kiedy poznałem go na weselnym przyjęciu, doznałem rozczarowania. Jak większość członków partii, Johannes Buerckel wyglądał na człowieka, który traktuje siebie niezwykle serio.

Przedstawiła nas sobie Dagmarr. Johannes – było to charakterystyczne dla tego typu ludzi – nim uścisnął mi dłoń, trzasnął obcasami i lekko skłonił głowę.

– Serdecznie gratuluję – powiedziałem. – Szczęściarz z pana. Sam poprosiłbym ją o rękę, ale ja w mundurze nie prezentowałbym się tak wspaniale jak pan.

Przyjrzałem się temu mundurowi z bliska: na lewej kieszonce kurtki zobaczyłem srebrną Odznakę Sportową SA i Odznakę Lotniczą, a nad nimi odznakę partyjną, tę słynną „broszkę strachu”. Na lewym ramieniu miał opaskę ze swastyką.

– Dagmarr mówiła mi, że jest pan pilotem Lufthansy przydzielonym chwilowo do Ministerstwa Lotnictwa, nie sądziłem, że... Dagmarr, mówiłaś mi, że twój narzeczony jest...

– Jest pilotem sportowym.

– No właśnie... Pilotem sportowym. Nie wiedziałem, że nosicie mundury...

Rzecz prosta nie musiało się być detektywem, by odgadnąć, że „pilot sportowy” to jeden z tych ozdobnych eufemizmów panoszących się w Rzeszy i oznacza po prostu pilota przechodzącego tajne szkolenie bojowe.

– Wspaniale wygląda, prawda? – spytała Dagmarr.

– To ty, kochana, wyglądasz pięknie – potulnie zagruchał pan młody.

– Pozwoli pan, że się spytam, czy oczekuje się oficjalnego uznania lotnictwa wojskowego Niemiec?

– Korpus Lotniczy to Korpus Lotniczy – wykręcił się Buerckel. – A pan, Herr Gunther, jest prywatnym detektywem, tak? To musi być bardzo interesujące.

– Jestem prywatnym wywiadowcą – poprawiłem go. – Czasem jest to interesujące.

– Jakimi sprawami pan się zajmuje?

– Niemal wszystkimi poza rozwodami. Ludzie zachowują się dość zaskakująco, kiedy ich żony lub mężowie zaczynają ich zdradzać, a także wówczas, kiedy sami mają coś na sumieniu. Raz zaangażowała mnie kobieta i zleciła, bym zawiadomił jej męża, iż zamierza się z nim rozstać. Bo bała się, że gdy ona mu to powie, dostanie w łeb. W rezultacie to ja dostałem po łbie i spędziłem trzy tygodnie w szpitalu Św. Gertrudy z kołnierzem ortopedycznym na szyi. Odtąd nie wtrącam się do spraw matrymonialnych. Przyjmuję zlecenia dotyczące śledztwa w sprawach ubezpieczeniowych, pilnuję ślubnych upominków i staram się odnaleźć osoby zaginione, zarówno takie, których miejsca pobytu nie zna policja, jak i takie, o których wie, gdzie ich szukać. Tak, w tej dziedzinie, odkąd nastął narodowy socjalizm, bardzo się zwiększyło zapotrzebowanie na moje usługi. – Uśmiechnąłem się układnie i podniosłem znacząco brwi. – Cóż, wszyscy skorzystaliśmy na objęciu władzy przez nazistów. Jesteśmy prawdziwymi „marcowymi fiołkami”.

– Nie zwracaj uwagi na to, co wygaduje Bernhard – wtrąciła się Dagmarr. – On ma takie dziwaczne poczucie humoru.

Miałem zamiar powiedzieć dużo więcej, ale orkiestra zaczęła grać i Dagmarr, jakże rozsądnie, zabrała męża na parkiet, gdzie zaczęto ich gorąco oklaskiwać.

Znudził mi się serwowany szampan i poszedłem do baru poszukać prawdziwego drinka. Zamówiłem Bocka i Klares. Klares to czysty bezbarwny alkohol z kartofli, za którym przepadam. Szybko je wypilem i poprosiłem o następne.

– Na weselach zawsze się człowiekowi chce pić – powiedział stojący obok mnie niski mężczyzna, był to ojciec Dagmarr. Stał tyłem do baru, z dumą wpatrywał się w córkę. – Wygląda jak obrazek, prawda, panie Gunther?

– Nie wiem, co teraz bez niej zrobię – poskarżyłem się. – Może mógłby pan na nią wpłynąć, żeby zmieniła zdanie i nadal u mnie pracowała. Jestem pewien, że przydadzą im się pieniądze. Młode pary zawsze potrzebują pieniędzy.

Herr Lehmann pokręcił głową.

– Niestety, Johannes i jego Narodowo-Socjalistyczny rząd uważają, że dla kobiety

stosowne jest tylko jedno zajęcie, które powinno się zacząć dziewięć miesięcy po ślubie. – Zapalił fajkę i z filozoficzną miną zaczął z niej pykać. – Tak czy owak wystąpią chyba o tę Państwową Pożyczkę Dla Młodych Par, a wtedy nie wolno jej już będzie pracować, prawda?

– Cóż, na pewno ma pan rację – odpowiedziałem i wychyliłem do dna kieliszek. Sądząc z jego miny uznał mnie za pijaka, dorzuciłem więc: – Niech pan nie sądzi po pozorach, Herr Lehmann. Zwykle tym Klaresem przepłukuję tylko usta, ale dziś jestem zbyt leniwy, żeby go wypluć.

Roześmiał się, poklepał mnie po plecach i zamówił dwa duże kieliszki. Wypiliśmy i spytałem go, dokąd szczęśliwa para wybiera się na miodowy miesiąc.

– Nad Ren – odparł. – Do Wiesbaden. Pani Lehmann i ja byliśmy w Königstein. To piękny zakątek. Ale Johannes wkrótce będzie musiał wrócić, bo ma pojechać na wycieczkę w ramach Kraft durch Freude.

– O! A dokąd to?

– Nad Morze Śródziemne.

– Pan w to wierzy?

Zachmurzył się.

– Nie – odpowiedział dość ponurym tonem – Nie podzieliłem się swymi przypuszczeniami z Dagmarr, ale sądzę, że wyślą go do Hiszpanii.

– ... czyli na wojnę.

– Tak, na wojnę. Mussolini pomaga Franco, więc Hitler chce także wziąć udział w tej zabawie. Nie uspokoi się, póki nie zafunduje nam jakiejś cholernej wojenki.

Wypiliśmy następną kolejkę i po chwili tańczyłem już z miłą ekspedientką z działu pończoch z Domu Towarowego Grunfelda. Miała na imię Carola, namówiłem ją, żeby ze mną wyszła, i podeszliśmy do Dagmarr i Buerckela jeszcze raz życzyć im szczęścia. Dosyć mnie zdziwiło, że Buerckel wybrał ten moment, by wspomnieć o moich wojennych zasługach.

– Dagmarr opowiadała mi, że był pan na froncie tureckim. – Czyżby trafił się myślą o Hiszpanii? – I że otrzymał pan Żelazny Krzyż.

Wzruszyłem ramionami.

– Drugiej klasy. – A więc to o to mu chodzi, pomyślałem. Lotnikowi marzy się sława.

– Ale zawsze. Führer też ma Żelazny Krzyż drugiej klasy.

– Cóż, nie wiem, jak z nim było, ale jeśli chodzi o mnie, to zauważyłem, że jeśli żołnierz jest na froncie i zachowuje się w miarę przyzwoicie, to pod koniec wojny stosunkowo łatwo może się dochrapać krzyża drugiej klasy. Wie pan, większość krzyży pierwszej klasy otrzymują ci, co już leżą na cmentarzu. – Temat zaczął mnie wciągać. – Kto

wie – oznajmiłem – jeśli wszystko dobrze pójdzie, pan także go otrzyma. Będzie świetnie wyglądał na tym pięknym mundurze.

Twarz Buerckela stężała. Nachylił się i czując mój oddech powiedział:

– Jest pan pijany – orzekł.

– *Si* – odpowiedziałem i lekko chwiejąc się na nogach odwróciłem się. – *Adios, hombre.*

Rozdział 2

Dopiero o pierwszej w nocy dotarłem do mojego mieszkania przy Trautenaustrasse w dzielnicy Wilmersdorf. Jest to bardzo skromna dzielnica, ale jednak lepsza niż Wedding, gdzie się wychowałem.

Wstyd mi było, że w obecności Dagmarr naigrawałem się z Buerckela i że w Tiergarten nad tą sadzawką ze złotymi rybkami posunąłem się wobec Caroli zbyt daleko. Przez dłuższą chwilę siedziałem w aucie i paliłem papierosa. Musiałem przyznać się przed sobą samym, że ślub Dagmarr poruszył mnie bardziej, niż to przewidywałem. Nie należało jednak o tym rozmyślać. Wiedziałem, że nie tak prędko o niej zapomnę, ale mogłem pójść o zakład, że znajdę wiele sposobów, aby o niej często nie myśleć.

Dopiero gdy wysiadłem z auta, zauważyłem, że o dwadzieścia metrów dalej stoi granatowy Mercedes; opierało się o niego dwóch mężczyzn, wyraźnie na kogoś czekali. Jeden z nich rzucił papierosa i ruszył w moją stronę. Staralem się zapanować nad sobą. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłem, że jest zbyt elegancki, by mógł być gestapowcem. Drugi mężczyzna miał na sobie uniform szofera, choć bardziej by do niego pasowała skóra lamparta – był zbudowany jak siłacz występujący w cyrku.

– Herr Gunther? Herr Bernhard Gunther? – Zatrzymał się tuż koło mnie, spojrzałem na niego najgroźniej, jak potrafiłem, nawet niedźwiedź mrugnąłby ślepiami. Bardzo nie lubię, żeby ktoś zatrzymywał mnie przed moim własnym domem o pierwszej w nocy.

– Jestem jego bratem. Bernhard wyjechał.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął. Oczywiście nie uwierzył.

– Herr Gunther, prywatny wywiadowca? Mój szef chce zamienić z panem parę słów. – Wskazał na ogromnego Mercedesa. – Czeka w aucie. Rozmawiałem z dozorcą, powiedział, że pan na pewno wieczorem wróci. Było to już trzy godziny temu, więc – jak pan widzi – długośmy się na pana naczekali. Sprawa jest pilna.

Podniosłem rękę i spojrzałem mrużąc oczy na zegarek.

– Drogi panie, jest pierwsza czterdzieści nad ranem, więc niezależnie od tego, co mi panowie mają do zaproponowania, nie jestem zainteresowany. Padam z nóg, jestem pijany i

chcę się jak najszybciej znaleźć w łóżku. Mam na Alexanderplatz biuro i proponuję odłożyć sprawę do jutra.

Młody człowiek zastąpił mi drogę.

– Nie możemy czekać do jutra – powiedział i uśmiechnął się błagalnie. – Bardzo proszę, niech pan z nim chwilę pogada.

– Z kim?

– Oto jego wizytówka. – Podał mi ją, a ja zacząłem się na nią gapić, jakby była wygrywającym losem na loterii fantowej. Młody człowiek nachylił się i przeczytał głośno tekst, który jeśli w ogóle widział, to do góry nogami.

– „Dr Fritz Schemm, adwokat germański, spółka Schemm i Schellenberg, Unter den Linden, nr 67”. Sam pan widzi, że adres wzbudza szacunek.

– A wzbudza – zgodziłem się. – Ale co robi o tej porze nocy adwokat z tak szacownej spółki? Chyba pan nie sądzi, że wierzę w duchy? – Niemniej poszedłem za nim do auta. Szofer otworzył drzwiczki. Stałem jedną nogą na stopniu i zajrzałem do środka. Pachnący wodą kolońską mężczyzna nachylił się w moją stronę, w mroku nie widać było rysów jego twarzy, a głos był chłodny i nieprzyjazny.

– Pan jest tym detektywem Guntherem?

– A jestem – odpowiedziałem. – Pan zaś musi być – tu udałem, że czytam jego wizytówkę – doktorem Fritzem Schemmem, germańskim adwokatem. – Słowo „germańskim” wymówiłem z przyciskiem nie pozbawionym ironii. Kiedy widziałem je na wizytówkach lub szyldach, zawsze wzbudzało we mnie niechęć, podkreślało bowiem rasową nieskazitelność, a w tym wypadku, skoro Żydom nie wolno było wykonywać zawodu prawnika, stało się zbędne, oznaczało już tylko wyznanie wiary. Nigdy nie określiłbym siebie jako „germańskiego prywatnego wywiadowcę”, równie dobrze mógłbym się nazwać „wywiadowcą antysocjalistycznym”, „wywiadowcą owdowiałym” lub „wywiadowcą luterańskim”, wszystko to było prawdą, choć ostatnio już niepełną, od dawna bowiem przestałem uczęszczać do kościoła. Wielu z moich klientów było Żydami. Przynosiło mi to niemałe zyski (płacili niezwykle punktualnie) i zawsze chodziło o to samo: ktoś z rodziny zaginął. I zwykle moje poszukiwania kończyły się tak samo. Ciało zaginionego wyławiano z kanału Landwehr, gdzie znalazło się z łaski Gestapo lub SA, znajdowano w łódce na Wannsee, gdzie nieboszyk popełnił samobójstwo, a w najlepszym razie nazwisko zaginionego udawało się odszukać na liście więźniów odesłanych do kacetu. Z miejsca więc poczułem antypatię do tego germańskiego prawnika.

Powiedziałem:

– Panie doktorze, jak już przed chwilą wspomniałem pana wysłannikowi, jestem zmęczony i tak pijany, że nie potrafię martwić się tym, co mój menedżer bankowy myśli o moich finansach.

Schemm sięgnął do kieszeni marynarki, a ja nawet nie drgnąłem, co pokazuje, do jakiego stopnia byłem zamroczony alkoholem. Ale on wyjął portfel.

– Zebrałem o panu informacje, podobno można na panu polegać. Potrzebny mi jest pan na parę godzin, gotów jestem zapłacić dwieście marek, czyli tyle co za tydzień. – Położył portfel na kolanie i wyciągnął z niego dwa błękitne banknoty. Było to duże osiągnięcie, miał bowiem tylko jedną rękę. – I zaraz potem Ulrich odwiezie pana do domu.

Wziąłem banknoty.

– Niech to diabli! Ale ostatecznie chciałem się tylko przespać. Mogę to zrobić kiedy indziej. – Schyliłem głowę i wsiałem do auta. – Ruszamy, Ulrich.

Drzwiczki zatrzasnęły się i Ulrich zasiadł za kierownicą, obok niego przycupnął młodzik. Ruszyliśmy na zachód.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Wszystkiego, Herr Gunther, dowie się pan w odpowiednim czasie. – Otworzył barek, który wyglądał tak, jakby ocalał z „Titanica”, i wyjął pudło z papierosami. – Amerykańskie.

Wziąłem papierosa, ale podziękowałem za drinka; kiedy ktoś tak łatwo rozstaje się z dwustu markami jak dr Schemm, należy się mieć na baczności.

– Byłby pan tak uprzejmy zapalić mi papierosa – poprosił Schemm. – Z zapalkami nie potrafię sobie poradzić. Straciłem rękę w armii Ludendorffa podczas oblężenia twierdzy w Liège. Czy był pan w czynnej służbie? – Głos był jedwabisty, Schemm mówił cicho i powoli, w tonie czaiło się okrucieństwo. Takim głosem wyciągało się od człowieka kompromitującego zwierzenia. Taki głos byłby dla niego bezcenny, gdyby pracował w gestapo. Zapaliłem papierosa i rozparłem się na wygodnym siedzeniu Mercedesa.

– Tak, w Turcji. – Nagle tyle osób zaczęło się interesować moim udziałem w wojnie, że chyba powinienem wystarać się o Odznakę Kombatanta. Wyrząłem przez okienko i stwierdziłem, że jedziemy w stronę Grunewaldu, zalesionej dzielnicy na zachód od miasta, w pobliżu rzeki Havel.

– W stopniu oficera?

– Nie, sierżanta. – Wręcz usłyszałem, jak się uśmiecha.

– Byłem majorem – oświadczył, dając mi do zrozumienia, gdzie jest moje właściwe miejsce. – A po wojnie wstąpił pan do policji?

– Nie od razu. Z początku byłem urzędnikiem państwowym, ale nie wytrzymałem

monotonnego trybu życia... Dopiero w 1922 roku zacząłem pracować w policji.

– A kiedy pan przestał?

– Nie przypominam sobie, Herr Doktor, żeby mnie pan uprzedził, kiedy wsiadałem do auta, że czeka mnie przesłuchanie sądowe.

– Przepraszam – powiedział. – Byłem tylko ciekaw, czy wystąpił pan z własnej woli, czy też...

– Czy mnie wylano? Ma pan tupet, Schemm.

– Tak pan sądzi? – spytał niewinnym tonem.

– Dobrze, odpowiem panu na pańskie pytanie. To ja wystąpiłem. Choć pewnie – gdybym z tym zwlekał – wyleciałbym tak jak wszyscy. Nie jestem nazistą, ale nie jestem także Kozi. Bolszewizmu nie cierpię tak samo jak partia. Ale temu nowomodnemu Kripo, czy też raczej Sipo – to nie wystarcza. Uważają, że jak nie jesteś za partią, to jesteś przeciwko niej.

– No i pan, Kriminalinspektor, sam wyszedł z Kripo. – Zrobił pauzę i dorzucił sztucznie zdziwionym tonem: – I to po to, by zostać detektywem w hotelu „Adlon”...

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony – zadrwiłem – że zadaje mi pan pytania, na które sam potrafi pan odpowiedzieć.

– Mój klient stara się zawsze zdobyć możliwie dużo informacji o ludziach, którzy dla niego pracują.

– Ale ja się jeszcze nie zgodziłem. I niewykluczone, że odmówię, choćby tylko po to, by zobaczyć pana minę.

– Byłoby to bardzo nierozsądne. W Berlinie jest co najmniej dziesięciu takich jak pan... prywatnych wywiadowców – wymówił te słowa z lekkim niesmakiem.

– To czemu zostałem zaszczycony wyborem?

– Bo kiedyś, pośrednio, już pan dla mojego klienta pracował. Parę lat temu prowadził pan śledztwo dla Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Germania”, którego głównym udziałowcem jest właśnie mój klient. I kiedy Kripo dopiero łapało trop, panu udało się odzyskać część skradzionych obligacji.

– Pamiętam. – Miałem powody, żeby pamiętać. Była to moja pierwsza sprawa, gdy rzuciłem „Adlon” i zacząłem pracować na własny rachunek. – Miałem dużo szczęścia – dorzuciłem.

– Tego nie należy nie doceniać – pompatycznie oświadczył Schemm. „Jasne – pomyślałem – wystarczy spojrzeć na Führera”.

Byliśmy już na skraju Grunewaldzkiego Lasu; tu, w Dahlem, mieszkali najbogatsi i

najbardziej wpływowi ludzie kraju, tacy jak Ribbentrop. Zatrzymaliśmy się przed ogromną bramą z kutego żelaza umieszczoną w masywnym murze i młodzik wyskoczył, by ją otworzyć. Ulrich ruszył.

– Nie będziemy na niego czekać, jedź – rozkazał Schemm. – Już i tak jesteśmy bardzo spóźnieni. – Przez pięć minut mknęliśmy wysadzaną drzewami aleją, wjechaliśmy na wielkie wysypane żwirem podwórze, z trzech stron otoczone budynkiem. Ulrich stanął koło niewielkiej fontanny i wyskoczył, żeby otworzyć drzwiczki. Wysiedliśmy z auta.

Wokół podwórza prowadziła galeria – drewniane filary, grube belki podtrzymujące daszek. Krążył po niej strażnik z parą groźnie wyglądających dobermanów. Panował tu półmrok, tylko przed frontowymi drzwiami wisiała latarnia; o ile mogłem dojrzeć, chropowate mury domu pomalowane zostały na biało, a dach był mansardowy i bardzo wysoki. W budynku śmiało zmieściłby się hotel należący do kategorii, na którą nie było mnie stać. Za domem rosły drzewa, dobiegł nas stamtąd krzyk pawia wzywającego ratunku.

Dopiero przed samymi drzwiami mogłem się naprawdę przyjrzeć doktorowi. Chyba należał do gatunku przystojnych mężczyzn. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, można by go określić jako dystyngowanego. Był wyższy, niż sądziłem, i ubrany bardzo starannie, choć zupełnie nie brał pod uwagę obecnej mody. Nosił sztywny, wykrochmalony kołnierzyk, którym dałoby się krajać chleb, jasnoszary garnitur w prążki, kremową kamizelkę i kamasze, na tej swojej jedynej ręce miał szarą skórzaną rękawiczkę, a na krótko przystrzyżonych włosach ogromny szary kapelusz z szerokim rondem, które wyglądało jak fosa wokół zamczyska. Wyglądał, jakby był zakuty w starą zbroję.

Poprowadził mnie w stronę ogromnych mahoniowych drzwi, które otworzyły się, a za nimi ukazała się dziwnie szara twarz lokaja; lokaj odsunął się i znaleźliśmy się w wielkim holu. W takim holu człowiek czuł się szczęśliwy, że w ogóle udało mu się przestąpić jego próg. Z dwóch stron prowadziły w górę schody, balaski aż błyszczały bielą, a z sufitu zwisał żyrandol większy od kościelnego dzwonu. Zanotowałem w myśli, że zażądam wyższego niż zwykle honorarium.

Lokaj, który okazał się Arabem, skłonił się nisko i chciał odebrać ode mnie kapelusz.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to wolalbym go zatrzymać – oznajmiłem, miętosząc w palcach rondo. – Łatwiej mi przyjdzie nie połasczyć się na srebro.

– Jak pan sobie życzy.

Schemm oddał lokajowi kapelusz gestem człowieka urodzonego w pałacu. Może i był, ale jeśli chodzi o prawników, to zawsze podejrzewam, że fortunę i pozycję zawdzięczają skąpstwu i kręactwom. Zsunął rękawiczkę tak, jakby jego palce obracały się w stawach we

wszystkie strony, i wrzucił ją do kapelusza. Potem poprawił krawat i poprosił lokaja, by nas zaanonsował.

Czekaliśmy w bibliotece. Według kryteriów Bismarcka lub Hindenburga nie była to pewnie duża biblioteka, między biurkiem wielkości Reichstagu a drzwiami dałoby się ustawić najwyżej sześć limuzyn. Urządzono ją w stylu wczesnego Lohengrina, wielkie belki podtrzymywały sufit, na granitowym kominku płonęła kłoda drzewa, na ścianach wisiała broń. Książek było mnóstwo, takich, jakie kupuje się na metry: niemieccy poeci, filozofowie i prawnicy, wszystkie te nazwiska znałem, bo widywałem je na tablicach z nazwami ulic, na szyldach kawiarni i barów.

Ruszyłem w wędrówkę po tej sali.

– Jeśli nie wrócę za pięć minut, proszę wysłać po mnie ekspedycję ratunkową.

Schemm westchnął i usiadł na jednej ze skórzanych kanap, które ustawiono w odpowiedniej odległości od kominka. Wziął z półki jakieś pismo i udawał, że czyta.

– Czy w takiej chacie nie nawiedza pana uczucie klaustrofobii?

Schemm znów westchnął, tym razem z niesmakiem, niczym panna, którą doleciał zapach dżinu z ust pastora.

– Niech pan usiądzie, Herr Gunther – zaproponował.

Zignorowałem go. Miętosilem w kieszeni moje dwieście marek, pomagało mi to nie zasnąć, podszedłem do biurka i przyjrzałem się jego powierzchni obojętnej zieloną skórą. Leżał tam przeczytany egzemplarz „Berliner Tageblatt”, binokle, pióro, stała ciężka mosiężna popielniczka, w której spoczywał niedopałek cygara, a zaraz obok widać było pudełko hawańskich cygar Black Wisdom. Dopelniał obrazu stos listów i kilka fotografii w srebrnych ramkach. Spojrzałem na Schemma, który wciąż niby to przeglądał gazetę, ale miał przymknięte powieki, i wziąłem do ręki jedną z fotografii. Kobieta była ciemnowłosa i ładna, o dość obfitych kształtach, co mi się zawsze podobało, choć sądząc po jej sukni wiedziałem, że nie wybrałaby mnie sobie jako partnera do pokolacyjnej pogawędki.

– Piękna, prawda? – usłyszałem głos kogoś, kto stał w drzwiach. Schemm zerwał się na równe nogi. Głos był dźwięczny, miał lekki berliński akcent. Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę nędznej postury. Miał czerwoną, obrzękłą twarz, malowało się na niej ukryte przygnębienie. Schemm nisko się uklonił, a ja wymamrotałem jakiś komplement pod adresem widniejącej na zdjęciu dziewczyny.

– Herr Six – zwrócił się do niego Schemm unizonym tonem nałożnicy sułtana – pozwoli pan przedstawić sobie Herr Bernharda Gunthera. – Spojrzał w moją stronę i jego ton dostosował się do mojego niepokąźnego konta w banku. – Oto jest pan Doktor Hermann Six.

– Było to dosyć śmieszne, pomyślałem, że w wyższych sferach wszyscy nosili tytuł doktora. Wyciągnąłem dłoń, mój nowy klient trzymał ją niepokojąco długo w uścisku i wpatrywał się we mnie. Wielu klientów tak robi, uważają się za świetnych znawców ludzi, a nie mają ochoty powierzać swych kłopotliwych problemów komuś, kto wygląda na nieuczciwego chytrusa. Oczy mojego nowego klienta były błękitne, duże i wyłupiaste, dziwnie szkliste, jakby przed chwilą wyszedł z chmury gazu. Nagle zrozumiałem, że ten mężczyzna przed chwilą płakał.

Six wypuścił moją dłoń i wziął do ręki fotografię, której się przyglądałem. Wpatrywał się w nią przez parę chwil i głęboko westchnął.

– To moja córka – powiedział zdławionym głosem. Skinąłem głową. Położył fotografię na biurku i odsunął z czoła siwe włosy przystrzyżone w grzywkę. – Nie żyje.

– Strasznie mi przykro – powiedziałem żalobnym tonem.

– Bardzo niesłusznie – odparł. – Gdyby żyła, nie miałby pan okazji do zarobienia kupy forsy. – Zacząłem się pilnie przysłuchiwać. Ten ton był mi bliski. – Widzi pan, została zamordowana. – Zrobił pauzę czekając na moją reakcję, wielu klientów tak postępowało, ale tym razem zrobiło to na mnie wrażenie.

– Zamordowana... – powtórzyłem niemądrze.

– Zamordowana. – Dotknął swego słoniowatego ucha, po czym schował powykręcane ręce do kieszeni workowatego granatowego ubrania. Nie mogłem nie zauważyć, że mankiety koszuli są wystrzępione i brudne. Nigdy dotąd nie spotkałem żadnego magnata stali (słyszałem, że Herr Six jest jednym z największych przemysłowców w Zagłębiu Ruhry), ale wydało mi się to dziwne. Zakołysał się na nogach i spojrzałem na jego buty, buty dużo mogą nam o człowieku powiedzieć. Była to zresztą jedyna rzecz, której nauczyłem się od Sherlocka Holmesa. Buty Sixa nadawały się tylko do tego, by je natychmiast odesłać do Pomocy Zimowej – to znaczy nazistowskiej organizacji dobroczynnej, której należało oddawać używaną odzież. Cóż, ostatnio niemieckie buty nie należały do najtrwalszych. Ersatz skóry przypominał tekturę. Ersatzami były także mięso, kawa, masło i tkaniny. Ale wracając do Herr Sixa trudno mi było wyobrazić sobie, że jest aż tak zdruzgotany, iż sypia w ubraniu. Nie, doszedłem do wniosku, że jest jednym z tych ekscentrycznych milionerów, o których czytuje się w gazetach – nie wydadzą bez koniecznej potrzeby ani grosza, dzięki czemu zresztą udaje im się zbić fortunę.

– Została z zimną krwią zastrzelona – powiedział z goryczą. Zrozumiałem, że zanosi się na długi seans i wyciągnąłem papierosy.

– Mogę zapalić? – spytałem. On ocknął się.

– Zechce pan wybaczyć, Herr Gunther – westchnął. – Zapominam o obowiązkach gospodarza. Może by pan miał ochotę na drinka albo na coś innego? – To „na coś innego” bardzo mi się spodobało, zobaczyłem już oczyma duszy wygodne łóżko, ale poprosiłem tylko o mokkę. – A ty, Fritz?

Schemm drgnął.

– Dziękuję bardzo – szepnął pokornie. – Napiłbym się chętnie wody. – Six pociągnął za sznurek dzwonka i wziął z pudełka na biurku grube czarne cygaro. Podprowadził mnie do drugiej sofy i usiadłem naprzeciwko Schemma. Six wziął patyczek i wsunął w ogień. Potem zapalił nim cygaro i usiadł obok prawnika. Z tyłu otworzyły się drzwi i wszedł młody mężczyzna lat około trzydziestu. Binokle na szerokim, niemal negroidalnym nosie nie pasowały do atletycznej postury. Zdjął je, spojrzał na mnie, spojrzał na swego chlebowca.

– Czy jestem panu potrzebny, Herr Six? – spytał. Miał lekki frankfurcki akcent.

– Nie, nie, Hjalmarze – odparł Six. – Zmykaj do łóżka. Powiedz tylko Farrajowi, żeby przyniósł filiżankę mokki, szklankę wody, a dla mnie to co zwykle.

– Tak jest, Herr Six. – Znów spojrzał na mnie. Zacząłem się zastanawiać, czy moje pojawienie się jest mu na rękę, i zanotowałem w myśli, że muszę z nim przy pierwszej okazji chwilę pogadać.

– Aha, jeszcze jedno – oznajmił Six, odwracając się. – Przypomnij mi jutro rano, żebym omówił z tobą przygotowania do pogrzebu. Zajmiesz się tym w czasie mojej nieobecności.

– Tak jest, Herr Six. – Powiedział nam dobranoc i wyszedł.

– No tak, Herr Gunther. – Six mówił z cygarem w kąciку ust, wyglądał jak sędzia na boisku, a jego głos brzmiał jak głos dziecka, które odzywa się z cukierkiem w ustach. – Przepraszam, że ściągnąłem tu pana o takiej porze, ale jestem bardzo zajęтым człowiekiem. I powinien pan sobie zapamiętać, że bardzo zależy mi na mojej prywatności.

– Niemniej, Herr Six, coś mi się wydaje, że o panu słyżałem.

– Bardzo możliwe. Ze względu na moją pozycję patronuję wielu akcjom dobroczynnym. Bogactwo zobowiązuje.

Wiedziałem, co teraz nastąpi, i w myśli ziewnąłem. Ale głośno powiedziałem:

– Rozumiem – i to z takim zrozumieniem, że chwilę wahał się, nim wygłosił przygotowane zdania, które już tyle razy słyżałem: „zależy mi na dyskrecji” i „nie życzę sobie ingerencji władz w moje sprawy” i „chodzi mi o całkowitą poufność”, itd., itd. W mojej pracy ciągle się zdarza, że ludzie udzielają mi dokładnych instrukcji, jak mam się ich sprawami zajmować, zupełnie jakby mi nie dowierzali, i jakbym dzięki pracy dla nich miał

znaleźć się na wyższym szczeblu drabiny społecznej.

– Gdybym mógł więcej zarobić jako wywiadowca nieprywatny, dawno bym nim został – oświadczyłem. – Ale gadulstwo w moim zawodzie nie popłaca. Wieść o nim szybko by się rozeszła i parę towarzystw ubezpieczeniowych oraz firm prawniczych, które zaliczają się do moich stałych klientów, poszukałoby sobie kogoś innego. Proszę pana, wiem przecież, że pan mnie dobrze sprawdził, przystąpmy więc do rzeczy.

Dziwna rzecz” ale bogacze lubią, żeby im dać nauczkę. Mylnie uważają, że świadczy to o uczciwości. Six z uznaniem skinął głową.

W tym momencie do biblioteki wsunął się lokaj i jak na kółkach potoczył się po wyfroterowanej posadzce, zalatywało od niego potem i ostrymi przyprawami. Podał kawę, wodę i koniak z nieobecny wyrazem twarzy człowieka, który sześć razy dziennie wyłącza swój aparat słuchowy. Popijałem kawę i myślałem sobie, że mógłbym na przykład powiedzieć Sixowi, iż moja dziewięćdziesięcioletnia babka właśnie uciekła z Führerem, a lokaj dalej usługiwałby bez zmrużenia oka. Prawie nie zauważyłem, kiedy zniknął z pokoju.

– Fotografia, którą pan oglądał, pochodzi zaledwie sprzed paru lat, kiedy moja córka uzszyła magisterium. Potem była nauczycielką w gimnazjum w Dahlem.

Wyciągnąłem pióro, by robić notatki na odwrocie zaproszenia na ślub Dagmarr.

– To zbyteczne – oświadczył Six – nie pan nie musi notować, proszę tylko uważnie słuchać. Herr Schemm po naszym spotkaniu dostarczy panu odpowiednie dossier. – Była bardzo dobrą nauczycielką, choć przyznaję, że wolałbym, by wybrała inny zawód. Grete – miała na imię Grete, zapomniałem o tym panu powiedzieć – Grete miała piękny głos i pragnąłem, by została śpiewaczką. W 1930 roku wyszła za mąż za młodego prawnika związanego z Berlińskim Sądem Okręgowym. Nazywał się Paul Pfarr.

– Nazywał się? – spytałem.

Six znów głęboko westchnął.

– Tak. On także został zamordowany.

– Dwa morderstwa?

– Tak. Dwa morderstwa. – Wyjął portfel, a z niego zdjęcie. – To ich zdjęcie ze ślubu.

Dużo się z tego zdjęcia nie dowiedziałem, tyle że przyjęcie ślubne – jak większość przyjęć ślubnych w tej sferze – odbywało się w hotelu „Adlon”. Rozpoznałem słynną fontannę w kształcie pagody ozdobioną rzeźbionymi słoniami. Tym razem musiałem zdławić ziewnięcie. Fotografia nie była zbyt udana, a ja miałem na dzisiaj dosyć ślubów. Oddałem mu ją.

– Piękna para – powiedziałem zapalając następnego Muratti. Czarne cygaro Sixa

leżało zgaszone w okrągłej mosiężnej popielnicze.

– Grete pracowała w szkole do 1934 roku, kiedy jak wiele kobiet utraciła pracę – rząd zaczął dyskryminować pracujące kobiety. Tymczasem Paul otrzymał posadę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Wkrótce potem zmarła moja pierwsza żona, Lisa, i Grete wpadła w depresję. Zaczęła pić i wieczorami wychodzić z domu. Ale parę tygodni temu wydawało się, że przyszła do siebie. – Six spojrzał ponuro na swój koniak i wychylił go duszkiem. – A trzy dni temu w domu Paula i Grete na Lichterfelde-Ost wybuchł w nocy pożar. Przedtem jednak zostali zastrzeleni, mordercy oddali wiele strzałów i obrabowali sejf.

– Wie pan, co w nim było?

– Powiedziałem tym facetom z Kripo, że nie mam najmniejszego pojęcia.

Umiem czytać między wierszami i spytałem:

– Ale minął się pan z prawdą?

– Rzeczywiście nie znam całej zawartości sejfu. Ale wiem o jednej rzeczy, która się w nim znajdowała, i to przed nimi zataiłem.

– Dlaczego, Herr Six?

– Bo wolę, żeby nie wiedzieli.

– A ja mogę się dowiedzieć?

– Ta wiadomość umożliwi panu odkrycie mordercy wcześniej, niż się to uda policji.

– I co wtedy? – Miałem nadzieję, że nie myśli o prywatnej egzekucji, nieprzyjemnie jest walczyć z własnym sumieniem, kiedy w grę wchodzi duża suma pieniędzy.

– Nim odda pan mordercę w ręce władz, odzyska pan to, co jest moją własnością. Zależy mi, żeby nie trafiło to do Kripo.

– O co tu chodzi?

Six splótł ręce na karku. Spojrzał na mnie badawczo.

– Pełna dyskrecja – mruknąłem.

– O biżuterię – odpowiedział. – Widzi pan, Herr Gunther, moja córka nie sporządziła testamentu, wszystko zatem, co do niej należało, stało się własnością męża. A Paul wszystko, co posiadał, zapisał Rzeszy. – Potrząsnął głową. – Czy może pan wyobrazić sobie coś podobnie głupiego, Herr Gunther? Wszystko. Wszystko. Trudno w to człowiekowi uwierzyć.

– Był zatem wielkim patriotą.

Six nie zauważył ironii. Wzgardliwie parsknął.

– Drogi Herr Gunther, on był nazistą. A naziści uważają, że nikt przed nimi nie kochał ojczyzny. – Uśmiechnął się ponuro. – Ja też kocham mój kraj. I nikt nie robi dla niego tyle, co ja. Ale nie życzę sobie, by Rzesza wzbogaciła się moim kosztem. Czy pan mnie rozumie?

– Jeszcze jak.

– Chodzi zresztą nie tylko o to. Klejnoty te były przedtem własnością jej matki, więc niezależnie od ich wartości są dla mnie cenną pamiątką.

– Ile są warte? Wtrącił się Schemm.

– Myślę, że mogę tu służyć pomocą, Herr Six – oświadczył szperając w teczce, którą położył koło swoich nóg. Wyjął z niej akta i położył na dywanie między kanapami. – Mam tu ostatnią wycenę polisy ubezpieczeniowej i kilka fotografii. – Podniósł kartkę i przeczytał tonem tak obojętnym, jakby to chodziła o miesięczny rachunek za gazety. – Siedemset pięćdziesiąt tysięcy marek.

Aż gwizdnąłem. Schemm zamrugał oczyma i podał mi kilka fotografii. Widywałem większe kamienie, ale tylko na zdjęciach przedstawiających piramidy. Six zaczął opowiadać ich historię.

– W 1925 roku rynek biżuterii był zalany klejnotami, które sprzedawali rosyjscy emigranci, a także bolszewicy, którzy znaleźli skrytkę w pałacu księcia Jusupowa, męża siostrzenicy cara. Wiele z nich udało mi się kupić w Szwajcarii – broszkę, bransoletkę, i najcenniejszy wśród nich – naszyjnik z dwudziestoma brylantami. Pochodził od Cartiera, było to ponad sto karatów. Nie muszę panu mówić, Herr Gunther, że taki naszyjnik niełatwo jest upłynnić.

– Nie musi pan. – Może jestem cynikiem, ale sentymalna wartość klejnotów wydała mi się mało ważna, gdy usłyszałem, na ile je wyceniono. – Jaki to był sejf?

– To ja za ten sejf zapłaciłem – oznajmił Six. – Tak samo zresztą jak za dom. Paul nie miał pieniędzy. Kiedy umarła matka Grete, oddałem córce jej biżuterię i jednocześnie kazałem zainstalować sejf, żeby miała gdzie ją trzymać, ilekroć zabierze ją z banku.

– Więc to znaczy, że ją ostatnio nosiła?

– Tak. Na parę dni przed śmiercią była z nami, z moją żoną i ze mną, na balu.

– Co to był za sejf?

– Stockinger z zamkiem szyfrowym. Wbudowany w ścianę.

– Kto znał szyfr?

– Moja córka i oczywiście Paul. Nie mieli przed sobą tajemnic, a zresztą on przechowywał tam chyba papiery związane ze swoją pracą.

– Czy któreś z nich miało wrogów?

– Za Paula nie rękę. Ale jestem pewien, że Grete nie miała żadnego wroga.

Oczywiście, nie mogłem wykluczyć, że córeczka Sixa co dzień czyściła zęby i odmawiała paciorek, ale nie mogłem też nie zauważyć, że Six unika mówienia o zięciu. Już

po raz drugi wykręcił się od odpowiedzi.

– A pan? – spytałem. – Tak bogaty i wpływowy człowiek jak pan musiał chyba narobić sobie wrogów? – Skinął głową. – Czy istnieje ktoś, kto nienawidzi pana tak bardzo, że gotów był zabić pana córkę, aby się na panu zemścić?

Zapalił cygaro, pyknął i odsunął je od siebie trzymając koniuszkami palców.

– Każda wielka fortuna przysparza wrogów, Herr Gunther – oświadczył. – Ale są to rywale, którym nie poszczyło się w interesach, a nie gangsterzy. Nie sądzę, żeby któremuś z nich przyszło do głowy podobne okrucieństwo. – Wstał i podszedł do kominka. Wielkim mosiężnym pogrzebaczem pchnął polano, które zaczęło zsuwać się z paleniska. Postarałem się wykorzystać chwilę jego nieuwagi.

– W jakich stosunkach był pan z zięciem?

Odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem, nie wypuszczając pogrzebacza z rąk. Lekko się zarumienił. Uznałem to za wystarczającą odpowiedź, ale on usiłował sygnąć mi piaskiem w oczy.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Ależ, Herr Gunther, pan się zapomina – uważał za stosowne wtrącić się Schemm, udając zgorzonego moim niedelikatnym pytaniem.

– Zdarzało się, że dochodziło między nami do różnicy zdań – odpowiedział Six. – Ale od żadnego mężczyzny nie można oczekiwać, żeby zawsze zgadzał się ze swoim zięciem. – Odłożył pogrzebacz. Milczałem. Po chwili powiedział: – Jeśli chodzi o kierunek pańskiego śledztwa, pragnąłbym, by ograniczył się pan do poszukiwania klejnotów. Nie życzę sobie, by wtrącał się pan w nasze sprawy rodzinne. Otrzyma pan honorarium. Ile ono właściwie wynosi?

– Siedemdziesiąt marek dziennie plus zwrot kosztów własnych.

Skłamałem, mając nadzieję, że Schemm tego nie sprawdził.

– A ponadto Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Germania” wypłaci panu pięć procent wartości odzyskanych przedmiotów. Zgadza się pan, Herr Gunther?

Szybko policzyłem w myśli – wypadło mi trzydzieści siedem tysięcy pięćset. Gdybym dostał taką kupę forsy, byłbym urządzony na resztę życia. Zacząłem kiwać potakująco głową; reguły gry niezbyt mi się podobały, ale za blisko czterdzieści tysięcy miał prawo je wyznaczać.

– Ostrzegam pana jednak, że nie należę do ludzi cierpliwych – powiedział. – Żądam rezultatów. I to szybko. Wypisałem panu czek na początek. – Skinął na swego fagasa i ten podał mi czek. Opiewał na tysiąc marek do odebrania w gotówce w Privat Kommerz Bank.

Schemm znów pogrzebał w teczce i wręczył mi list z nadrukiem firmowym Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Germania”.

– Pismo to stwierdza, że został pan zatrudniony przez nasze Towarzystwo celem przeprowadzenia śledztwa w sprawie pożaru. Dom był u nas ubezpieczony. Jeśli będzie pan miał jakieś problemy, skontaktuje się pan ze mną. W żadnym wypadku nie będzie pan niepokoił Herr Sixa ani nie będzie się powoływał na jego nazwisko. Oto dossier zawierające wszelkie informacje, jakie mogą być panu potrzebne.

– Widzę, że pomyślał pan o wszystkim – oświadczyłem.

Six wstał, za nim wstał Schemm, wreszcie wstałem ja.

– Kiedy rozpocznie pan dochodzenie?

– Rano.

– Świetnie. – Poklepał mnie po ramieniu. – Ulrich odwiezie pana do domu. – Six podszedł do biurka, usiadł w fotelu i zaczął przeglądać dokumenty. Przestałem dla niego istnieć.

Kiedy znów stałem w tym skromnym holu czekając, by lokaj sprowadził Ulricha, usłyszałem, że przed dom zajeżdża auto. Ale zbyt głośno jak na limuzynę, musiało to być auto sportowe. Zatrzasnęły się drzwiczki, usłyszałem kroki na żwirze i odgłos przekręcanego klucza w drzwiach. Weszła kobieta, natychmiast ją poznałem, była to Ilse Rudel, gwiazda UFY. Miała na sobie ciemne futro z soboli i wieczorową suknię z błękitnego atłasu. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a ja nie przestawałem się na nią gapić. Było na co spojrzeć. O takim ciele zdarzało mi się tylko śnić, często marzyłem, żeby mieć podobny sen. Kobietę z takim ciałem łatwo było wyobrazić sobie w pewnych okolicznościach, trudniej przy pracy.

– Dzień dobry – powiedziałem, ale już pojawił się lokaj, znów poruszając się jak złodziej, i odwrócił ode mnie jej uwagę, zdejmując z niej sobole.

– Farraj, gdzie jest mój mąż?

– Herr Six jest w bibliotece, proszę pani.

Wybałuszyłem oczy i czułem, jak opada mi szczęka. Jeśli ta bogini była żoną gнома z biblioteki, należało naprawdę uwierzyć w potęgę Pieniądza. Wpatrywałem się w nią, gdy szła w stronę drzwi prowadzących do biblioteki. Frau Six – wciąż trudno mi było się z tym pogodzić, że ta kobieta nazywa się Frau Six – była jasnowłosa, wysoka, bił od niej blask niczym od złota na szwajcarskim koncju jej męża. W wyrazie jej ust było coś, co wskazywało, że zawsze dostaje to, czego pragnie. I to w gotówce. W prześlicznych uszach błyszcząły klipsy, poczułem zapach wody kolońskiej 4711. Kiedy byłem już pewien, że minie mnie nie zauważając, podniosła wzrok i powiedziała chłodnym tonem:

– Nie wiem, kim pan jest, ale dobranoc. – I nim zdążyłem się do niej zbliżyć, a kto wie, czy bym się na nią nie rzucił, zniknęła w drzwiach biblioteki. Zwilżyłem językiem usta. Spojrzałem na zegarek. Była trzecia trzydzieści. Pojawił się Ulrich.

– Nie dziwię się teraz, że on czuwa do późnej nocy – powiedziałem i poszedłem za szoferem.

Rozdział 3

Ranek był szary i wilgotny. Obudziłem się z niesmakiem w ustach, wypilem filiżankę kawy i przejrzałem poranny „Berliner Borsenzeitung”, było mi jeszcze trudniej niż zwykle zrozumieć, o czym jest w nim właściwie mowa, zdania były tak długie i zawile jak w przemówieniach Hessa.

Ogoliłem się, ubrałem, wziąłem torbę z bielizną do prania i w niecałą godzinę później byłem już na Alexanderplatz, w samym centrum wschodniego Berlina. Podjechałem Neue Königstrasse – z obu stron placu stoją dwa wielkie biurowce, z prawej Berolina Haus, z lewej Alexander Haus, gdzie na czwartym piętrze mieści się moje biuro. Na parterze oddałem bieliznę do pralni Adlera.

Czekając na windę przeczytałem automatycznie to, co znajdowało się na małej tablicy ogłoszeniowej, zawieszanej tuż obok; przypięto na niej apel o składki na Fundusz Matki i Dziecka, apel partyjny, by obejrzeć antysemitki film, oraz natchniony portret Führera. Tablica ta znajdowała się pod opieką portiera, Herr Grubera, przedsiębiorczego spryciarza. Był nie tylko kierownikiem obrony przeciwlotniczej gmachu mającym uprawnienia policjanta (dzięki uprzejmości Orpo, policji mundurowej), ale i oficjalnym konfidentem gestapo. Już dawno doszedłem do wniosku, że nieopatrznie byłoby narazić się Herr Gruberowi, i tak samo jak wszyscy lokatorzy Alexander Haus wręczałem mu co tydzień trzy marki, była to kontrybucja na rzecz tego, co sobie akurat wymyślił DAF – Niemiecki Front Pracy.

Przeklinałem powolność windy, bo zobaczyłem, że drzwi Grubera uchylają się i pojawia się w nich jego rybia twarz.

– A, to pan, Herr Gunther – powiedział wychodząc z portierni.

Podszedł do mnie krokiem kraba, który cierpi na nagniotki.

– Dzień dobry, Herr Gruber – powiedziałem starając się na niego nie patrzeć. Było w nim coś, co przywodziło na myśl postać Nosferatu z filmu Maxa Schreka.

– Przyszła do pana jakaś młoda dama – powiedział. – Posłałem ją na górę. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem, Herr Gunther.

– Tak...

– Chyba tam jeszcze jest. To było dobre pół godziny temu. Wiem, że panna Lehmann już u pana nie pracuje, więc uprzedziłem ją, że nie wiadomo, kiedy się pan pojawi, bo przychodzi pan bardzo nieregularnie. – Ku mojej wielkiej uldze winda zatrzymała się, otworzyłem więc drzwi i wszedłem do środka.

– Dziękuję, Herr Gruber – powiedziałem i zasunąłem drzwi.

– Heil Hitler – zawołał. Winda ruszyła, a ja odpowiedziałem mu okrzykiem: „Heil Hitler”. Kiedy ma się do czynienia z takim człowiekiem jak Gruber, lepiej nie zapominać o hitlerowskim salucie. Żeby uniknąć kłopotów. Ale kiedyś mu pokażę!

Na czwartym piętrze urzędują obok mnie „germański” dentysta, „germański” agent ubezpieczeniowy i „germańska” agencja pośrednictwa pracy, ta ostatnia miała mi dostarczyć tymczasowej sekretarki, była nią prawdopodobnie siedząca w mojej poczekalni kobieta. Wysiadając z windy miałem nadzieję, że nie jest zbyt szpetna i sterana życiem. Nie oczekiwałem kociaka, ale nie miałem ochoty zatrudnić kobry. Otworzyłem drzwi.

– Herr Gunther? – Wstała i szybko zmierzyłem ją wzrokiem. Nie była wbrew zapowiedzi Grubera młoda (na oko musiała mieć ze czterdzieści pięć lat), ale była zupełnie niebrzydka. Może trochę zbyt korpulentna (miała szerokie siedzenie), ale mnie podobają się takie niewiasty. Rude włosy przyprószone siwizną upięte z tyłu w kok. Ubrana w szary kostium i białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem, miała na głowie czarny kapelusik z podwiniętym rondem.

– Dzień dobry – powiedziałem tak uprzejmie, jak mi na to pozwolił kac. – Jest pani pewno moją nową sekretarką. – Miałem dużo szczęścia, że przysłano mi kobietę, w dodatku wyglądała dość rozsądnie.

– Frau Protze – przedstawiła się i podała mi rękę. – Jestem wdową.

– Jakże mi przykro – powiedziałem otwierając drzwi do swego gabinetu. – Z jakiej części Bawarii pani pochodzi? – Miała bardzo wyraźny akcent.

– Z Regensburga.

– Miłe miasteczko.

– Czyżby znalazł pan tam ukryte skarby? – O, dowcipna, pomyślałem, to dobrze, jeśli ma u mnie pracować, to poczucie humoru bardzo jej się przyda.

Wyjaśniłem jej, na czym polega moja praca. Uznała, że wygląda to bardzo ciekawie. Zaprowadziłem ją do komórki, w której miała siedzieć.

– Jeśli pani otworzy drzwi do poczekalni, to nie będzie tu pani tak źle. – Potem pokazałem jej umywalnię na korytarzu i przeprosiłem za pokryte skorupą mydło i brudne ręczniki. – Płacę siedemdziesiąt pięć marek miesięcznie i oto na co jestem narażony. Niech to

diabli, powiem, co myślę temu przekłętemu portierowi! – oświadczyłem, wiedząc dobrze, że tego nie zrobię.

Wróciwszy do biura zajrzałem do kalendarza i zobaczyłem, że tego dnia ma przyjść tylko jedna klientka, Frau Heine. O jedenastej.

– Za dwadzieścia minut mam umówione spotkanie – poinformowałem sekretarkę. – Pewna kobieta przyjdzie się dowiedzieć, czy trafiłem na ślad jej zaginionego syna. Jest on żydowską „łodzią podwodną”.

– Czym?

– Żydem, który się ukrywa.

– A co zrobił, że musi się ukrywać?

– Poza tym, że jest Żydem? – spytałem. Zrozumiałem, że nawet jak na mieszkankę Regensburga mało wie o życiu i przykro będzie narażać ją na nieprzyjemny widok śmierdzącego tyłka jej kraju. Niemniej była dorosła, a ja nie miałem czasu. – Stanął w obronie starca, którego katowało dwóch zbirów. I jednego zabił.

– Ale jeśli zrobił to w obronie starego człowieka?

– No tak, ale ten stary też był Żydem – wyjaśniłem. – A napastnicy należeli do SA. To zmienia obraz sprawy, prawda? Jego matka poprosiła mnie, żebym sprawdził, czy żyje i czy jeszcze znajduje się na wolności. Widzi pani, kiedy człowieka aresztuje się, skraca o głowę albo wysyła do kacetu, władze rzadko zawiadamiają rodzinę. Ostatnio w żydowskich rodzinach wiele jest osób zaginionych. A mnie często powierza się poszukiwania. – Frau Protze strapiła się.

– Pomaga pan Żydom?

– Proszę się nie martwić. To całkowicie legalne. A każdy zarobek jest dobry.

– Cóż, chyba tak.

– Frau Protze. Mnie nie robi różnicy, czy ktoś jest Żydem, Cyganem czy Indianinem. Nie mam powodu ich lubić, ale nie mam też powodu nienawidzić. Żyd, który tu wchodzi, jest traktowany tak samo jak każdy klient. Jakby był kuzynem Kajzera. Interes to interes.

– No, oczywiście – odparła Frau Protze, lekko się rumieniąc. – Chyba pan nie myśli, że mam coś przeciwko Żydom.

– Nie myślę – potwierdziłem. Choć tak mówią wszyscy. Nawet Hitler.

– Wielki Boże – powiedziałem, gdy matka „łodzi podwodnej” opuściła moje biuro. – Oto jak teraz wygląda zadowolony klient. – Tak mnie to przygnębiło, że postanowiłem na chwilę wyjść.

U Loesera i Wolffa kupiłem paczkę Muratti, a potem odebrałem w banku gotówkę na czek Sixa. Połowę wpłaciłem na swoje konto. I żeby uczcić zdobycie takiego klienta jak Six, postanowiłem sprawić sobie kosztowny jedwabny szlafrok i poszedłem do Wertheima. Potem udałem się na róg Königstrasse, gdzie zostawiłem wóz.

Lichterfelde-Ost to zamożna dzielnica rezydencji w południowo-zachodnim Berlinie, gdzie lubią się osiedlać wyżsi urzędnicy państwowi i oficerowie. Normalnie młodej parze trudno byłoby tam zamieszkać, ale rzadko zdarza się, by ojcem któregoś z młodych małżonków był taki multimilioner jak Hermann Six.

Ferdinandstrasse biegnie na południe od linii kolejowej. Numeru 16, któremu brakowało większości dachu i wszystkich okien, pilnował młody Anwärter z Orpo. Czarne zgliszcza bungalowu były bardzo wymowne. Zaparkowałem Hanomaga i poszedłem do bramy ogrodu, gdzie pokazałem swoją legitymację młodemu gliniarzowi. Był przyszczyty, miał najwyżej dwadzieścia lat. Obejrzał ją starannie i powiedział:

– Prywatny wywiadowca, tak?

– No właśnie. Towarzystwo ubezpieczeniowe zatrudniło mnie, żebym wykrył przyczyny pożaru. – Zapaliłem papierosa i wpatrywałem się znacząco w zapałkę, aż zaczęła parzyć mi palce. Skinął głową, ale wciąż miał zakłopotaną minę. Nagle rozjaśnił się, rozpoznał mnie.

– Ejże, przecież pan pracował w Kripo na Alexie? – Skinąłem głową, wypuszczając nosem dym. – Tak, od razu wydawało mi się, że znam pana nazwisko, Bernhard Gunther. To pan złapał tego dusiciela Gormanna? Czytałem o tym w gazetach. Był pan sławny. – Wzruszyłem skromnie ramionami. Miał rację. Przez chwilę, po złapaniu Gormanna, cieszyłem się sławą. W owych czasach byłem naprawdę dobrym gliniarzem.

Młody Anwärter zdjął czapkę i podrapał się w czubek kwadratowej głowy.

– No, no – powiedział. I dorzucił: – Chciałbym pracować w Kripo. Może mnie wezmą...

– Wygląda pan na bystrego faceta. Pewnie się pan nada.

– Dziękuję – powiedział. – Jakby mi pan radził się do tego zabrać? Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem. Jak się pan nazywa?

– Eckhart. Wilhelm Eckhart.

– No to niech mi pan, Wilhelmie, opowie coś o pożarze. Kto robi sekcję zwłok?

– Jakiś lekarz z Alexu. Upmann czy Illmann.

– Starszy pan z bródką i w binoklach? – Skinął głową. – To Illmann. Kiedy tu był?

– Przedwczoraj. Z Kriminalkommissarem, Jostem.

– Z Jostem? To do niego niepodobne, żeby chciał sobie powalać buty. Zawsze sądziłem, że trzeba by większego ewenementu niż zwykle morderstwo córki milionera, by chciało mu się podnieść tłusty tyłek. – Rzuciłem papierosa, ale nie w kierunku wybebeszonego domu, nie należało wyzywać losu.

– Słyszałem, że to było podpalenie – powiedziałem. – Czy to prawda, Wilhelmie?

– Niech pan powącha.

Wciągnąłem głęboko powietrze i pokręciłem głową.

– Nie czuje pan zapachu benzyny?

– Nie. W Berlinie wszędzie tak śmierdzi.

– Cóż, ja tu już stoję od dawna. Zresztą w ogrodzie znaleziono kanister po benzynie.

– Wilhelmie, czy pozwoli pan, żebym się tu szybko rozejrzał? To mi oszczędzi wypełniania wielu kwestionariuszy, a dostać się, to i tak się dostanę.

– Proszę bardzo, Herr Gunther – powiedział otwierając bramę. – Ale nie ma tam wiele do oglądania. Zabrali już stąd całe worki. Wątpię, żeby pan coś tam wypatrzył. Nie wiem nawet, po co mnie tu zostawili na posterunku.

– Pewnie po to, żeby pan uważał, czy morderca nie wraca na miejsce zbrodni.

– Jezus, myśli pan, że może wrócić? – Chłopcu aż zapało dech.

Wydąłem wargi.

– Kto wie? – powiedziałem, choć nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Rzucę jednak okiem. Bardzo panu dziękuję.

– Nie ma za co.

Miał rację. Nie było co oglądać. Podpalacz dobrze wypełnił swoje zadanie. Spojrzałem na frontowe drzwi, były tak zatarasowane zwęglonymi szczątkami domu, że nie dało się tamtędy przejść. Z boku znalazłem okno. Miałem nadzieję, że uda mi się zobaczyć sejf. Wlazłem do środka. Oczywiście nie musiałem. Ale lepiej mi się pracuje, gdy mam w głowie obraz miejsca zbrodni. Mój umysł funkcjonuje na zasadzie komiksu. Byłem jednak trochę rozczarowany, gdy odkryłem wielką dziurę w murze – policja wyniosła już sejf. Cóż, pozostaje mi zawsze Illmann, pomyślałem.

Przy bramie Wilhelm pocieszał jakąś zapłakaną kobietę około sześćdziesiątki.

– To sprzątaczką – wyjaśnił. – Przyszła przed chwilą. Była na urlopie i nic nie słyszała o pożarze. Biedaczka przeżyła szok.

Spytał się, gdzie mieszka.

– Neuenburger Strasse – wyszlochała. – Dziękuję, chłopcze, już mi lepiej. – Z kieszeni płaszczka wyjęła koronkową chusteczkę, która w jej szerokiej chłopskiej dłoni wyglądała

równie nieprawdopodobnie jak szminka w rękę Maxa Schmellinga, boksera, i wysiąkała gwałtownie nos. Potem mokrą chusteczką wytarła twarz. Mając nadzieję, że uzyskam jakieś informacje o ognisku rodzinnym Pfarrów, zaproponowałem babie, że ją odwożę do domu.

– Jadę w tamtą stronę – oznajmiłem.

– Nie chcę sprawiać panu kłopotu...

– Żaden kłopot – nalegałem.

– Cóż, jeśli będzie pan taki dobry. Bardzo mną to wstrząsnęło.

Podniosła z ziemi karton, który leżał u jej rozdętych stóp wyglądających w wyglansowanych czarnych pantoflach tak, jakby rzeźnikowi wbito na kciuk napaśtek. Nazywała się Frau Schmidt.

– Dobry z pana człowiek, Herr Gunther – pochwalił mnie Wilhelm.

– Bzdury – odpowiedziałem i była to czysta prawda. Chodziło mi tylko o informacje.

Wziąłem z rąk kobiety karton. – Pomogę pani.

Było to pudło od Stechbartha, oficjalnego krawca służb mundurowych, wydało mi się, że wiem, co zawiera. Skinąłem głową Wilhelmowi i zabrałem kobietę do auta.

– Neuenburger Strasse... – upewniłem się. – To przecznica Lindenstrasse, prawda?

Potwierdziła, dała mi parę wskazówek, jak tam najlepiej dojechać, i dłuższą chwilę milczała. Potem znów zaczęła płakać.

– Taka straszna tragedia – łkała.

– Tak, tak, bardzo przykra historia.

Zastanawiałem się, co jej powiedział Wilhelm. Im mniej, tym lepiej, pomyślałem, łatwiej mi będzie wyciągnąć ją na zwierzenia.

– Jest pan policjantem? – spytała.

– Badam przyczyny pożaru – odpowiedziałem wymijająco.

– No, to na pewno jest pan za bardzo zajęty, żeby odwozić starą kobietę na drugi koniec Berlina. Niech mnie pan zostawi po tamtej stronie mostu. Już mi lepiej.

– Nie spieszę się. Zresztą chciałbym pogadać z panią o Pfarrach, jeśli to pani zanadto nie rozrzewni. Widzi pani, odbędzie się rozprawa sądowa i chętnie bym się przedtem dowiedział o nich możliwie jak najwięcej.

– Z przyjemnością panu pomogę, jeśli tylko potrafię – rzekła.

Kiedy dojechaliśmy na Neuenburger Strasse, zaparkowałem wóz i wszedłem za nią na drugie piętro wysokiej kamienicy.

Mieszkanie Frau Schmidt było typowe dla starszej generacji mieszkańców tego miasta. Meble były solidne i ozdobne – berlińscy wykosztowują się zawsze na stoły i

krzesła, w kącie jadalni stał duży kafłowy piec. Kopia grawiury Dürera – którą widzi się w każdym szanującym się domu berlińskim, tak jak u każdego lekarza stoi w kącie poczekalni akwarium – tu wisiała nad ciemnoczerwonym biedermeierowskim kredensem, na którym stało wiele fotografii (w tym jedna naszego ukochanego Führera) i maleńka jedwabna swastyka w szerokim obramowaniu z brązu. Stała tam także taca z butelkami, wziąłem butelkę sznapsa i nalałem jej kieliszek.

– Zaraz się pani lepiej poczuje – powiedziałem zastanawiając się, czy wypada mi nalać także i sobie. Z zazdrością patrzyłem, jak go duszkiem wychyliła. Oblizła grube wargi i usiadła na stojącym pod oknem, krytym brokatem krześle.

– Będzie pani miała siły odpowiedzieć mi na parę pytań?

Skinęła głową.

– Czego się pan chce ode mnie dowiedzieć?

– Od jak dawna zna pani państwa Pfarr?

– Hm... muszę się zastanowić... Będzie chyba rok. – Wstała, zdjęła płaszcz, miała na sobie brudnawy kitel w kwiaty. Zakasłała i uderzyła się parę razy w piersi.

Przez cały czas stałem na środku pokoju, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy i z rękami w kieszeniach. Zapytałem jak wyglądało małżeństwo państwa Pfarr.

– Byli szczęśliwi? Kłócili się?

Na obydwa pytania odpowiedziała skinieniem głowy.

– Kiedy zaczęłam u nich pracować, byli bardzo zakochani – powiedziała. – Ale wkrótce potem ona straciła pracę. I bardzo ją to ścięło z nóg. Zaczęli się kłócić. Choć on nieczęsto bywał w domu. Ale jak był, to zaraz dochodziło do słów, to nie były takie zwykłe sprzeczki, które zdarzają się w każdym małżeństwie. Krzyczeli na siebie, jakby się nienawidzili, parę razy widziałam potem, że ona szła do swego pokoju i płakała. Nie wiem, o co się sprzeczali. Mieli taki śliczny dom – przyjemnie było sprzątać. Choć nie było tam żadnych luksusów, rzadko coś kupowała. Zawsze była ładnie ubrana, ale nie było to nic nadzwyczajnego.

– Nie miała biżuterii?

– Chyba miała, ale nie widziałam, żeby nosiła. Bywałam u nich tylko w dzień. Za to kiedyś podniosłam jego marynarkę i z kieszeni wypadły kolczyki, tyle że to nie mogły być jej kolczyki.

– Dlaczego?

– Bo Frau Pfarr nosiła tylko klipsy, nie miała przekłutych uszu. Co sobie pomyślałam, to pomyślałam, ale nie pisnęłam słowa. Nie moja sprawa. Ona musiała coś jednak

podejrzewać. To nie była głupia kobieta. O, nie! Myślę, że to dlatego zaczęła pić.

– Piła?

– Jeszcze jak!

– A on? Pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, prawda? Wzruszyła ramionami:

– Wiem, że w jakiejś rządowej instytucji, nie potrafię jednak powiedzieć w jakiej. Miał do czynienia z prawem, na ścianie w jego gabinecie wisiał dyplom. Ale nic o swojej pracy nie mówił. I bardzo uważał, żeby nie zostawić na wierzchu żadnych papierów, taki był ostrożny. Choć bym ich przecież nie czytała.

– Często pracował w domu?

– Czasem. I wiem, że wciąż jeździł do tego wielkiego biurowca na Bülowplatz – wie pan, tam, skąd wyrzucono tych Kozi.

– W tym budynku DAF-u, głównej kwaterze Niemieckiego Frontu Pracy?

– A właśnie. Czasem mnie podwoził w tamtą stronę. Moja siostra mieszka przy Brunenstrasse i zwykle po pracy jechałam tramwajem 99 na Rosenthaler Platz. I Herr Pfarr był tak dobry, że kiedy jechał w tamtą stronę, to mnie zabierał i wtedy widziałam, jak wchodzi do tego gmachu DAF-u.

– Kiedy widziała ich pani po raz ostatni?

– Dwa tygodnie temu. Byłam na wakacjach. Wycieczka Kraft durch Freude na wyspę Rugię. Ale wtedy widziałam tylko ją.

– No i co?

– Dla odmiany była całkiem pogodna. I nic nie piła. Powiedziała mi, że wybiera się do wód. Często tam jeździła.

– Aha... A dziś rano przed pójściem do pracy pojechała pani do krawca na Ferdinandstrasse, prawda, Frau Schmidt?

– Tak. Często coś załatwiałam dla Herr Pfarra. On był zbyt zajęty, żeby chodzić po sklepach, i płacił mi za robienie sprawunków. Przed moim wyjazdem na wakacje prosił mnie, żebym zostawiła jego garnitur u krawca, już to przedtem z krawcem omówił.

– Garnitur?

– Ano, chyba garnitur.

Podniosłem karton.

– Mogę zajrzeć do środka?

– Czemu nie? Przecież on już nie żyje.

Jeszcze przed otwarciem kartonu podejrzewałem, co w nim zobaczę. Miałem rację.

Głęboka czerń munduru, wzorowanego na mundurze elitarnych oddziałów kawalerii Kajzera, wagnerowskie błyskawice na prawej patce kołnierza, a na lewym rękawie stylizowany rzymski orzeł i swastyka. Trzy gwiazdki na lewej patce kołnierza stwierdzały, że posiadacz munduru jest kapitanem, czy jak się tam to nazywa w SS. Do prawego rękawa przyczepiona była kartka. Rachunek Stechbartha wystawiony na nazwisko Hauptsturmführera Pfarra opiewał na dwadzieścia pięć marek. Gwizdnąłem.

– Zatem Paul Pfarr należał do naszych czarnych aniołów!

– Nigdy bym w to nie uwierzyła – stwierdziła Frau Schmidt.

– Nie widywała go pani w tym mundurze?

Pokręciła przecząco głową.

– Ten mundur nie wisiał w szafie z ubraniami.

– Coś takiego. – Nie wiedziałem, czy jej wierzyć, ale niby dlaczego miałyby kłamać.

Zresztą często się zdarzało, że prawnicy – germańscy prawnicy pracujący dla Rzeszy – byli w SS. Widać Herr Pfarr wkładał ten mundur tylko na uroczyste okazje.

Frau Schmidt zapytała z nieśmiałą miną:

– Cały czas chcę się pana spytać, jak doszło do tego pożaru?

Chwilę się zastanawiałem i postanowiłem wypalić prawdę prosto w oczy, w nadziei, że Frau Schmidt dozna szoku i nie będzie zadawać kłopotliwych pytań, na które nie mógłbym odpowiedzieć.

– Podpalenie – odpowiedziałem spokojnie. – Oboje zostali zamordowani.

Rozdziawiła usta i znów zwilgotniały jej oczy.

– Wielki Boże – szepnęła. – Jakie to straszne. Kto mógł coś takiego zrobić?

– Oto jest pytanie – odpowiedziałem. – Nie wie pani czasem, czy oni mieli wrogów?

Głęboko wciągnęła powietrze i pokręciła przecząco głową.

– Czy nigdy nie słyszała pani, że któreś z nich się z kimś kłóci? Może przez telefon?

Albo przy drzwiach?

Wciąż kręciła przecząco głową.

– Chwileczkę... – powiedziała z namysłem. – Tak, raz się to zdarzyło, już dobre parę miesięcy temu. Słyszałam kłótnię w gabinecie. To była ostra sprzeczka i padały grube wyrazy. Kłócili się o politykę. Tak mi się przynajmniej zdawało. Herr Six wygadywał straszne rzeczy na Führera i...

– Herr Six?

– Tak – odparła. – Herr Pfarr wyklócał się z Herr Sixem. Po chwili Herr Six wypadł wściekły z gabinetu i wyleciał z domu. Omal mnie nie przewrócił.

- Nie pamięta pani, co mówili?
- Jeden oskarżał drugiego, że chce go zrujnować.
- A gdzie była wtedy Frau Pfarr?
- Nie było jej w domu, wydaje mi się, że działo się to w czasie jednego z tych jej pobyków u wód.
- Dziękuję – powiedziałem. – Bardzo mi pani pomogła. Cóż, muszę wracać na Alexanderplatz.
- Przepraszam. – Frau Schmidt wskazała na pudło od krawca. – Co ja mam zrobić z tym mundurem pana Pfarra?
- Najlepiej niech go pani wyśle pocztą na adres Reichsführera Himmlera: Prinz Albrecht Strasse nr 9 – poradziłem kładąc na stole kilka marek.

Rozdział 4

Simeonstrasse jest tylko o parę ulic od Neuenburger Strasse, ale o ile na Neuenburger z futryn okien oblaża tylko farba, to w oknach na Simeonstrasse nie ma w ogóle szyb. Mówić, że panuje tu ubóstwo, to tak jakby powiedzieć, że Goebbels ma kłopoty z dobraniem butów pasujących na jego nogi.

Pięcio- i sześciopiętrowe kamienice sterczą z dwóch stron wybrukowanego kocimi łbami przesmyka – niczym dwa zbocza gór – połączone sznurami z bielizną. Wrostki z ponurymi minami, każdy z petem w ustach, z którego popiół zwisa jak odchody złotych rybek znudzonych pobytem w akwarium, podpierają mury patrząc tępo na chmary zasmarkanych dzieci uganiających się po chodnikach. Dzieci bawią się głośno, nie zwracając uwagi na starszych chłopców ani na wymalowane na murach swastyki oraz sierpy i młoty, które to emblematy tak podzieliły poprzednie pokolenie. Poniżej poziomu ulicy znajdują się sutereny, gdzie w tej dzielnicy mieszczą się sklepiki i biura.

Wszedłem do jednego z tych sklepików, lombardu, nie zwracając uwagi na wielką Gwiazdę Dawida wymalowaną na drewnianych okiennicach zabezpieczających okienka przed wybiciem szyb. Kiedy otwierałem i zamykałem drzwi, rozległ się dzwonek. W pozbawionym całkowicie światła dziennego sklepiku wisiała u sufitu naftowa lampa, wewnątrz wyglądało jak kajuta starego statku. Rozglądałem się czekając, by ukazał się Weizmann, właściciel lombardu.

W gablotce leżała stara pickelhauba, stał wypchany świstak i przedpotopowy odkurzacz Siemens. Leżało wiele pudełek z odznaczeniami wojskowymi – głównie Żelaznymi Krzyżami drugiej klasy, 20 starych roczników Kalendarza Morskiego Kohlera, radio Blaupunkt, wyszczerbione popiersie Bismarcka i stara Leica. Przyglądałem się właśnie medalom, gdy poczułem zapach dymu z fajki i usłyszałem znajomy kaszel Weizmanna.

– Powinieneś bardziej o siebie dbać, Weizmann.

– A po co miałbym długo żyć? – Przy każdym słowie Weizmanna oczekiwało się, że znów zacznie kaszleć. Ten kaszel czyhał tylko, by znów go dopaść. Czasem Weizmannowi udawało się go opanować, ale tym razem atak kaszlu rozsadził mu piersi – brzmiał nieludzko,

zupełnie jakby ktoś usiłował ruszyć autem, w którym wyładował się akumulator. W dodatku kaszel ten zdawał się nie przynosić mu ulgi. Niemniej Weizmann nie wypuścił fajki z ust, usta te wyglądały jak woreczek z tytoniem.

– Powinieneś od czasu do czasu spróbować dla odmiany odetchnąć świeżym powietrzem – poradziłem. – Albo przynajmniej nie rozżarzonem.

– Powietrze uderza mi do głowy – odpowiedział. – A poza tym staram się od niego odzwycząić, nie wiadomo, czy Żydom nie zabroni się wkrótce wdychania tlenu. – Podniósł ladę. – Chodź do kantoru, przyjacielu, i powiedz, czym mogę ci służyć.

Poszedłem za nim mijając pusty regał.

– Widzę, że coś się ruszyło w interesach – oświadczyłem. Odwrócił się i dziwnie na mnie spojrzał. – No, to co się stało z książkami?

Weizmann smutno pokiwał głową.

– Niestety, musiałem je stąd usunąć. Prawa norymberskie zabraniają Żydom handlu książkami. – Zaśmiał się z goryczą. – Nawet używanymi... Więc trzymam się prawa i wierzę, że Horst Wessel był bohaterem.

– Horst Wessel? – spytałem. – Pierwsze słyszę.

Weizmann uśmiechnął się i cybuszkiem fajki wskazał mi starą kanapę.

– Siadaj, Bernie, a ja naleję ci coś do picia.

– Niemożliwe! To Żydom wolno jest jeszcze pić alkohol? A już się chciałem nad tobą rozczulić, gdy powiedziałaś mi o tych książkach. Póki można się napić, nic nie jest takie straszne, jak się wydaje.

– Święta prawda, przyjacielu. – Otworzył narożną szafkę, wyjął butelkę sznapsa i ostrożnie nalał mi solidną porcję. Podając mi kieliszek powiedział: – Coś ci powiem. Gdyby nie tacy, co lubią sobie wypić, to państwo stałoby się prawdziwym piekłem. – Podniósł swój kieliszek. – Wypijmy, żeby było coraz więcej pijaków i żeby coraz mniej sprawnie działało to nazistowskie państwo niemieckie.

– Za pijaków – powtórzyłem patrząc, jak wychyla kieliszek. Z jego twarzy biła mądrość, usta, mimo że w nich trzymał ten swój komin, rozchyłał uśmiech. Szeroki, mięsisty nos rozdzielał zbyt blisko osadzone oczy, na nosie siedziały binokle z bardzo grubego szkła. Wciąż jeszcze ciemne włosy zaczesane były w prawo nad wysokim czołem. W dobrze wyprasowanym granatowym garniturze w prążki, Weizmann przypominał Ernsta Lubitscha, aktora komediowego, który został reżyserem filmowym. Usiadł na starej kanapie i zwrócił się w moją stronę.

– Więc co mogę dla ciebie zrobić?

Pokazałem mu zdjęcie kolia Sixa. Przyglądając mu się zaczął sapać, a potem kaszleć.

– Jeśli to prawdziwe... – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Jasne, że to prawdziwe diamenty, inaczej nie pokazywałbyś mi ich fotografii. Piękna sztuka.

– Została ukradziona.

– Bernie, skoro ty tu siedzisz, wiem, że nie wisi na drzewie czekając, aż ją zdejmie straż pożarna. – Wzruszył ramionami. – Piękny naszyjnik, ale nie widzę, co bym ci o nim miał powiedzieć.

– No, no, Weizmann. Zanim cię przyłapano na kradzieży, byłeś jednym z najlepszych fachowców u Friedlaendera.

– Delikatny to ty nie jesteś!

– Po dwudziestu latach w jubilerskiej branży znasz te paciorki jak własną kieszeń.

– Po dwudziestu dwu latach – poprawił i nalał nam po drugim kieliszku. – No dobra, Bernie. Zadawaj pytania.

– Gdyby ktoś chciał ten naszyjnik upłynnić, to gdzie by się udał?

– To zależy.

– Od czego? – zapytałem cierpliwie.

– Od tego, czy ten ktoś byłby gojem czy Żydem.

– Przestań, Weizmann. Nie musisz się przede mną popisywać swoją jarmułką.

– Kiedy ja mówię poważnie, Bernie. W tej chwili ceny na klejnoty spadły. Wielu Żydów wyjeżdża i żeby pokryć koszty emigracji, musi sprzedawać rodzinną biżuterię. Jeśli ją ma. No i otrzymuje za nią grosze. Goj może poczekać, aż ceny znów pójdą w górę. Żyd nie.

Znów zaczął kaszleć, jeszcze raz przyjrzał się fotografii.

– Jedno mogę ci powiedzieć, że nabycie takiej kolia nie leżałoby w moich możliwościach. Owszem, czasem kupuję coś z biżuterii. Ale nigdy nic tak cennego, żeby mogło to zainteresować facetów z Alexu. Oni przecież wiedzą o mnie tyleż co ty, Bernie, wiedzą o moim pobycie w mamrze. Gdybym zбочzył z prostej drogi, znalazłbym się w kacecie prędzej, niż kurwa zdążyłaby zdjąć majtki.

Sapiąc jak zdezelowana katarynka, Weizmann uśmiechnął się i oddał mi fotografię.

– Najlepiej byłoby sprzedać tę kolia w Amsterdamie – powiedział. – Tyle że trzeba by ją wywieźć z Niemiec. A tutejsi celnicy to zhora każdego szmuglera. Cóż, w Niemczech także jest sporo osób, które by ją chętnie kupiły.

– Na przykład kto?

– Na przykład ci, którzy handlują spod lady. Tacy jak Peter Neumaier. Ma ładny sklepik na Schlüterstrasse, specjalizuje się w antycznej biżuterii. To by było coś dla niego.

Słyszałem, że ma kupę szmalu i płaci w każdej walucie. Tak, u niego warto sprawdzić.

Na skrawku papieru zapisał mi nazwisko i adres.

– Potem mamy Wenera Seldte. Na oko robi wrażenie kogoś z Poczdamu, ale nie pogardza śmierzającymi interesami.

„Facet z Poczdamu” było obelżywym określeniem ludzi, którzy tak jak staroświeccy rojaliści tego miasteczka byli zadowolonymi z siebie hipokrytami, beznadziejnie zacofanymi.

– Szczerze mówiąc ma on mniej skrupułów niż fabrykantka aniołków. Jego sklep mieści się przy Budapester Strasse, a może jest to teraz Ebertstrasse albo Hermann Göring Strasse, czy jak obecnie ta cholerna partia raczyła nazwać ową ulicę. Mamy także paru kupców diamentów urzędujących w wytwornych biurach, gdzie nie uświadczysz towaru, a na naiwniaka, który się tam wybierze po zaręczynowy pierścionek, patrzą wzrokiem rabina, któremu podsunęto pod nos kotlet schabowy.

Znów zapisał mi parę nazwisk.

– Ten tutaj, Laser Oppenheimer, jest Żydem. Więc sam widzisz, że jestem bezstronny i nic nie mam przeciwko gojom. Oppenheimer ma biuro przy Joachimsthaler Strasse. W każdym razie miał, kiedy ostatnio o nim słyszałem.

Potem mamy Gerta Jeschonka. On niedawno przybył do Berlina. Działał w Monachium. Słyszałem, że jest jednym z tych „marcowych fiołków”, wiesz, wskoczył do partyjnego pociągu i usiłuje wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści. Ma piękne biuro w tym stalowym szkaradzieństwie na Potsdamer Platz – jak go właściwie zwać?

– Columbus Haus – odpowiedziałem.

– No właśnie. Columbus Haus. Mówią, że nowoczesna architektura nie cieszy się względami Hitlera, Bernie. Wiesz, co to znaczy? – Weizmann zachichotał. – To znaczy, że mamy z sobą coś wspólnego.

– To by byli wszyscy?

– Może i nie.

– Więc na przykład kto?

– Nasz bezkonkurencyjny premier.

– Göring? Kupowałby trefne paciorki? Mówisz poważnie?

– O tak – odparł z przekonaniem. – Ten człowiek ogarnięty jest manią posiadania rzeczy kosztownych. I nie wybrzydza, jeśli chodzi o metody. Wiem, że ma słabość do klejnotów... Kiedy pracowałem u Friedlaendera, często pojawiał się w sklepie. W tamtych czasach nie był bogaty, w każdym razie nie na tyle, żeby dużo kupować. Ale widać było, jak na tę biżuterię patrzy.

– Chryste Panie, Weizmann! Ty to widzisz? Wybieram się do Karinhall i oznajmiam:
– „Zechce mi pan, panie premierze, wybaczyć, ale chciałbym się spytać, czy nic panu nie wiadomo o kosztownym naszyjniku diamentowym, który parę dni temu zniknął z rezydencji na Ferdinandstrasse. Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zajrzę za dekolt pańskiej żony, Emmy, by zobaczyć, czy się tam nie ukrywa?”

– Szatańsko byś się umordował usiłując tam coś znaleźć – sapał podniecony Weizmann. – Ta tłusta maciora dorównuje mu niemal wzrostem. Założyłbym się, że mogłaby wykarmić piersią całe Hitler Jugend i jeszcze by starczyło mleka na śniadanko dla Hermanna.

Tak się rozkasał, że innego człowieka rozerwałoby to na strzępy. Poczekałem, aż uda mu się przyjść do siebie, i wyciągnąłem pięćdziesiątaka. Machnął przecząco ręką.

– Nic ci znów takiego nie powiedziałem.

– To pozwól, że coś kupię.

– Co cię napadło? Nagle nie wiesz, co robić z forszą?

– Nie, ale...

– No, dobrze, coś mi przyszło do głowy. Mam coś, co ci się może przydać. Kieszonkowiec gwizdnął to w czasie wielkiej parady na Unter den Linden. – Wstał i poszedł do kuchenki za kantorem. Wrócił niosąc karton Persilu.

– Dzięki – powiedziałem. – Ale ja oddaję bieliznę do pralni.

– Nic nie rozumiesz – wsadził rękę do proszku. – Schowałem to tutaj na wypadek nieoczekiwanej wizyty. No, jest. – Wyciągnął płaski srebrny krążek i przed położeniem go na mojej dłoni wytarł o klapę. Była to owalna plakietka nie większa od pudełka zapalek. Z jednej strony wszechobecny orzeł niemiecki trzymał w szponach laurowy wieniec otaczający swastykę, z drugiej widniał napis Państwowa Tajna Policja i numer. U góry była dziurka, tę plakietkę należało przyczepić sobie pod marynarką. Była to odznaka Gestapo.

– Powinna otworzyć przed tobą wiele drzwi, Bernie.

– Słuchaj, to nie żarty! – zawołałem. – Chryste, gdyby cię z nią przyłapali!

– Tak, wiem. Ale tobie oszczędzi ona kupę forsy. Więc jeśli chcesz ją, wezmę za nią od ciebie tego pięćdziesiątaka.

– Co się należy, to się należy – odpowiedziałem, choć obleciał mnie strach na myśl o jej noszeniu. Miał rację, mogła mi ona oszczędzić wielu łapówek, ale jeśli mnie przyłapią, wyląduję w Sachsenhausen. Zapłaciłem mu pięćdziesiąt marek. – Boże, chętnie bym zobaczył twarz tego skurwiela, kiedy spostrzegł, że jej nie ma! – Wstałem. – Dzięki za informacje – powiedziałem. – Pewnie nic o tym nie wiesz, ale na powierzchni ziemi panuje lato.

– Tak, zauważyłem, że deszcz stał się jakby cieplejszy. Podłe lato, dobrze, że chociaż

za złą pogodę nie mogą obwiniać Żydów.

– Sądzisz?

Rozdział 5

Na Alexanderplatz wykoleił się tramwaj i zapanował tam straszny bałagan. Zegar na wysokiej ceglanej wieży St. George'a wybił trzecią przypominając mi, że nic nie jadłem od czasu, gdy na śniadanie wciąłem porcję owsianych płatków. Poszedłem do Café Stock; znajdowała się tuż przy domu towarowym Wertheima w cieniu wiaduktu S-Bahnu.

Café Stock to skromna restauracyjka z jeszcze skromniejszym barem w kącie. Rozmiary brzucha opasłego właściciela były takie, że z trudem mieścił się za barem, ale kiedy wszedłem, stał tam, nalewał piwo i wycierał kufle, a jego żona, ładna mała brunetka, krzątała się między stolikami. Przy stolikach tego lokalu często siadywali oficerowie Kripo z Alexu i to skłoniło Stocka, by okazał swe przywiązanie do narodowego socjalizmu. Na ścianie wisiał wielki portret Führera i wywieszka „Prosimy o hitlerowski salut”.

Stock nie wyznawał dawniej takich idei, przed Marcem 1933 r. należał raczej do czerwonych. Wiedział, że o tym wiem, zawsze się zresztą martwił, iż wiele osób może to pamiętać. Nie miałem mu więc za złe ani portretu, ani wywieszki. Przed Marcem 1933 niemal wszyscy w Niemczech byli innymi ludźmi. I zawsze powtarzam: – Kto nie stanie się nazistą, gdy przyłożą mu do głowy pistolet?

Usiadłem przy wolnym stoliku i rozejrzałem się. O dwa stoliki dalej siedziało dwóch gliniarzy z Wydziału Zwalczania Homoseksualizmu, ich brygadę zwano „poławiaczami pedryli”, była to zgraja ludzi niezbyt się różniących od szantażystów. Zaraz za nimi siedział samotnie młody Kriminalassistent z komisariatu na Wedersche Market; dobrze zapamiętałem jego ospowatą twarz, bo zaarrestował mojego najlepszego informatora, Neumanna, którego podejrzewał o kradzież. Frau Stock bez zbędnych uprzejmości przyjęła moje zamówienie: rapka wieprzowa z kiszoną kapustą. Była bystrą niewiastą, wcale jej się nie podobało, że płacę Stockowi za okruchy plotek o tym, co dzieje się na Alexie. Bywało tu tylu oficerów, że Stock niejedno mógł usłyszeć. Frau Stock podeszła do kuchennej windy i krzyknęła w dół: „rapka raz!” Stockowi udało się wydostać zza baru i podszedł do mnie niespiesznym krokiem, w tłustej ręce trzymał egzemplarz „Beobachtera”, gazety będącej organem partii.

– Hallo, Bernie – powiedział. – Podła pogoda.

– Tak, psa by było żal wygnać na ulicę. Jak będziesz miał chwilę czasu, nalej mi piwa.
– Już się robi. Chcesz przejrzeć gazetę?
– Jest coś nowego?
– Do Berlina przybyli państwo Lindbergh. Wiesz, ten facet, który przeleciał Atlantyk.
– Brzmi to wręcz fascynująco. Pewnie podczas pobytu tutaj będzie patronował otwarciu fabryki bombowców. Może nawet zgodzi się polecieć na nowym modelu myśliwca. Prosto do Hiszpanii.

Stock obejrzał się i ruchem ręki nakazał mi, bym umilkł.

– Nie tak głośno, Bernie – poprosił dygocząc jak królik. – Skończy się na tym, że dostanę przez ciebie kulę w łeb. – Mruczając pod nosem poszedł po moje piwo.

Spojrzałem na pozostawioną na stole gazetę. Przeczytałem krótką wzmiankę, że „policja prowadzi śledztwo w sprawie pożaru na Ferdinandstrasse, w którym dwie osoby poniosły śmierć”. Nie wymieniono nazwisk, nie wspomniano, że chodzi o morderstwo. Rzuciłem gazetę na sąsiedni stolik. Wszystkie istotne wiadomości z „Beobachtera” dałoby się zmieścić na pudełku od zapalek. „Poławiacze pedryli” zbierali się do wyjścia... Stock wrócił z moim piwem. Nim postawił kufel na stole, kazał mi się mu przyjrzeć.

– Widzisz tę pianę? – pochwalił się.

– Dziękuję. – Pociągnąłem łyk, a potem wierzchem ręki starłem pianę z górnej wargi. Frau Stock wyjęła z windy i przyniosła mi zamówione przeze mnie danie. Wzrok, którym zmierzyła męża, mógłby wypalić w jego koszuli dziurę, ale on udawał, że tego nie zauważył. Potem zaczęła sprzątać ze stolika, od którego wstał ospowaty Kriminalassistent. Stock usiadł i przyglądał się jak zajadam.

Po chwili spytałem:

– No co? Słyszałeś coś?

– Z kanału Landwehr wyłowiono zwłoki mężczyzny.

– Równie dobrze mógłbyś uważać za coś niezwykłego widok tłustego kolejarza. Przecież wiesz, że gestapo traktuje ten kanał jak własne szambo. Kiedy ktoś w tym przeklętym mieście znika, najpierw trzeba szukać w kanale, a dopiero potem pytać na policji i w kostnicy.

– Tak, ale temu mężczyźnie sterczał z nosa bilardowy kijek. Myślę, że przeszył mu mózg.

Odłożyłem nóż i widelec.

– Nie mógłbyś mi oszczędzić tych milutkich szczegółów, póki nie zjem?

– Przepraszam – powiedział Stock. – Ale to już wszystko. I nie wygląda na normalne

metody gestapo.

– Na Prinz Albrecht Strasse nic nie jest normalne. Może wetknął nos tam, gdzie go nie proszono. A może miał to być jakiś symbol. – Wytarłem usta i położyłem na stole parę monet, a Stock zgarnął je, nawet nie licząc.

– To zabawne, że tam była Akademia Sztuk Pięknych – powiedział. – Myślę o kwaterze Gestapo...

– Można pęknąć ze śmiechu. – Wstałem i poszedłem w stronę drzwi. – Z Lindberghami też dobry numer.

Wróciłem do biura. Frau Protze czyściła szkło poółkłej grawiury z hrabią Tillym, która wisiała w poczekalni, przyglądając się z rozbawieniem tarapatom nieszczęsnego Burgemeistra z Rothenburga. Ledwie wszedłem, rozległ się telefon. Frau Protze uśmiechnęła się do mnie i weszła do swej komórki, by podnieść słuchawkę, a ja po raz pierwszy od dawna przyjrzałem się grawiurze. Burgemeister długo błagał Tilly'ego, szesnastowiecznego dowódcę Cesarskiej Armii Niemieckiej, by ten oszczędził jego miasto, aż wreszcie zdobywca zażądał od niego wychylenia duszkiem sześciu litrów piwa. O ile dobrze pamiętałem, Burgemeistrowi się to udało i miasto zostało ocalone. Zawsze uważałem to za bardzo charakterystyczne dla niemieckiego ducha. To samo łatwo mogłoby dziś strzelić do głowy jednemu z tych zbirów z SA. Niewiele się zmieniło.

– Jakaś pani – oznajmiła Frau Protze. – Nie chce podać nazwiska, ale nalega, żeby móc z panem rozmawiać.

– To proszę ją połączyć – poleciłem wchodząc do mego biura. Wziąłem słuchawkę.

– Spotkaliśmy się wczorajszej nocy – powiedział głos. Zakląłem w duchu myśląc, że to Carola, ta dziewczyna z przyjęcia weselnego Dagmarr. A ja bardzo chciałem o tym epizodzie zapomnieć. Jednakże nie była to Carola. Usłyszałem: – Może powinnam raczej powiedzieć, że widzieliśmy się dziś rano. Pan wychodził, a ja wracałam z przyjęcia. Pamięta pan?

– Frau... – zawahałem się, nie wierząc własnym uszom.

– Proszę dać sobie spokój z Frau. Ilse Rudel, Herr Gunther.

– Jakżebym mógł zapomnieć.

– Mógł pan. Wyglądał pan na potwornie zmęczonego. – Mówiła głosem słodkim jak ulepek. – Hermann i ja nie pamiętamy, że większość osób kładzie się znacznie wcześniej.

– Pozwoli pani zauważyć, że pani to świetnie robi.

– Dziękuję panu – szczebiotała, jakby jej to naprawdę pochlebiło. Zauważyłem już

dawno, że kobiety nigdy nie mają dosyć komplementów, tak jak psy herbatników.

– Czym mogę pani służyć?

– Mam do pana pilną sprawę i chciałabym pogadać – oznajmiła. – Ale wolałabym nie przez telefon.

– Czy może pani zajść do mnie do biura?

– Niestety, to niemożliwe. Jestem w atelier w Babelsbergu. Może wieczorem mógłby pan wpaść do mego mieszkania?

– Do pani mieszkania? – powtórzyłem. – Cóż, z przyjemnością. A gdzie ono jest?

– Badenschestrasse siedem. Powiedzmy o dziewiątej?

– Świetnie.

Odwiesiła słuchawkę. Zapaliłem papierosa. Pomyślałem, że widać gra w jakimś filmie, i puściłem wodze wyobraźni. Na pewno dzwoniła do mnie z garderoby mając na sobie tylko szlafrok, po nakręceniu sceny, w której pływała nago w górskim jeziorze. Wyobrażałem to sobie przez dobre parę minut, mam bujną fantazję. Potem zacząłem się zastanawiać, czy Six wie o tym mieszkaniu. Cóż, na pewno wie. Nie zostaje milionerem ktoś, kto nie umie zapewnić sobie dokładnych informacji o własnej żonie. Pewnie zachowała tę chatę, by ocalić część swego niezależności. Zresztą na pewno udawało jej się zawsze zdobyć to, na co miała ochotę. A jeśli posłużyłaby się w tym celu swoim ciałem – otrzymałaby książkę i na dodatek parę galaktyk. Niemniej byłem prawie pewny, że Six nie wie o tym, że ona chce się ze mną zobaczyć, i że by tego nie pochwałał. Przecież ostrzegał mnie, abym nie pchał nosa w jego sprawy rodzinne. To co miała mi do powiedzenia, na pewno nie nadawało się dla uszu tego gnoma.

Zadzwoiłem do Müllera, reportera od spraw kryminalnych z „Berliner Morgenpost”, jedyne go dziennikarza, który się z kretelem nie zeszmacił. Müller był świetnym dziennikarzem, lecz powoli schodził na psy. Ministerstwo Propagandy zadbało, by nie pojawiały się reportaże w dawnym stylu.

– Słuchaj – powiedziałem po wstępnych uprzejmościach. – Chciałbym, żebyś mi wyszukał w naszych archiwach możliwie dużo informacji o Hermannie Sixie.

– O tym magnacie stalowym? Co, Bernie, zajmujesz się śmiercią jego córki?

– Towarzystwo ubezpieczeniowe zatrudniło mnie, bym wykrył przyczynę pożaru.

– Czego się już dowiedział?

– Wszystkie moje wiadomości dałoby się spisać na bilecie tramwajowym.

– Cóż, mniej więcej tyleż samo zamieścimy w jutrzejszej gazecie. Ministerstwo kazało nam trzymać się od tego z dala. Podać gołe fakty, i to możliwie najmniejszym drukiem.

– Dlaczego?

– Six ma potężnych przyjaciół, Bernie. Za takie pieniądze jak jego można sobie zawsze kupić milczenie.

– A zebrałeś już jakieś dane?

– Tyle, że słyszałem, iż chodzi o podpalenie. Na kiedy te informacje są ci potrzebne?

– Ten tu pięćdziesiątak powiada, że na jutro. I chciałbym, żebyś się także dowiedział możliwie najwięcej o jego rodzinie.

– Każda suma mile widziana. Zadzwoń jutro.

Odwiesiłem słuchawkę, wsadziłem parę dokumentów między stare gazety i wepchnąłem do szuflady. Nagryzmołem kilka słów na bibule i wziąłem do ręki jeden z licznych przycisków, które stały na biurku. Bawiłem się nim, gdy usłyszałem stukanie do drzwi. Do mojego biura wtoczyła się Frau Protze.

– Może mam wciągnąć jakieś dokumenty do kartoteki? – spytała.

Wskazałem na stos papierów leżących na podłodze za biurkiem. – Oto moja kartoteka – oświadczyłem. – Może tego nie widać, ale wszystkie dokumenty leżą w określonym porządku.

Frau Protze uśmiechnęła się i skinęła głową z taką powagą, jakbym poinformował ją o czymś, co zmieni całe jej życie; niewątpliwie chciała mi się podlizać.

– Wszystkie dotyczą aktualnych spraw? – spytała.

Roześmiałem się.

– To nie jest gabinet prawnika. O wielu z nich nie wiem, czy są jeszcze aktualne. Śledztwo często wlecze się w nieskończoność. Trzeba mieć cierpliwość.

– Rozumiem – odpowiedziała. Na moim biurku stała tylko jedna fotografia. Odwróciła ją w swoją stronę.

– Jaka piękna kobieta. To pańska żona?

– Tak, była moją żoną. Zmarła w dzień puczu Kappa. – Chyba już ze sto razy to powtarzałem. Kiedy łączę jej śmierć z innymi wydarzeniami, łatwiej mi ukryć, jak mi jej brak, nawet dziś, po szesnastu latach. – Zmarła na hiszpankę – wyjaśniłem. – Byliśmy razem tylko dziesięć miesięcy. – Pani Protze ze współczuciem pokiwała głową.

Oboje zamilkliśmy. Potem spojrzałem na zegarek.

– Może pani iść już do domu – zaproponowałem.

Kiedy wyszła, dłuższy czas stałem przy oknie i patrzyłem na mokre ulice błyszczące jak lakierki w blasku popołudniowego słońca. Ustał deszcz, zapowiadał się ładny wieczór. Z położonego naprzeciwko Berolina Haus płynął strumień ludzi – urzędnicy wracali do domu,

zagłębiali się w labirynt podziemnych przejść prowadzących na stację U-Bahnu.

Berlin. Dawniej kochałem to miasto. Ale było to, zanim spojrzało w swoje odbicie i włożyło tak ciasny gorset, że z trudem mogło oddychać. Lubiłem jego beztroską filozofię, jazz, wulgarne, pełne życia kabarety i inne kulturalne ekscesy, które charakteryzowały lata weimarskie i sprawiały, że Berlin był jednym z najbardziej ekscytujących miast świata.

Za moim biurem znajdowała się Główna Komenda Policji i wyobrażałem sobie, jak tam harują, by wytropić przestępstwa. Takie jak oznaki braku szacunku dla Führera, wywieszki u rzeźników „Towar wyprzedany”, nieoddawanie salutu hitlerowskiego i homoseksualizm. Berlin pod panowaniem nazistowskiego rządu przypominał wielkie, ciemne, nawiedzone przez duchy domostwo, pełne mrocznych zakątków, ponurych schodów, złowieszczych piwnic, pozamykanych pokojów, a na strychu grasowała cała zgraja upiórów, rzucając książkami, trzaskając drzwiami, tłukąc szyby, wrzeszcząc po nocach i napędzając takiego stracha właścicielom, że często chcieli już sprzedać dom i się wynieść. Zwykle jednak zatykali tylko uszy, zasłaniali oczy i próbowali udawać, że nic się nie dzieje. Opętani strachem, rzadko się odzywali, udając, że nie widzą, jak wyciąga im się spod nóg dywan, i jeśli w ogóle się śmiali, to był to nerwowy śmiech, którym przyjmuje się żarciki szefa.

Nowe Niemcy inwestują głównie w budowę autostrad, szpiclowanie i w policję, Alex ma zatem zawsze mnóstwo roboty. Nawet gdy większość wydziałów kończy pracę, przed wejściem kłębi się jeszcze tłum petentów. Tak było i tego dnia, kiedy się tam pojawiłem. Największym powodzeniem cieszy się wejście nr 4, prowadzące do Biura Paszportowego. Berlińczycy, wśród nich wielu Żydów, wychodzili stamtąd z uszczęśliwionymi lub zrozpaczonymi twarzami.

Poszedłem Alexanderstrasse, minąłem wejście nr 3, przed którym kilku policjantów drogowych – przewanych „białymi myszkami”, gdyż nosili krótkie białe płaszcze, – zsiadało właśnie ze swych motocykli marki BMW. Wyła syrena pędzącej ulicą Zielonej Minny – policyjnej budy. Nie zważając na huk, „białe myszki” udały się do gmachu wejściem nr 3 żeby złożyć raport.

Poszedłem do wejścia nr 2; dobrze znałem teren i wiedziałem, że tylko tamtędy mam szansę wejść niepostrzeżenie. Gdyby ktoś mnie zatrzymał, szedłem do pokoju 32 a, Biura Rzeczy Znalezionych. Ale wejście nr 2 prowadzi także do policyjnej kostnicy.

Nonszalanckim krokiem przeszedłem przez korytarz, zbiegłem po schodach do sutereny, minąłem małą stołówkę, było tam wyjście przeciwpożarowe. Odsunąłem sztabę i znalazłem się na dużym brukowanym dziedzińcu, gdzie stało wiele policyjnych wozów. Jeden

z nich mył jakiś mężczyzna w gumowych butach, nie zwrócił jednak na mnie uwagi, przeszedłem więc dziedziniec i pchnąłem drzwi. Prowadziły one do kotłowni, przystanąłem na chwilę, by uprzytomnić sobie, gdzie jestem. Ale w końcu nie na próżno pracowałem na Alexie dziesięć lat. Bałem się tylko, czy nie spotkam kogoś, kto mnie zna. Wyszedłem z kotłowni, wlałem na schody i znalazłem się na korytarzu, na którego końcu była kostnica.

Kiedy wszedłem do biura kostnicy, poczułem kwaśnawy zapach charakterystyczny dla mokrych kur. Pomieszany z formaliną, stanowił koktajl, od którego zakręciło mi się w nosie, a jednocześnie zbuntował się mój żołądek. W biurze stało parę krzeseł i stół, nic nie wskazywało na to, co mieści się za podwójnymi szklanymi drzwiami, poza tym smrodem i wywieszką: „Kostnica, wstęp surowo wzbroniony”. Uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka.

Na środku ponurego, wilgotnego pokoju stał stół operacyjny połączony z korytem. Po obu stronach tego ceramicznego koryta były dwie marmurowe płyty, lekko pochylone do środka, tak że z ciał mogła ściekać ciecz, którą splukiwała woda płynąca z kranów umieszczonych także po obu stronach. Stół był dostatecznie duży, żeby mogły leżeć na nim dwa ciała, tym razem leżało tylko jedno; były to zwłoki mężczyzny, nad nimi unosił się skalpel. Trzymał go drobny mężczyzna o przeredzonych, ciemnych włosach i wysokim czole. Na długim, zakrzywionym nosie miał okulary, pod nosem przystrzyżone wąsiki, niżej krótką brodę.

Wszedłem cicho i z zawodową ciekawością wpatrzyłem się w ciało. Widać było, że zwłoki długo znajdowały się w wodzie, nasiąknięta skóra złaziła z rąk i stóp, wyglądało to, jakby nieboszczyk miał na sobie rękawiczki i skarpetki. Poza tym ciało znajdowało się w niezłym stanie, jeśli nie liczyć głowy. Była czarna i pozbawiona rysów twarzy; ot, zabłocona futbolowa piłka. Wierzch czaszki został odpilowany, wyjęto mózg. Teraz leżał na nerce niczym lśniący od wilgoci węzeł gordyjski.

Widok ciał ludzi zmarłych nagłą śmiercią, przeraźliwych kolorów, powykręcanych członków, mięsnej miazgi nie robił na mnie większego wrażenia niż widok lady rzeźnika. Czasem dziwiłem się, że jestem aż tak nieczuły, choć wiedziałem, skąd się to wzięło. Za dużo miałem do czynienia ze śmiercią tak na tureckim froncie, jak podczas służby w Kripo, toteż teraz, kiedy patrzyłem na trupy, nie kojarzyły mi się one z ludźmi. Zresztą ta zażyłość ze śmiercią nie skończyła się. Jako wywiadowca często szukałem zaginionych i aż nazbyt często odnajdywałem ich zwłoki w kostnicy Św. Gertrudy – największego berlińskiego szpitala, lub w budce ratownika nad kanałem Landwehr.

Stałem wpatrując się w tę makabryczną scenę i zastanawiając się, czemu głowa w przeciwieństwie do reszty ciała jest w tak koszmarnym stanie. Dopiero po paru minutach dr

Illmann rozejrzał się i mnie zauważył.

– Wielki Boże! – jęknął. – Bernhard Gunther. Więc jeszcze żyjesz.

Podszedłem do stołu i zachłysnąłem się.

– Chryste Panie! Nie spotkałem się z takim smrodem od czasu, gdy mi na twarzy usiadł koń.

– Wygląda jak malowanie, co?

– Rzekłeś. Co mu się stało? Napadł na niego polarny niedźwiedź czy pocałował go Hitler?

– Dziwne, prawda? Głowa wygląda jak spalona.

– Kwas pruski?

– Tak. – Illmann powiedział to zadowolonym tonem profesora, który chwali ucznia za prawidłową odpowiedź.

– Ktoś nie chciał, żeby go można było rozpoznać?

– No właśnie. Jednakże przyczynę śmierci znamy. Wbito mu w nos złamany kij bilardowy. Przeszył mózg, śmierć nastąpiła natychmiast. Bardzo niezwykły sposób zabijania człowieka, jeszcze się z tym nigdy nie spotkałem. Niemniej nauczyłem się niczemu nie dziwić, metody morderców są bardzo urozmaicone. Ale widzę, że ty nie jesteś zaskoczony, jak na gliniarza miałeś zawsze bujną wyobraźnię. No i zimną krew. Nie brak ci tupetu, żeby tu tak spokojnie wejść. Gdybym nie był sentymentalny, wyrzuciłbym cię na zbity pysk.

– Chcę pogadać z tobą o Pfarrach. To ty robiłeś sekcję zwłok, prawda?

– Jesteś dobrze poinformowany – oświadczył. – Akurat dziś rano rodzina zgłosiła się po ciała.

– Co napisałeś w protokole?

– Słuchaj, tu nie mogę rozmawiać. Niedługo skończę. Umówmy się za godzinę.

– Gdzie?

– Może w Künstler Eck, na Alt Kölln. Tam jest dosyć spokojnie i nikt nam nie przeszkodzi.

– W Künstler Eck – powtórzyłem. – Jakoś znajdę. – Odwróciłem się w stronę szklanych drzwi.

– Jeszcze jedno, Bernie. Żebyś nie zapomniał o zwrocie kosztów.

Wydzielony obszar Alt Kölln, który już dawno wchłonęła stolica, to niewielka wysepka na Sprewie. Jest tam wiele muzeów, zyskała więc miano „Muzealnej Wyspy”. Muszę wyznać, że w żadnych z tych muzeów nigdy nie byłem. Niezbyt interesuje mnie

przeszłość i uważam, że ten kraj znalazł się w takim gównie, w jakim się znalazł, częściowo właśnie dlatego, że dostał obsesji na punkcie swojej historii. Nie można wejść do baru, żeby nie usłyszeć, jak ktoś rozprawia o granicach sprzed 1918 roku albo o Bismarcku i o tym, jak daliśmy w dupę Francuzom. Uważam, że nic nikomu nie przyjdzie z grzebania się w zamierzchłych czasach.

Z zewnątrz nic nie zachęcało przechodnia do wejścia do baru Künstler Eck – ani obłaząca z drzwi farba, ani zeschnięte kwiaty w skrzynce przed oknem, a już na pewno nie wywieszony w oknie nagryzmołony napis: „Dziś wieczorem będzie tu można wysłuchać przemówienia”. Zakląłem, bo oznaczało to, że dziś wieczorem na spędzie partyjnym będzie przemawiał Kuternoga i w związku z tym na ulicach powstaną korki. Zszedłem po schodkach w dół i otworzyłem drzwi.

Wewnątrz bar wyglądał jeszcze mniej ponętnie. Ściany obwieszane były makabrycznymi drewnianymi płaskorzeźbami – trupie główki, modele armat, trumny i szkielety. Przy najdalszej ścianie stały organy, na organach wymalowany był cmentarz. Z grobów wyłaniali się nieboszczycy – jakiś garbus grał Haydna. Właściwie tylko dla siebie, bo grupa żołnierzy z oddziałów szturmowych zagłuszała go całkowicie śpiewając „Moje dumne, wielkie Prusy”. Dużo dziwnych rzeczy zdarzyło mi się oglądać w Berlinie, ale ta scena była żywcem wzięta z filmu Conrada Veidta. Oczekiwałem, że lada moment wkroczy jednoręki oficer policji.

Dostrzegłem w kącie Illmanna nad butelką Engelhardta. Zamówiłem jeszcze dwie butelki; kiedy siadałem, żołnierze przestali akurat śpiewać i garbus zabrał się do masakrowania mojej ulubionej sonaty Schuberta.

– Też sobie wybrałeś lokal! – zauważyłem.

– Ja uważam, że jest tu malowniczo.

– Czy ty nie masz na co dzień dosyć śmierci, żeby przychodzić pić w takiej kostnicy?

Wcale nie stropiony, wzruszył ramionami.

– Tylko w obecności śmierci czuję, że jeszcze żyję.

– Czyli dużo by się dało powiedzieć na korzyść nekrofilii.

Illmann uśmiechnął się i przytaknął mi.

– Więc chcesz się czegoś dowiedzieć o tym biednym Hauptsturmführerze i jego żoneczce? – spytał. Skinąłem głową. – Bardzo interesujący przypadek, a trzeba ci wiedzieć, że takie przypadki zdarzają się coraz rzadziej. W tym mieście umiera nagłą a niespodziewaną śmiercią tyle osób, że powinienem mieć ręce pełne roboty. Tylko że zwykle od razu widać, co spowodowało śmierć. I muszę przedstawiać dowody zabójstwa tym samym osobom, które je

popelniły. Wszystko stoi na głowie. – Otworzył teczkę i wyjął z niej granatową aktówkę. – Przyniosłem ci zdjęcia. Pewnie zechcesz się przyjrzeć szczęśliwej parze. Dwie spalone kłody. Zidentyfikowałem ich po obrączkach ślubnych.

Zajrzałem do akt. Zdjęcia zrobiono pod różnymi kątami, ale na wszystkich szare tułuby, łyse jak egipscy faraonowie, leżały na szerniałych sprężynach czegoś, co kiedyś było łóżkiem – niczym kiełbaski zbyt długo pozostawione na ruszcie.

– Miły albumik. Co oni robili, boksowali się? – Uderzyły mnie wyciągnięte w górę pięści.

– Często się to zdarza przy tego rodzaju śmierci.

– Skóra jest pocięta. Wygląda to na ciosy nożem.

– Zwykła rzecz – odparł Illmann. – Od żaru pęka skóra tak jak na przejrzałym bananie.

Pamiętasz jeszcze, jak wygląda banan?

– Gdzie znaleźliście kanistry po benzynie?

Podniósł brwi.

– Ach, więc już o tym wiesz. Znaleźliśmy dwa puste kanistry w ogrodzie. I wszystko wskazywało na to, że leżą tam od niedawna. Nie były zardzewiałe, w jednym z nich pozostało jeszcze na dnie trochę benzyny. A strażacy mówili, że gdy przyjechali, bardzo śmierdziało benzyną.

– Dom został zatem podpalony?

– Niewątpliwie.

– To dlaczego szukałeś kul?

– Doświadczenie długich lat nauczyło mnie, że pożar często służy zatarciu śladów. Znalazłem trzy kule w ciele kobiety, dwie w ciele mężczyzny i trzy w ramie łóżka. Kobieta umarła, nim zaczął się pożar. Jedna kula tkwiła w głowie, druga w gardle. Inaczej było z mężczyzną. W płucach były ślady dymu, a we krwi ślady tlenku węgla. On został ranny w pierś i w twarz.

– Czy znaleziono broń?

– Nie, ale prawdopodobnie był to stary Mauzer.

– Z jakiej odległości oddano strzały?

– Morderca stał w odległości półtora metra. Czyli u stóp łóżka.

– Wszystkie naboje zostały wystrzelone z tego samego pistoletu?

Illmann skinął głową.

– Osiem nabołów – powiedziałem. – Czyli cały magazynek. Ktoś chciał mieć absolutną pewność. Albo był bardzo rozwścieczony. Sąsiedzi nic nie słyszeli?

– Rzekomo nie. Niewykluczone, że myśleli, iż to bankieciak gestapo. O pożarze zawiadomiono straż pożarną o trzeciej dziesiątce nad ranem, zbyt późno, żeby dało się go ugasić.

Garbus przestał grać, gdyż SS-Sturmanni zaczęli śpiewać „Niemcy, nasza duma”. Jeden z nich, wielki, tęgą faceta z blizną na twarzy podszedł do baru, podniósł kufel z piwem i zażądał, by wszyscy obecni przyłączyli się do chóru. Illmann włączył się bez oporów, miał głęboki baryton. Ja śpiewałem fałszywie i bez zapędu. Głośny śpiew nie oznacza patriotyzmu. Ci przekłeci naziści, zwłaszcza młodzi, uważają, że mają monopol na patriotyzm. Może jeszcze nie mają, ale wszystko wskazuje, że to szybko nastąpi.

Kiedy umilkła pieśń, zadałem Illmannowi parę następných pytań.

– Oboje byli nadzy – powiedział. – I sporo wypili. Ona parę koktajli Ohio, a on masę piwa i sznapsa. W chwili śmierci musieli być niezłe pijani. W pochwie kobiety znalazłem spermę, grupa krwi odpowiadała grupie krwi mężczyzny. Musieli spędzić uroczy wieczór. Ach, jeszcze jedno. Była od ośmiu tygodni w ciąży.

– W ciąży – powtórzyłem z namysłem. Illmann przeciągnął się i ziewnął.

– Tak – powiedział. – Chcesz wiedzieć, co jedli na kolację?

– Nie – odparłem stanowczym tonem. – Ale opowiedz mi o sejfie. Był otwarty czy zamknięty?

– Otwarty. – Zamilkł na chwilę. – To ciekawe, że nie pytasz mnie, jak został otwarty. Przypuszczam zatem, że wiesz, iż nie został uszkodzony. Czyli jeśli to było włamanie, to wykonane przez niekiegoś fachowca. Sejf Stockingera to nie zabawka.

– Nie było odcisków palców? – spytałem.

– Był tak spalony, że nie dałoby się ich odszukać.

– Możemy więc przyjąć, że przed śmiercią Pfarrów w sejfie było to, co być w nim powinno, i że został zamknięty na noc.

– Możemy.

– Istnieją zatem dwie możliwości: albo zrobił to zawodowy kasiarz, po czym ich zabił, albo ktoś zmusił ich do otwarcia sejfu, po czym kazał im z powrotem wleźć do łóżka i tam ich zastrzelił. Ale kasiarz nie zostawiłby otwartych drzwiczek.

– Chyba że chciał uchodzić za amatora – wtrącił Illmann. – Według mnie oboje zostali zastrzeleni podczas snu. W każdym razie leżeli, na to wskazuje kąt, pod którym trafiły ich kule. Człowiek przytomny, kiedy ktoś do niego celuje, usiłuje się zerwać. Toteż nie wierzę w tę twoją teorię, że ktoś ich zastraszył. – Spojrzał na zegarek i dopił piwo. Poklepał mnie po kolanie. – Miło było cię zobaczyć, Bernie. Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów.

Przyjemnie pogadać z kimś, kto uważa, że detektyw to nie tylko latarka i kastet. No, ale już i tak niedługo zabawię na Alexie. Nasz niezrównany Reichskriminaldirektor, Arthur Nebe, przenosi mnie na emeryturę, tak jak już przeniósł innych starych konserwatystów.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się polityką.

– Bo się nie interesuję. Ale czy Hitlera nie wybrano właśnie dlatego, że większość osób gównem obchodziło, kto będzie rządził krajem? Co prawda teraz polityka obchodzi mnie jeszcze mniej. I bez żalu odejdę. Niedoczekanie, żebym dołączył do tych „marcowych fiołków”, które czepiają się partyjnego pociągu. Mam dosyć tych przetargów między Sipo i Orpo, kto ma rządzić Kripo. Bardzo trudno jest sporządzać protokół, kiedy człowiek nie wie, czy może, czy też nie może powiedzieć czegoś niepochlebnego o umundurowanych facetach z Orpo.

– Sądziłem, że to Sipo i Gestapo trzymają wodze.

– Na samej górze tak – potwierdził Illmann. – Ale na średnich i niższych szczeblach funkcjonuje jeszcze dawny system administracyjny. Kripo wciąż podporządkowane jest komendom miasta, które stanowią część Orpo. I Orpo potajemnie zachęca komendantów policji, by udaremnił zakusy Sipo. Komendant policji berlińskiej ulega temu. I nienawidzą się nawzajem z naszym Reichskriminaldirektorem, Arthurem Nebe. Można pęknąć ze śmiechu, co? No, przepraszam, ale już naprawdę muszę lecieć.

Informacje Illmanna kosztowały mnie sto marek. Informacje nigdy nie były tanie, ale ostatnio ceny poszły w górę. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Obecnie wszyscy robią machlojki. Pod rządami nazistów w tej czy innej formie kwitnie korupcja. Ciągłe wyciąga się na światło dzienne przykłady korupcji partii politycznych z czasów Republiki Weimarskiej, ale to małe piwo w porównaniu do korupcji obecnej. Teraz skorumpowana jest sama góra partyjna i wszyscy o tym wiedzą. Zatem mnóstwo osób uważa, że też może się nachapać. Mało kto ma jeszcze opory. Nie wyłączając mnie.

Rozdział 6

Tego wieczoru mogło się zdawać, że cały Berlin spieszy do Neuköln, aby uczestniczyć w koncercie Goebbelsa. Jednocześnie dla tych, którym nie uda się dostąpić tego szczęścia, by zobaczyć Naszego Oświecacza Ludu zrobiono wszystko, by go przynajmniej usłyszeli. W każdej restauracji i kawiarni zgodnie z rozporządzeniami znajdowało się radio, oprócz tego na większości ulic zainstalowano na latarniach i słupach reklamowych głośniki, zmobilizowano całą armię ochotników, którzy mieli chodzić od mieszkania do mieszkania i przypominać o obywatelskim obowiązku słuchania tej partyjnej emisji.

Jadąc na zachód Leipzigerstrasse spotkałem pochód idących z pochodniami Brunatnych Koszul, który maszerował Wilhelmstrasse, i musiałem wysiąść z auta, by oddać sztandarowi hitlerowski salut. Gdybym tego nie zrobił, nieźle bym oberwał. Myślę, że wśród tłumu ludzi, którzy wyciągali prawe ramię niczym policjanci drogowi, wielu było takich, którzy robili to dla świętego spokoju, w głębi duszy czując się dosyć głupio. Choć jeśli się dobrze zastanowić, niemieckie partie polityczne zawsze lubiły saluty. Socjaldemokraci podnosili do góry zaciśniętą pięść, bolszewicy z KPD podnosili pięść na wysokość ramienia, centryści wyciągali dwa palce tak, że ręka wyglądała jak pistolet, a naziści wyciągali ręce tak, jakby chcieli udowodnić, że mają czyste paznokcie. Pamiętam, że uważaliśmy to za śmieszne i melodramatyczne, może dlatego nikt nie traktował tego poważnie. A oto teraz sami to robimy. Zwariowany świat.

Badenschestrasse, przecznica Berliner Strasse, znajduje się niezbyt daleko od Trautenaustrasse, przy której mieszkam. Ale co za różnica. Dom nr 7 przy Badenschestrasse to najnowocześniejszy budynek miasta, piekielnie ekskluzywny.

Zaparkowałem moje małe brudne autko między Deusenbergiem i błyszczącym Bugatti. Wszedłem do holu, który wyglądał tak, jakby ograbiono dla niego z marmuru kilka katedr. Zobaczyli mnie tłusty portier i rzeński SS-Sturmann. Zerwali się od stołu, na którym stało radio, leciał właśnie Wagner jako uwertura do transmisji z partyjnego zlotu. Utworzyli żywą barykadę zamierzając nie dopuścić, by mój wygnieciony garnitur i własnoręcznie obcięte paznokcie obraziły swym widokiem dostojnych lokatorów.

– Na wywieszce pisze przecież – oznajmił tłuścioch – że jest to prywatna rezydencja.

Nie przejąłem się ich atakiem. Jestem przyzwyczajony, że wita się mnie bez entuzjazmu.

– Nie widziałem żadnej wywieszki – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Nie życzymy sobie awantur, proszę pana – powiedział. Jego szczęka pękłaby od jednego ciosu pięścią.

– Ja też nie – odpowiedziałem. Z kolei zabrał głos tłuścioch.

– Cokolwiek pan sprzedaje, my tutaj na to nie reflektujemy.

Uśmiechnąłem się kwaśno.

– Niech mnie pan posłucha, tłuściochu: tylko dlatego nie odepchnę pana z drogi, że nie chcę się narażać na smród z pańskich ust. Wiem, że nie będzie to dla pana łatwe, ale jeśli potrafi pan poradzić sobie z telefonem, to proszę zadzwonić do Fräulein Rudel. Dowie się pan, że na mnie czeka.

Tłuścioch pociągnął się za ogromne brunatne wąsy, które przylegały do górnej wargi jak nietoperz do pułapu krypty. Cuchnęło mu rzeczywiście z ust, i to bardziej, niż sądziłem.

– Mam nadzieję, łachudro, że masz rację. Dla twego własnego dobra. – Klnąc pod nosem podszedł do stołu i wykręcił numer. – Czy Fräulein Rudel kogoś oczekuje? – spytał starając się przybrać uprzejmy ton: – Nic mi nie mówiła. – Zasepił się otrzymawszy potwierdzenie. Odłożył słuchawkę i wskazał mi ruchem głowy drzwi do windy.

– Trzecie piętro – syknął.

Na trzecim piętrze z dwóch stron były drzwi. Między nimi długi jak tor rowerowy parkiet; drzwi z prawej strony były uchylone. Pokojówka wprowadziła mnie do salonu.

– Niech pan spocznie – zaproponowała niechętnie. – Ona się ubiera i nie wiadomo, jak to długo potrwa. – Potem zniknęła, a ja zacząłem się rozglądać.

Mieszkanie nie było większe od prywatnego lotniska i wyglądało jak sceneria do filmu Cecila B. de Mille'a, którego fotografia walczyła o pierwszeństwo z innymi fotografiami stojącymi na ogromnym fortepianie. Przyjrzałem się im. Głównie były to fotosy z filmów Ilse Rudel. Na wielu była niezbyt ubrana, to pływała nago, to wyglądała zza drzewa, które zasłaniało najbardziej interesujące szczegóły jej anatomii. Rudel słynęła z tych „rozebranych” ról. Potem zobaczyłem zdjęcie, na którym siedziała w wytwornej restauracji u boku samego dra Goebbelsa, i drugie, gdzie odbywała trening bokserski z Maxem Schmellingiem. Na następnym niósł ją jakiś robociarz, tyle że był nim słynny aktor, Emil Jannings; znałem ten film, była to „Chata budowniczego”. Książka, według której powstał scenariusz, podobała mi się znacznie bardziej.

Poczułem zapach 4711, odwróciłem się i już za chwilę ścisnąłem dłoń pięknej gwiazdy filmowej.

– Widzę, że przyglądał się pan mojej maleńkiej wystawie – powiedziała ustawiając z powrotem fotografie, które oglądałem. – Tyle tu moich zdjęć, że pewnie posądza mnie pan o próżność, ale nie cierpię albumów.

– Nic podobnego – oświadczyłem. – Przyglądałem się z zachwytem.

Spojrzała na mnie z uśmiechem, który tysiące Niemców, ze mną włącznie, przyprawił o bicie serca.

– Cieszę się, że się panu spodobały. – Miała na sobie aksamitną zieloną pidżamę, przewiazaną długą złotą szarfą z frędzelkami, i zielone safianowe pantofelki na wysokim obcasie. Jasne włosy były splecione i upięte z tyłu w węzeł, jak to ostatnio było modne, ale w przeciwieństwie do większości Niemek – była umalowana i paliła papierosa. Bardzo to potępia BdM, Związek Niemieckich Dziewcząt, jako niezgodne z nazistowskim ideałem germańskiej kobiety. Ja jednakże jestem wychowankiem miasta i nie przemawiają do mnie wyszorowane, różowe twarze wieśniaczek, cenię kobiety upudrowane i umalowane. Cóż, Ilse Rudel żyła w innym świecie. Prawdopodobnie uważała nazistowski Związek Niemieckich Dziewcząt za stowarzyszenie sportowe.

– Przepraszam za tych facetów na dole – powiedziała. – Ale widzi pan, na górze mieszkają Josef i Magda Goebbelsowie, więc potrzebne jest dodatkowe zabezpieczenie. A propos, obiecałam Josefowi, że zrobię, co będę mogła, by słuchać jego przemówienia. Choćby częściowo. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Takie pytanie mógł zadać tylko ktoś, kto był na ty z ministrem propagandy i oświecenia publicznego oraz z jego małżonką. Wzruszyłem ramionami.

– Będę zachwycony.

– Posłuchamy tylko parę minut – powiedziała włączając radio stojące na barku z orzechowego drzewa. – Czego się pan napije? – Poprosiłem o whisky i naląła mi tyle, że w alkoholu zmieściłaby się sztuczna szczeka. Sobie naląła z wysokiego dzbanka Bowle, ulubiony letni berliński napój, i usiadła przy mnie na kanapie koloru i kształtu niedojrzałego ananasa. Stuknęliśmy się szklankami, tymczasem radio rozgrzało się i popłynął z niego głos mieszkającego o piętro wyżej pana.

Goebbels zaczął od ataku na zagranicznych dziennikarzy, którzy tak stronniczo przedstawiają życie w naszych Niemczech. Udało mu się parę dowcipów, usłyszeliśmy śmiech i oklaski tłumu pochlebców. Rudel uśmiechała się zdawkowo, ale milczała, zastanawiałem się, czy rozumie, o czym mówi jej sąsiad-kuternoga. Potem podniósł głos i

zaczął lżyć zdrajców – nie wiedziałem, kogo ma na myśli – którzy próbują sabotować nazistowską rewolucję. Gwiazda stłumiła ziewnięcie. A kiedy poruszył swój ulubiony temat i zaczął wynosić pod niebiosa Führera, zerwała się i zamknęła radio.

– Na jeden wieczór wystarczy. – Podeszła do gramofonu, wybrała jakąś płytę.

– Lubi pan jazz? – spytała, zmieniając temat. – Niech się pan nie denerwuje, to nie jest jazz murzyński. Ja uwielbiam jazz. Teraz wolno w Niemczech słuchać tylko niemurzyńskiego jazzu, często się zastanawiam, czym się on od tamtego różni.

– Ja lubię każdy jazz – odparłem. Nakręciła gramofon, nastawiła płytę. Odprężająca muzyka, saksofon brzmiał tak, że poprowadziłby do ataku całą kompanię Włochów.

– Czy wolno mi spytać, po co pani to mieszkanie – spytałem.

Tanecznym krokiem wróciła i znów usiadła na kanapie.

– Cóż, panie Prywatny Wywiadowco, Hermanna nuży towarzystwo moich przyjaciół. Często pracuje w domu, i to do późnej nocy. Więc żeby mu nie przeszkadzać, zapraszam moich gości tutaj.

– Bardzo rozsądne rozwiązanie – pochwaliłem. Wypuściła nosem obłok dymu. Zaciągnąłem się nim głęboko, nie tylko dlatego, że lubię dym amerykańskich papierosów, ale ten dym wydobywał się z jej klatki piersiowej. A jej piersi zafascynowały mnie, przy każdym ruchu widziałem, że są duże i nie skrępowane stanikiem.

– Więc czym mogę pani służyć? – spytałem. Ku mojemu zdumieniu dotknęła lekko mego kolana.

– Proszę się odprężyć – uśmiechnęła się. – Chyba się pan nie śpieszy? – Pokręciłem głową i patrzyłem, jak gasi papierosa. W popielniczce pełno już było niedopałków czy też raczej ledwie napoczętych zabarwionych szminką papierosów. Przyszło mi na myśl, że jest zdenerwowana i to ona powinna się odprężyć. Czym się denerwuje? Mną? Jakby na potwierdzenie mojej teorii, zerwała się, naląła sobie następną szklankę Bowle i nastawiła inną płytę.

– Dolać panu?

– Nie, dziękuję. – Wypiłem następny łyk, była to świetna whisky, miękko spływała do gardła nie pozostawiając palącego posmaku. Zapytałem ją, czy dobrze знаła Paula i Grete Pfarr. To pytanie nie zdziwiło jej. Usiadła tuż koło mnie, tak że mnie dotykała, i dziwnie się uśmiechnęła.

– Cóż – powiedziała – zapomniałam, że ma pan na zlecenie Hermanna zbadać przyczyny pożaru. – Dłuższy czas uśmiechała się i dorzuciła: – Pewnie policja okazała się bezradna, a teraz pojawi się pan – w jej głosie zabrzmiała nuta sarkazmu – Wielki Detektyw, i

tajemnica przestanie być tajemnicą.

– Nie ma tu żadnej tajemnicy, Fräulein Rudel – powiedziałem prowokacyjnym tonem.

– Jak to, przecież nie wiadomo, kto podpalił dom?

– Tajemnica jest czymś, co wykracza poza ludzkie rozumienie, i gdyby chodziło o tajemnicę, marnowałbym tylko swój czas. Nie, tu chodzi o zagadkę, a ja lubię rozwiązywać zagadki.

– Ja także – odpowiedziała; miałem uczucie, że sobie ze mnie podkpiwa. – I proszę mówić do mnie Ilse. Ja również będę mówić panu po imieniu. Jak pan ma na imię?

– Bernhard.

– Bernhard – powtórzyła, jakby chcąc sprawdzić, czy to imię jej się podoba, i zaraz je zdrobniła. – Bernie! – Wypiła duży łyk kruszonu z szampana i białego wina, wyjęła ze szklanki truskawkę i zjadła ją. – Ty, Bernie, musisz być na pewno świetnym wywiadowcą, skoro Hermann powierzył ci tak poważną sprawę. Myślałam, że wszyscy detektywi to podejrzani faceci, którzy podglądają mężów przez dziurkę od klucza, żeby dostarczyć żonom dowodów zdrady.

– Ja nie przyjmuję spraw rozwodowych.

– Czyżby? – powiedziała, uśmiechając się do samej siebie. Ten uśmiech zirytował mnie, było w nim coś protekcyjnego, a jednocześnie prowokującego – miałem ochotę ją pocałować. Albo uderzyć. – Powiedz mi, dużo zarabiasz? – Dotknęła mego uda dając do zrozumienia, że zamierza dalej mnie wypytywać, i dorzuciła: – Może to zabrzmiało niegrzecznie. Ale chciałabym wiedzieć, czy zarabiasz dosyć na wygodne życie?

Nim odpowiedziałem, rozejrzałem się po przebogatym wnętrzu.

– Moje życie jest mniej więcej tak wygodne jak krzesło Bauhausu.

Roześmiała się. A ja dodałem:

– Nie odpowiedziałś mi, Ilse, na moje pytanie o Pfarrach.

– Czyżby?

– Nie udawaj.

Wzruszyła ramionami.

– No jasne, że ich znałam.

– Czy na tyle dobrze, by wiedzieć, co Paul zarzucał twojemu mężowi?

– Naprawdę cię to interesuje?

– Na początek.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– No, dobrze. Możemy chwilę poudawać, że to o to ci chodzi, ale tylko póki mi się nie

znudzi. – Podniosła brwi i spojrzała na mnie pytająco. Nie miałem pojęcia, co chce przez to powiedzieć, ale się grzecznie zgodziłem.

– Jak sobie życzysz.

– To prawda, że nie byli w najlepszych stosunkach, ale nie mam pojęcia dlaczego. Kiedy Paul i Grete pobierali się, Hermann bardzo się temu małżeństwu sprzeciwiał. Uważał, że Paul szuka bogatej żony. Próbował na Grete wpłynąć. Ale Grete nie dała sobie przemówić do rozsądku. Z początku małżeństwo układało się szczęśliwie. Aż do śmierci pierwszej żony Hermanna. To wówczas ich naprawdę poznałam. Kiedy wyszłam za Hermanna zauważyłam, że coś jest nie w porządku. Grete zaczęła pić. I całe to małżeństwo stało się czymś w rodzaju figowego listka – chodziło o zachowanie pozorów. Paul pracował przecież w tym ministerstwie...

– Na czym polegała jego praca?

– Nie mam pojęcia.

– Paul miewał flirty?

Roześmiała się.

– Myślisz, że były w jego życiu inne kobiety? – Znow zaczęła się śmiać. – Paul był przystojny, ale mało przedsiębiorczy. Wyglądało na to, że cały czas poświęca pracy. Jeśli miał jakiś romans, to bardzo dyskretny.

– A ona?

Ilse Rudel potrząsnęła złocistą główką i wypila duży łyk kruszonu.

– Nie, to nie było w jej stylu. – Zawahała się, jakby coś sobie przypominała. – Chociaż... – Wzruszyła ramionami. – Ale to chyba mało ważne.

– Co?

– Raz w Dahlem przyszło mi na myśl, że Grete łączy coś z Haupthändlerem.

Podniosłem pytająco brwi.

– No, z tym prywatnym sekretarzem Hermanna, Haupthändlerem. To było wtedy, kiedy Włosi zajęli Addis Abebę. W ambasadzie włoskiej odbyło się przyjęcie.

– Czyli działo się to na początku maja?

– Tak. Hermann wyjechał gdzieś w związku ze swoimi interesami, poszłam więc na to przyjęcie sama. Następnego dnia miałam rano zdjęcia w UFA. Postanowiłam zatem przenocować w Dahlem, żeby nie musieć rano tak wcześnie wstawać. Stamtąd jest dużo bliżej do Babelsbergu. Kiedy wróciłam do domu, zajrzałam do salonu, bo zostawiłam tam książkę, i zobaczyłam, że w ciemnościach siedzą Grete i Hjalmar Haupthändler.

– Co robili?

– Nic. Zupełnie nic. Właśnie to wydało mi się podejrzane. Była druga nad ranem, a oni siedzieli w przeciwległych końcach kanapy jak para młodzików na pierwszej randce. Mieli strasznie zakłopotane miny, kiedy mnie zobaczyli. Zaczęli coś truć, że się zagadali i nie mieli pojęcia, że się zrobiło tak późno. Ale na to się nie dałam nabrać.

– Opowiedziałaś o tym mężowi?

– Nie – odparła. – Szczerze mówiąc zupełnie o tym zapomniałam. Zresztą nawet gdybym nie zapomniała, nie opowiedziałabym. Hermann na pewno by się w to wtrącił, a takich spraw należy po prostu nie zauważać, wtedy się wszystko jakoś układa. Hermann zaś, jak większość ludzi bogatych, jest podejrzliwy i nieufny.

– Tobie jednak ufa, skoro pozwolił ci zachować własne mieszkanie.

Pogardliwie się roześmiała.

– Chyba żartujesz. Gdybyś ty wiedział, czego ja musiałam wysłuchać! Ale pewnie wiesz, skoro jesteś detektywem. – Nie czekała na moją odpowiedź. – Musiałam kolejno odprawić kilka pokojówek, bo przekupywał je, żeby mnie szpiegowały. Jest bardzo zazdrosny.

– Gdybym był na jego miejscu, postąpiłbym tak samo. O taką kobietę jak ty każdy mężczyzna byłby zazdrosny.

Spojrzała mi w oczy, potem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Było to prowokacyjne spojrzenie, na takie spojrzenia mogą sobie pozwolić tylko kurwy i piękne gwiazdy filmowe. Krew szybciej zaczęła mi krążyć w żyłach, a jednocześnie chętnie bym się zapadł pod ziemię.

– Coś mi się zdaje, że lubisz wzbudzać w mężczyźnie zazdrość. Należysz do tego gatunku kobiet, które chcąc skrócić w prawo, wyciągają dla niepoznaki lewą rękę. Czy powiesz mi wreszcie, czemu mnie tu dziś zaprosiłaś?

– Odesłałam już pokojówkę – powiedziała – więc przestań gadać bzdury i mnie pocałuj, ty mój niemądry chłopcze!

Zazwyczaj nie lubię, by mi rozkazywano, ale tym razem nie zamierzałem się opierać. Nie co dzień zdarza się, by gwiazda filmowa żądała pocałunku. Podała mi miękkie usta, rozchylając wargi, a ja starałem się – z czystej uprzejmości – sprostac jej kunsztowi. Po minucie całe jej ciało drgnęło, oderwała wargi od moich, które zachowywały się jak pijawka, i powiedziała urywanym głosem:

– To był pocałunek.

– Wprawiam się na własnym przedramieniu – oświadczyłem. Uśmiechnęła się i zaczęła mnie całować tak, jakby chciała stracić kontrolę nad samą sobą, a za to uzyskać

kontrolę nade mną. Oddychała głośno – jakby brakowało jej tlenu, wreszcie powiedziała:

– Chcę ciebie, Bernie.

Każde jej słowo trafiało do mego rozporoka. Wstaliśmy i poprowadziła mnie w stronę sypialni.

– Muszę skoczyć do łazienki – powiedziałem. Ona zdejmowała już górę od piżamy, jej piersi zakołysały się, były to piersi rzeczywiście godne gwiazdy i nie mogłem oderwać od nich wzroku. Brązowe sutki wyglądały jak hełmy brytyjskich Tommych.

– Pośpiesz się, Bernie – powiedziała rzucając na ziemię szarfę, a potem spodnie, stała już tylko w figach.

Ale ja zabawiłem w łazience pewien czas, przyglądając się sobie w zajmującym całą ścianę lustrze i zapytując się, czemu ta bogini wybrała sobie właśnie mnie, bym zbrukał jej jedwabne prześcieradła. Miałem złamany nos, wystającą szczękę i za przystojnego mógłbym uchodzić tylko na bokserkim ringu. Ani przez chwilę nie łudziłem się, że uległa czarowi moich błękitnych oczu i jasnych włosów. Czegoś ode mnie chciała, przypuszczałem, że wiem czego. Niemniej w tej chwili wszystkimi moimi uczynkami rządziła silna erekcja.

Gdy wróciłem do sypialni, Ilse stała w tym samym miejscu, czekając na mnie. Zerwałem z niej majteczki i pociągnąłem ją na łóżko, rozchyliłem jej opalone uda ruchem ucznia, który otwiera bezcenną książkę. Przez chwilę studiowałem tekst wodząc po nim palcem i napawając oczy widokiem, o jakim dotąd nie mogłem nawet marzyć.

Nie zgasiłiśmy światła, więc kiedy w nią wszedłem, mogłem się widzieć w lustrze. A potem ona położyła się na mnie, posapując jak zadowolony, rozespany pies i gładząc mnie po piersi powiedziała:

– Jesteś świetnie zbudowany.

– Moja matka była kowalem. A hufnale w końskie kopyta wbijała jednym uderzeniem dłoni.

Zaśmiała się.

– Dużo nie mówisz, ale lubisz pożartować, prawda?

– W Niemczech już i tak zbyt wielu nieboszczyków zachowuje śmiertelną powagę.

– W dodatku jesteś cynikiem. Dlaczego?

– Bo byłem księdzem.

Dotknęła blizny od szrapnela na moim czole.

– Co to?

– W niedzielę po nabożeństwie boksowałem się w zakrystii z ministrantem. Lubisz boks? – spytałem przypomniawszy sobie jedną z fotografii na fortepianie.

– Uwielbiam – odpowiedziała. – Lubię silnych, gwałtownych, mężczyzn. Lubię chodzić do Cyrku Buscha i przyglądać się treningom przed zawodami, widzieć, kto woli bronić się, a kto z niczym się nie licząc, atakuje.

– Zupełnie jak patrycjuszki w starożytnym Rzymie – oświadczyłem. – One też sprawdzały, jak walczą gladiatorzy, nim założyły się, który zwycięży.

– Tak. Lubię tych, którzy zwyciężają. Ty na przykład...

– Tak?

– Wyglądasz mi na kogoś, kto potrafi wytrzymać ciężką walkę. Na cierpliwego i metodycznego. A potem bierzesz odwet. Jesteś niebezpiecznym przeciwnikiem.

– A ty?

Podskoczyła siedząc na mnie i jej piersi zakotływały się zachęcająco, ja jednakże, chwilowo przynajmniej, straciłem na nie apetyt.

– No, właśnie, powiedz mi – zawołała podniecona. – Za jakiego zawodnika mnie uważasz?

Spojrzałem na nią spod oka.

– Myślę, że długo tańczyłabyś wokół przeciwnika, zmęczyłabyś go i wreszcie powaliła jednym ciosem. Nie interesowałoby cię zwycięstwo na punkty. Przeciwnik ma leżeć na deskach. Jednego w tej dzisiejszej walce nie rozumiem.

– A mianowicie czego?

– Dlaczego sądzisz, że zrobisz ze mną, co zechcesz?

Usiadła na łóżku.

– Nie rozumiem.

– Owszem, rozumiesz. – Teraz, kiedy już ją posiadałem, łatwiej mi było powiedzieć to, co miałem do powiedzenia. – Sądzisz, że twój mąż zaangażował mnie po to, bym ciebie śledził, prawda? Nie wierzysz, że zajmuję się pożarem. I dlatego zaplanowałaś tę orgietkę, by mieć mnie w ręku. Cóż, zmarnowałaś czas. Ja naprawdę, tak jak ci powiedziałem, nie zajmuję się sprawami rozwodowymi.

Westchnęła i zakryła ramionami piersi.

– Dziwny moment wybrałaś sobie do takich oświadczeń, ty przeklęty łapsie.

– Ale mam rację, prawda?

Wyskoczyła z łóżka i wiedziałem, że ostatni raz widzę jej nagie ciało. Odtąd tak jak wszyscy będę musiał chodzić do kina, by udało mi się zobaczyć zarys jej piersi. Podeszła do szafy i zdjęła z wieszaka szlafrok. Z kieszeni wyjęła paczkę papierosów. Zapaliła jednego, paliła go zapalczywie i gniewnie.

– Mogłam ci od razu zaoferować kupę forsy – rzekła. – A zamiast tego dałam ci siebie. Ile chcesz?

Rozwścieczony klepnałem się po nagim udzie.

– Cholera, czemu nie słuchasz, co mówię? Powiedziałem ci wyraźnie, że nie zostałem zatrudniony po to, by cię podglądać przez dziurkę od klucza i dowiedzieć się, kto jest twoim kochankiem.

Z niedowierzaniem wzruszyła ramionami.

– Skąd wiesz, że mam kochanka?

Wstałem z łóżka i zacząłem się ubierać.

– Do tego niepotrzebne mi szkła powiększające. Jasna rzecz, że musisz mieć kochanka, skoro aż tak zaczęłaś się mnie bać.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Czyżby? Założę się, że należysz do gatunku ludzi, którzy potrafią na łysinie wypatrzeć wesz. Skąd ci przyszło na myśl, że się ciebie boję? Nie lubię tylko, gdy ktoś wkracza w moje życie prywatne. Wiesz co, zmywaj się. – Odwróciła się do mnie tyłem.

– Już się robi! – Zapiąłem szelki i włożyłem marynarkę. Przy drzwiach sypialni zatrzymałem się i po raz ostami spróbowałem przemówić jej do rozumu.

– Jeszcze raz ci powtarzam, że nie kazano mi ciebie śledzić.

– Zrobiłeś mnie w konia.

Potrząsnąłem głową.

– Nic z tym nie miałem wspólnego. Sama sobie zawiniłaś. Dziękuję za niezapomniany wieczór. – Kiedy wychodziłem, zaczęła mnie obsypywać przekleństwami; były to wyrazy, które słyszy się z ust mężczyzny, gdy walnął się młotkiem w palec.

Jadąc do domu kląłem w duchu jak szewc. Wściekły byłem, że wszystko przybrało taki obrót. Nie co dzień zdarza się, żeby jedna z największych gwiazd filmowych Niemiec wzięła człowieka do łóżka, a potem wyrzuciła go na zbity pysk. Chętnie bym się lepiej zapoznał z jej cudownym ciałem. Czuję się jak ktoś, kto na loterii fantowej wygrał główną nagrodę i w chwilę później dowiedział się, że to nieporozumienie. Niemniej powtarzałem sobie, że tego właśnie należało oczekiwać. Bogate kobiety często przypominają ulicznice.

Wróciwszy do domu nalałem sobie drinka i zagrzałem wodę na kąpiel. Potem włożyłem kupiony u Wertheima szlafrok i od razu poprawiło mi się samopoczucie. Było duszno, otworzyłem okna. Próbowałem czytać, musiałem jednak usnąć, bo gdy usłyszałem stukanie do drzwi, było już na pewno kilka godzin później.

– Kto to? – spytałem wchodząc do przedpokoju.

– Otwierać! Policja!

– O co chodzi?

– Chcemy panu zadać parę pytań – odpowiedział męski głos. – Chodzi o Ilse Rudel.

Godzinę temu znaleziono ją martwą. Została zamordowana.

Otworzyłem drzwi, lufa parabellum dotknęła mego brzucha.

– Cofnij się – nakazał mężczyzna z pistoletem. Cofnąłem się, instynktownie podnosząc do góry ręce.

Mężczyzna miał na sobie sportową bawarską kurtkę z niebieskiego lnu i kanarkowożółty krawat. Błądą twarz przecinała blizna, ale tak cienka i elegancka, że prawdopodobnie mężczyzna ten sam zranił się brzytwą, w nadziei, że będzie to wyglądało tak, jakby się za czasów studenckich pojedynkował. Zalatywało od niego piwem, wlaź do mego przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Jak każesz, bracie – powiedziałem, widząc z ulgą, że nie jest z tym parabellum za pan brat. – Nie powinienem się dać nabrać na tę bajeczkę o Fräulein Rudel.

– Ach, ty skurwielu!

– Czy mogę opuścić ręce? Mam kłopoty z krążeniem. – Opuściłem ręce. – O co chodzi?

– Tylko nie próbuj zaprzeczać.

– Czemu?

– Że ją zgwałciłeś. – Mocniej chwycił pistolet, przełknął nerwowo ślinę, latała mu grdyka. – Opowiedziała mi wszystko. Więc się nie wypieraj.

Wzruszyłem ramionami.

– Na co by się to zdało? Na twoim miejscu też wierzyłbym raczej jej. Ale czy ty aby wiesz, co robisz? Alkohol śmierdzi od ciebie na milę. Naziści w wielu sprawach zliberalizowali przepisy, ale nie zniesli kary śmierci. Choć wyraźnie jesteś jeszcze za młody, żeby wytrzymać porządną dawkę alkoholu.

– Zabiję cię – oznajmił oblizując zeschnięte wargi.

– Dobrze, dobrze, tylko błagam cię, nie celuj w brzuch – wskazałem na jego pistolet. – Bo gotów jesteś mnie nie zabić, a ja resztę życia będę mógł pić wyłącznie mleko. Na twoim miejscu celowałbym raczej w głowę. Między oczy. To trudny strzał, ale za to pewna śmierć. Szczerze mówiąc tak się akurat źle czuję, że wyrządzisz mi dużą przysługę. Musiałem zjeść coś niestosownego, bo moje wnętrzności zachowują się jak w lunaparku. – I na potwierdzenie pierdnąłem, zabrzmiało to jak trąba.

– Chryste Panie – jęknąłem i machnąłem przed nosem ręką. – Sam widzisz.

– Przestań, bydlaku – syknął młody człowiek. Ale podniósł pistolet i wymierzył go w moją głowę. Dobrze znałem parabellum z czasów wojny. Przy pierwszym strzale lekko się zacina. Głowa jest mniejsza niż brzuch, może uda mi się uchylić.

Rzuciłem się, by chwycić go w pól, nad moją głową świsnęła kula i coś tam za mną roztrzaskała... Obaj runęliśmy na frontowe drzwi. Sądziłem, że łatwo sobie z nim poradzę, ale się myliłem. Chwyciłem go za nadgarstek ręki, w której trzymał pistolet, on opierał się z siłą, o którą go nie podejrzewałem. Złapał mnie za kołnierz. Kołnierz pękł.

– Cholera! – zakląłem. – Tego już nadto. – Udało mi się wsadzić mu lufę pistoletu pod żebra. Parłem z całej siły, mając nadzieję że mu te żebra połamię, tymczasem pistolet wypalił i trysnęła na mnie gorąca krew. Chwilę trzymałem jeszcze w ramionach jego zwiotczące ciało.

Wstałem i przyjrzałem mu się. Nie żył, choć z rany na piersi tryskała jeszcze krew. Przeszukałem jego kieszenie. Człowiek woli wiedzieć, kto usiłował go zabić. Znalazłem portfel z dowodem osobistym na nazwisko Walther Kolb i dwieście marek. Nie miało sensu zostawiać forsy chłopcom z Kripo, wziąłem więc sto pięćdziesiąt marek, by pokryć sobie koszty szlafroka. Znalazłem też dwa zdjęcia, jedno pornograficzne – jakiś mężczyzna wsadził dziewczynie w tyłek gumową rurę, drugim był fotos Ilse Rudel, a na nim napis: „Kocham cię”. Spaliłem zdjęcie mojej, jak by to powiedzieć, nałożnicy, nalałem sobie kielicha i wciąż zdziwiony tą erotyczną lewatywą zadzwoniłem po policję.

Z Alexu przyjechało dwóch gliniarzy. Wyższy rangą oficer, Oberinspektor Tesmer, był gestapowcem, towarzyszył mu Inspektor Stahlecker, jeden z moich nielicznych dawnych przyjaciół, którzy jeszcze pracowali w Kripo. Ale i tak zanosilo się na ciężką przeprawę, zadba już o to Tesmer.

– I to by było wszystko – oświadczyłem opowiedziawszy im po raz trzeci przebieg wydarzeń. Siedzieliśmy przy moim stole, na którym leżało parabellum i zawartość kieszeni nieboszczyka. Tesmer z wolna pokręcił głową, jakbym mu ofiarował sprzedaż czegoś, z czym nie wiedziałby, co począć.

– Wymyśl jakąś prawdopodobniejszą historyjkę. Posłuchaj dobrej rady! – Wąskie, niemal niewidoczne wargi Tesmera wyglądały jak szpara, w której co chwila pojawiały się gryzoniowate zęby i szarawa ostryga języka.

– Widzisz, Tesmer – powiedziałem – wiem, że to się z trudem mieści w głowie, ale uwierz mi. Mówię szczerą prawdę. Złoto nie zawsze się świeci.

– To oczyść je z kurzu! Co wiesz o tym truposzu?

Wzruszyłem ramionami.

– Tyle, ile się dowiedziałem z zawartości jego kieszeni. No i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza się ze mną skumplować.

– To by przemawiało na jego korzyść – oświadczył Tesmer.

Stahlecker z zakłopotaną miną siedział koło swego szefa i nerwowo pociągał za przepaskę na oku. Stracił to oko w piechocie pruskiej, a jednocześnie otrzymał za swoje bohaterstwo wysoce ceniony medal „Pour le Mérite”. Przepaska wyglądała imponująco, ja jednak wolałbym oko. Był smagły, miał czarne krzaczaste wąsy, wypisz wymaluj pirat, choć przeczył temu jego sposób bycia, zachowywał zawsze rozwagę i poruszał się dość flegmatycznie. Świetny policjant i lojalny przyjaciel. Musiał jednak uważać, by nie poparzyć sobie palców, gdy Tesmer przypiekał mnie na wolnym ogniu. Był przyzwoitym człowiekiem i podczas wyborów w 1933 roku pozwolił sobie wygłosić parę nieopatrznych uwag pod adresem NSDAP. Odtąd trzymał język za zębami, ale obaj wiedzieliśmy, że Kripo czeka tylko na pretekst, by go wysłać na grzybki. Utrzymał się tak długo jedynie dzięki swej wojennej przeszłości.

– Czy chcesz powiedzieć, że próbował cię zabić, bo mu się nie spodobał zapach twojej wody kolońskiej? – spytał Tesmer.

– Jak na to wpadłeś? – Zobaczyłem, że Stahlecker uśmiecha się pod nosem, zauważył to także Tesmer, któremu się to bardzo nie spodobało.

– Gunther, jesteś bezczelny jak czarnuch! Tego tu oto twojego przyjaciela może to śmieszyć, ale wiedz, że ja uważam cię za buca, więc lepiej przestań. Nie licz na moje poczucie humoru.

– Powiedziałem ci prawdę, Tesmer. Otworzyłem drzwi, a w nich stał Herr Kolb mierząc ze spluwy w mój żołądek.

– Celował w ciebie z parabellum, a ty go wykończyłeś? Powinien podziurawić cię jak sito.

– Ukończyłem korespondencyjny kurs hipnozy. Jak ci już mówiłem, miałem mnóstwo szczęścia. Spudłował. Widzisz przecież tę stłuczoną lampę.

– Mnie tak łatwo nie zahipnotyzujesz. Ten facet był profesjonalistą. Nie dałby sobie odebrać gnata.

– Może i był profesjonalistą, ale jako sprzedawca w sklepie z konfekcją. Nie gadaj bzdetów. To dzieciuch.

– Tym gorzej dla ciebie. Zamordowałaś nieletniego.

– Nie był ani nieletni, ani słaby. Popatrz na moją przeciętą wargę. I podarty szlafrok.

Tesmer roześmiał się wzgardliwie.

– Bo jesteś flejtuch!

– No, no, ten szlafrok kosztował pięćdziesiąt marek. Nie sądzisz chyba, że podarłem go na twój benefis?

– Jak cię było stać, żeby go kupić, to byłoby też stać, by go zniszczyć. Zawsze uważałem, że tacy jak ty za dużo zarabiają.

Rozparłem się na krześle. Przypomniałem sobie, że Tesmer był jednym z tych zbirów Walthera Wecke, którzy przeprowadzili czystkę wyrzucając z Kripo konserwatystów i bolszewików. Wyjątkowy skurwiel. Zastanawiałem się, jakim cudem Stahleckerowi udało się jeszcze nie wylecieć.

– Ile zarabiasz, Gunther? Trzysta marek tygodniowo? Czteryście? Pewnie tyle, co ja i Stahlecker razem. Prawda, Stahlecker?

Stahlecker wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem?...

– Widzisz – powiedział Tesmer – Stahlecker nawet nie potrafi sobie wyobrazić, ile ty zarabiasz rocznie.

– Masz nieodpowiednie zajęcie, Tesmer. Tak lubisz przesadzać, że powinieneś pracować w Ministerstwie Propagandy.

Nic na to nie odpowiedział. Po chwili milczenia poddałem się.

– No, dobra, dobra. Ile mnie to będzie kosztować?

Tesmer wzruszył ramionami usiłując powstrzymać uśmiech zadowolenia.

– Skoro chodzi o człowieka, który może sobie pozwolić na szlafrok za pięćdziesiąt marek, to chyba okrągłą setkę.

– Setkę? Za tego szmaciarza? Przyjrzyj mu się, Tesmer. Przecież nie ma ani wąsika Charlie'ego Chaplina, ani sztywnego ramienia.

Tesmer wstał.

– Za dużo gadasz, Gunther. Nie strzep sobie języka, bo dopytasz się biedy. – Spojrzał na Stahleckera, potem znów na mnie. – Idę się wysiusiać. Może ten tu oto twój stary kumpel przemówi ci do rozsądku, albo inaczej pogadamy... – Wydał usta i pokręcił głową. Wychodził już, gdy zawołałem za nim:

– Nie zapomnij podnieść deski! – Uśmiechnąłem się do Stahleckera.

– Jak ci leci, Bruno?

– Co ty wyprawiasz, Bernie. Upiłeś się czy co? Przecież wiesz, że Tesmer może ci dać popalić. Zapłać mu.

– Słuchaj, jakbym się nie zaczął targować, to zaśpiewałby jeszcze więcej. Nim

wyszedłem z Kripo, on i Wecke dali mi się we znaki. Nie zapomniałem o tym, on także nie. Należy mi się odwet.

– Cóż, taniej by cię to kosztowało, gdybyś się nie pochwalił ceną szlafroka.

– Szlafrok naprawdę kosztował koło setki.

– Chryste Panie! – szepnął Stahlecker. – Tesmer ma rację. Za dużo zarabiasz. – Wsadził ręce do kieszeni i spojrzał mi prosto w oczy. – Powiesz mi, co się tu naprawdę zdarzyło?

– Kiedy indziej, Bruno. Z grubsza biorąc powiedziałem prawdę.

– Ale pomijając kilka szczegółów.

– Owszem. Słuchaj, mam do ciebie prośbę... Spotkajmy się jutro. Może na popołudniówce w Kammerlichteespiele w Haus Vaterland? O czwartej po południu w ostatnim rzędzie.

Bruno westchnął, potem skinął głową.

– Postaram się.

– I rano dowiedz się ile się da o śmierci Paula Pfarra.

Skrzywił się i chciał coś powiedzieć, ale z toalety wrócił Tesmer.

– Mam nadzieję, że wytarłeś podłogę.

Tesmer zrobił groźną minę, nadał się jak przedpotopowy potwór.

– No co, zachowasz się rozsądnie? – zagrzmał.

– Zdaje się, że nie mam wyboru. Czy dostanę pokwitowanie?

Rozdział 7

Na krańcu Dahlem przy Clayallee znajdowała się ogromna brama z kutego żelaza prowadząca do posiadłości Sixa. Siedziałem chwilę w aucie obserwując ulicę. Kleiły mi się oczy, opadała głowa. Noc była ciężka. Po krótkiej drzemce wysiadłem z auta i otworzyłem bramę. Potem wlałem z powrotem do wozu i wjechałem na prywatną aleję. Zjeżdżałem łagodnym zboczem w cieniu rosnących z obu stron ciemnych sosen.

W dziennym świetle dom Sixa wyglądał jeszcze bardziej imponująco, zobaczyłem, że w gruncie rzeczy są to dwa stojące blisko siebie domy, piękne, solidnie zbudowane dworki.

Podjechałem pod frontowe drzwi, gdzie tamtej nocy Ilse Rudel zaparkowała swoje BMW, i wysiadłem z auta nie zamykając drzwiczek na wypadek, gdyby pojawiły się te dwa dobermany. Psy nie przepadają za prywatnymi wywiadowcami, a ci odwzajemniają im się podobną antypatią...

Zastukałem kołatką. Usłyszałem echo w holu. Okiennice były zamknięte i zacząłem obawiać się, że na próżno odbyłem tę podróż. Zapaliłem papierosa i stałem nasłuchując, oparty o drzwi. Panowała zupełna cisza. Wreszcie usłyszałem kroki, wyprostowałem się, drzwi się otworzyły i zobaczyłem lewentyńską głowę, i zaokrąglone ramiona lokaja, Farraja.

– Dzień dobry – powiedziałem wesolutkim tonem. – Czy zastałem Herr Haupthändlera?

Farraj spojrział na mnie z niesmakiem, jak pedikiurzystka na zaropiałą paznokieć.

– Jest pan umówiony? – spytał.

– Nie – odparłem podając mu swoją wizytówkę. – Ale mam nadzieję, że Herr Haupthändler znajdzie dla mnie parę minut. Byłem tu dwie noce temu, wezwany przez Herr Sixa.

Farraj skinął głową i oddał mi wizytówkę.

– Zechce mi pan wybaczyć, że pana nie poznałem. – Nie puszczając drzwi cofnął się do holu i zaprosił mnie ukłonem. Potem zamknął drzwi i nie bez rozbawienia spojrział na mój kapelusz.

– Pewnie znów nie zechce pan się z nim rozstać?

– Nie zechcę. – Stałem tak blisko niego, że czułem zapach alkoholu, i to nie takiego, który podaje się w ekskluzywnych klubach.

– Tak jest, proszę pana. Zechce pan chwileczkę zaczekać, poszukam Herr Haupthändlera i dowiem się, czy będzie mógł się z panem zobaczyć.

– Dziękuję – powiedziałem. – Jest tu jakaś popielniczka? – Trzymałem papierosa w pionowej pozycji jak strzykawkę, żeby nie spadł popiół.

– Tak, proszę pana. – Przyniósł ciemną onyksową popielniczkę formatu dużej Biblii i trzymał ją oburącz, gdy ja gasiłem w niej papierosa. Potem odwrócił się i wraz z popielniczką zniknął w korytarzu, a ja zacząłem się zastanawiać, co powiem Haupthändlerowi, jeśli ten zgodzi się ze mną zobaczyć. Właściwie nic mi nie przychodziło na myśl, byłem bowiem dziwnie spokojny, że nie zechce pisać słowa na temat tego, co Ilse Rudel opowiedziała mi o nim i o Grete Pfarr. Ale w tym zawodzie wścibstwo zawsze popłaca. Zadajesz dziesięciu osobom dziesięć głupich pytań i czasem udaje ci się zadać właściwe. Jeśli się pilnie przysłuchujesz – zauważasz to. To trochę tak jak z wypłukiwaniem złota. Co dzień idziesz nad rzekę i w kolejnych płuczkach znajdujesz błoto. A czasem, jeśli dobrze wytrzeszczasz oczy, widzisz brudny kamyczek, który okazuje się bryłką złota.

Podszedłem do schodów i spojrzałem w górę. Z ogromnego okrągłego okna w dachu padało światło, na szkarłatnych ścianach wisiały obrazy. Przyglądałem się martwej naturze z homarem i cynowym dzbanem i usłyszałem za sobą kroki.

– To obraz Karla Schucha – powiedział Haupthändler. – Wart kupę forsy. – Zamilkł na chwilę i dorzucił. – Ale czy może się podobać? Niech pan pozwoli ze mną. – Zaprowadził mnie do biblioteki Sixa.

– Niestety, mogę poświęcić panu niewiele czasu. Mam mnóstwo roboty w związku z jutrzejszym pogrzebem. Jestem pewien, że zechce mi pan wybaczyć.

Usiadłem na jednej z kanap i zapaliłem papierosa. Haupthändler założył ręce, aż zatrzęszczała skóra jego sportowej brązowej kurtki, i oparł się o biurko swego pana.

– Więc czym mogę panu służyć?

– Chodzi mi właśnie o jutrzejszy pogrzeb – powiedziałem improwizując. – Nie wiem, gdzie się ma odbyć.

– Ach, strasznie pana przepraszam, Herr Gunther – odparł. – Nie przyszło mi na myśl, że Herr Six życzy sobie pana obecności. Jest w Zagłębiu Ruhry i polecił mi wszystko zorganizować, ale nie zostawił mi instrukcji w sprawie zaproszeń.

Zrobiłem zakłopotaną minę.

– No cóż – powiedziałem wstając. – Skoro Herr Six został moim klientem, uważam, że

powiniennem uczestniczyć w ceremonii.

– Herr Gunther... – Haupthändler chwilę się zastanawiał. – Czy nie weźmie mi pan za złe, jeśli od razu wręczone panu zaproszenie?

– Bardzo proszę. O ile nie sprawi to panu kłopotu.

– Ależ nie. Mam tu kilka kartoników. – Podeszedł do biurka i wyciągnął szufladę.

– Od dawna pracuje pan u Herr Sixa?

– Prawie dwa lata – odpowiedział z roztargnieniem. – Przedtem byłem dyplomata. – Wyjął z kieszonki marynarki okulary i przed wypisaniem zaproszenia wsadził je na czubek nosa.

– Dobrze pan znał Grete Pfarr?

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Prawie jej nie znałem – odpowiedział. – Tyle że mówiłem jej dzień dobry.

– Nie wie pan, czy miała wrogów? Może jakiś zazdrosny kochanek albo ktoś w tym rodzaju.

Skończył pisać i wysuszył zaproszenie bibułą.

– Jestem pewny, że nic takiego nie wchodzi w rachubę.

– Tak? A on? Myślę o Paulu.

– O nim wiem jeszcze mniej – powiedział, wkładając zaproszenie do koperty.

– Jak wyglądały stosunki między nim a Herr Sixem?

– Jeśli chce pan dać do zrozumienia, że były wrogie, to stanowczo temu zaprzeczam.

Dzieliły ich tylko poglądy polityczne.

– Cóż, w obecnych czasach to nie błahostka.

– Ale nie w tym przypadku. Przepraszam pana, Herr Gunther, naprawdę muszę już wracać do roboty. – Podał mi zaproszenie.

– Bardzo dziękuję – oświadczyłem idąc za nim do holu. – Pan tu mieszka?

– Nie. Mam mieszkanie w mieście.

– Aha... A gdzie?

Chwilę się wahał. Wreszcie odpowiedział:

– Na Kurfürstenstrasse. Czemu pan pyta?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak, Herr Haupthändler, wiem, że zadaję za dużo pytań, To nałóg. Bardzo przepraszam. W moim zawodzie człowiek staje się podejrzliwy. Mam nadzieję, że pana nie uraziłem.

Uśmiechnął się kwaśno, a odprowadzając mnie do drzwi robił wrażenie rozluźnionego,

miałem jednak nadzieję, że posiałem w nim ziarenko niepokoju.

Długo trwa, nim z Hanomaga da się wycisnąć przyzwoitą szybkość, toteż bez większego optymizmu wjechałem na prowadzącą do centrum miasta autostradę Avus. Wjazd na autostradę kosztuje markę, warto jednak zapłacić – dziesięć kilometrów bez zakrętu od Poczdamu aż na Kurfürstendamm. Tylko tutaj kierowca, który się uważa za Carraciolę, słynnego asa wyścigów, może nacisnąć na gaz i wyciągnąć 150 kilometrów na godzinę. A przynajmniej mógł, póki nie pojawił się BV Aral, niskooktanowy ersatz benzyny niewiele różniący się od metylu. Mój stary Hanomag z trudem wyciągał dziewięćdziesiątkę.

Zaparkowałem wóz między Kurfürstendamm a Joachimthalerstrasse na Narożniku Grunfelda, zwanym tak, gdyż stał tam dom towarowy Grunfelda. Kiedy należał jeszcze do Grunfelda, w podziemiach podawano bezpłatnie lemoniadę. Ale państwo odebrało mu ten sklep podobnie jak innym Żydom – Wertheimowi, Hermannowi Teitzowi i Israelowi, i skończyły się piękne czasy. Obecnie za lemoniadę trzeba było płacić, a w dodatku popsuła się tak, że nawet ktoś nie będący smakoszem bez trudu zauważał, że nie ma w niej śladu cukru.

Usiadłem, zacząłem popijać lemoniadę i wpatrywałem się w windę kursującą w szklanym szybie. Z windy tej jadąc na wyższe piętra można było przyjrzeć się wnętrzu sklepu. Zastanawiałem się, czy nie wybrać się na górę do działu pończoch, gdzie pracowała Carola, ta dziewczyna z wesela Dagmarr. Ale cierpki smak lemoniady wyгнаł mi z głowy lubieżne zachcianki. Wszedłem ze sklepu i poszedłem Kurfürstendamm na Schlüterstrasse.

W Berlinie tylko pod sklepami jubilerskimi stoi się w ogonku nie po to, żeby coś kupić, lecz żeby sprzedać. Tak też to wyglądało przed „Antyczną biżuterią” Petera Neumaiera, tłumek nie tylko stał przed sklepem, ale tarasował także drzwi. I jego uczestnicy byli starsi i smutniejsi, niż w innych znanych mi kolejkach. Należeli do rozmaitych warstw społecznych, wszyscy jednak byli Żydami, wszyscy więc w rezultacie stracili pracę i musieli się wyzbywać kosztowności. Za długą ladą stało dwóch dobrze ubranych ekspedientów, z kamiennym wyrazem twarzy. Tłumaczyli potencjalnym sprzedawcom, jak marny przynoszą towar i jak trudno będzie znaleźć nań klientów.

– Jesteśmy tym zasypani – mówił jeden z nich, kiwając głową nad leżącymi na kontuarze perłami i broszkami. – Widzi pani, nie możemy brać pod uwagę sentymentalnej wartości tych klejnocików. Chyba to pani rozumie? – Był to młody człowiek, przystojny choć nie ogolony, co najmniej o połowę młodszy od starej, zniszczonej kobiety sprzedającej rodzinne pamiątki. Jego kolega swoją wzdargę okazywał milcząc. Kręcił nosem, wrzusał ramionami i pomrukami informował o swoim braku entuzjazmu. Bez słowa odliczył pięć

banknotów stumarkowych za coś, co musiało być warte trzydzieści razy tyle. Stojący przed ladą starzec wahał się, czy wziąć tę śmiesznie małą w stosunku do wartości klejnotu sumę, wreszcie drżącą ręką wskazał na leżącą bransoletę.

– Przecież taka sama leży na wystawie, a cena jest trzykrotnie wyższa.

Ekspedient wydmął usta.

– Fritz! – zawołał. – Od jak dawna ta bransoleta leży na wystawie?

– O, już ze sześć miesięcy – odpowiedział jego kolega. – Nie kupuj następnej, nie będziemy się tu bawić w filantropię. – Prawdopodobnie powtarzał to wiele razy dziennie.

– No, słyszy pan? – oświadczył ekspedient numer jeden. – Jeśli sądzi pan, że gdzie indziej dostanie pan więcej, to bardzo proszę.

Ale widok banknotów sprawił, że starzec skapitulował. Podeszedłem do lady i spytałem o Herr Neumaiera.

– Jeśli ma pan coś do sprzedania, proszę zająć miejsce w kolejce – oświadczył ekspedient.

– Nie zamierzam niczego sprzedawać – mruknąłem. – Szukam diamentowego naszyjnika.

Ekspedient uśmiechnął się, jakby odnalazł we mnie zaginionego bogatego wujaszka.

– Proszę chwileczkę poczekać – powiedział układnie. – Zaraz zobaczę, czy Herr Neumaier jest wolny. – Znikł na chwilę za zasłoną, wrócił i zaprowadził mnie do małego gabinetu na końcu korytarza.

Peter Neumaier siedział za biurkiem paląc cygaro, które wyglądało tak, jakby przedtem leżało w torbie hydraulika. Był ciemnowłosy i miał niebieskie oczy, zupełnie jak nasz ukochany Führer, a brzuch sterczał mu niczym pancerna kasa. Czerwone policzki albo były ogolone dziś rano tępą brzytwą, albo pokrywała je egzema. Przedstawiłem się, on podał mi rękę. Miałem uczucie, że ściskam ogórek.

– Miło mi pana poznać, Herr Gunther – powiedział serdecznym tonem. – Podobno szuka pan diamentów.

– To prawda. Muszę jednak panu wyznać, że szukam ich na czyjeś zlecenie.

– Rozumiem – uśmiechnął się Neumaier. – Jak te diamenty mają być oprawione?

– Chodzi mi o diamentowy naszyjnik.

– Trafił pan pod właściwy adres. Mam kilka diamentowych naszyjników.

– Mój klient wie dokładnie, czego szuka. Diamentowej kolii od Cartiera.

Neumaier położył cygaro na popielniczce.

– Hm... Z tym może być kłopot.

– Cóż, Herr Neumaier, tak to już jest z bogaczami. Zawsze wiedzą dokładnie, czego chcą.

– Tak, tak, panie Gunther – nachylił się, wziął cygaro i oświadczył: – Taka kolia trafia się rzadko. I będzie bardzo drogo kosztować.

Przyszła pora, żeby mu się dobrać do skóry.

– Tak, mój klient jest przygotowany na zapłacenie pokaźnej sumy. Dwadzieścia pięć procent wyceny towarzystwa ubezpieczeniowego. I nie będzie zadawał żadnych pytań.

Zasepił się.

– Nie rozumiem.

– Niech pan nie udaje, Neumaier. Obaj wiemy, o co chodzi.

Wydmuchał dym i spojrzał na czubek swego cygara.

– Czy imputuje mi pan, Herr Gunther, że handluję kradzionym towarem? W takim razie...

– Niech się pan nie wygłupia. Jeszcze nie skończyłem. Mój klient ma kupę szmalu. Płaci gotówką. – Podsunąłem mu pod nos fotografię kolia Sixa. – Jeśli ktoś się do pana z tą kolia zgłosi, proszę do mnie zadzwonić. – Zapiisałem numer na odwrocie fotografii.

Neumaier z równym niesmakiem spojrzał i na zdjęcie, i na mnie. Wstał.

– To pan się wygłupia, Herr Gunther. Proszę się wynosić, nim wezwę policję.

– Wie pan, to zupełnie niezła myśl – zauważyłem. – Oni na pewno docenią pana obywatelskie nastawienie, gdy zaproponuje im pan skontrolowanie zawartości pańskiego sejf.

– Wynocha!

Wstałem i wyszedłem z biura. Miałem zamiar inaczej z nim pogadać, ale bardzo mi nie przypadł do gustu. W sklepie pierwszy ekspedient ofiarowywał staruszce za szkatułkę z biżuterią, mniej niżby dostała w Armii Zbawienia. Czekaający za nią w kolejce Żydzi spojrzeli na mnie, na ich twarzach malowała się apatia pomieszana z odrobiną nadziei. Poczulem się jak ryba leżąca na kamiennym kontuarze i sam nie wiem czemu, zrobiło mi się okropnie wstyd.

U Gerta Jeschonneka wszystko wyglądało inaczej. Jego biuro mieściło się na ósmym piętrze Columbus Haus, był to dziewięciopiętrowy budynek na Potsdamer Platz. Wyglądał jak gmach zbudowany przez odsiadującego wieloletni wyrok więźnia, któremu dostarczono ogromnej ilości zapalek, a jednocześnie przypominał Columbia Haus, ten budynek koło

lotniska Tempelhof, który wyglądał na to, czym był, a był berlińskim więzieniem gestapo. Nasz kraj w dość dziwny sposób wyraża swoje uwielbienie dla odkrywcy Ameryki.

Na ósmym piętrze osiedlił się cały ten ekskluzywny klub lekarzy, prawników i wydawców, którzy zarabiając trzydzieści tysięcy rocznie ledwie wiąźali koniec z końcem.

Na podwójnych mahoniowych drzwiach prowadzących do biura Jeschonnek widniały złote litery: GERT JESCHONNEK, DROGIE KAMIENIE. Biuro miało kształt litery L, na różowawych ścianach wisiały oprawione fotografie diamentów, rubinów i innych błyskotek, na które pokusiłby się sam Salomon. Usiadłem na krześle i czekałem, by anemiczny młodzieniec siedzący za maszyną do pisania skończył telefonować. Po chwili powiedział:

– Zadzwoń później, Rudi. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym czaiło się grubiaństwo.

– Tak? – powiedział.

Możecie mnie nazwać staroświeckim, ale nigdy nie przepadałem za mężczyznami w roli sekretarek. Próżność męska nie pozwala im na uprzejme usługiwanie innym mężczyznom.

– Kiedy skończy pan opłowywać paznokcie, może zechce pan zameldować szefowi, że pragnąłbym się z nim zobaczyć. Nazywam się Gunther.

– Jest pan umówiony?

– Czy ktoś, kto szuka diamentów, zwykł prosić o wyznaczenie mu godziny? – Zauważyłem, że go to wcale nie rozbawiło.

– Niech pan nie strzępi języka – oświadczył i obszedł dookoła biurko, by wyjść drugimi drzwiami. – Zobaczę, czy pan Jeschonnek znajdzie dla pana chwilę czasu.

Kiedy wyszedł, wziąłem z półki ostatni numer „Stürmera”. Na czołowym miejscu widniał rysunek mężczyzny w anielskich szatach, trzymającego przed twarzą maskę anioła. Ale spod komży wystawał diabelski ogon, a zza maski widać było żydowski profil. Rysownicy „Stürmera” specjalizują się w rysowaniu dużych nosów, ten wyglądał niczym dziób pelikana. Coś takiego w biurze szanującego się biznesmena, pomyślałem. No, no. Anemiczny młodzieniec wrócił i dostarczył mi wyjaśnienia.

– Za chwilę przyjdzie – oświadczył. – Tę gazetę trzymamy tu, bo chcemy, żeby parchy trzęsły się ze strachu.

– Nie rozumiem.

– Przychodzi tu masa Żydów – wyjaśnił. – Oczywiście nie po to, żeby kupować, każdy chce coś sprzedać. Herr Jeschonnek uważa, że jak zobaczą, iż prenumeruje „Stürmera”, to nie będą się z nim targować.

– Bardzo sprytnie pomyślane. I rzeczywiście tak się dzieje?

– Chyba tak. Sam może pan go spytać.

– Niewykluczone, że spytam.

W gabinecie szefa nie bardzo było co oglądać. Parę akrów dywanu, stalowy sejf, który kiedyś mógł być małym okrętem wojennym, i obite zieloną skórą biurko wielkości czołgu. Na biurku leżał tylko kawałek sukna, a na nim rubin tak ogromny, że mógłby stanowić ozdobę ulubionego słonia maharadży, oraz nogi Jeschonnek w nieskazitelnie białych kamaszach. Kiedy wszedłem, nogi znalazły się pod biurkiem.

Herr Jeschonnek był wieprzowatym mężczyzną, małe świńskie oczka, przystrzyżona broda otaczała jak szczecina opaloną twarz. Miał na sobie jasnoszary dwurzędowy garnitur, który dobrze by wyglądał na młodszym o dziesięć lat człowieku, w klapie miał „broszkę strachu”. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest „marcowym fiołkiem”.

– Herr Gunther – powiedział niskim tonem i niemal stanął na baczność. Potem podszedł, by się ze mną przywitać. Czerwona rzeźnicza ręka uściśnęła mocno moją dłoń, a po tym uścisku pozostały na niej białe ślady. Musiał widać mieć krew gęstą jak syrop. Uśmiechnął się słodko i spojrzał nad moim ramieniem na sekretarza, który właśnie zamykał drzwi. I rozkazał:

– Helmut! Poprosimy o dzbanek mocnej kawy. I duże filiżanki. Ale już. – Mówił szybko, podkreślając każde słowo ruchem ręki, niczym nauczyciel wymowy. Podprowadził mnie do biurka i do tego rubinu, który prawdopodobnie miał na mnie zrobić takie wrażenie jak na Żydach „Der Stürmer”. Udawałem, że tego rubinu nie zauważam, ale Jeschonnek nie miał zamiaru wyrzec się swego popisowego numeru. Wziął rubin w grube paluchy i spojrzał na niego pod światło. Uśmiechnął się obleśnie.

– Wyjątkowo piękny kaboszon. Jak się panu podoba?

– Czerwień nie należy do moich ulubionych kolorów – odpowiedziałem. – Nie pasuje do moich włosów.

Roześmiał się, zawinął rubin w aksamit i włożył z powrotem do sejfu. Usiadłem w dużym fotelu stojącym przed jego biurkiem.

– Szukam diamentowej kolii – powiedziałem. Usiadł naprzeciwko mnie.

– No tak, Herr Gunther. Jak wiadomo, jeśli chodzi o brylanty, jestem uznanym ekspertem. – Potrząsnął głową niczym wyścigowy koń, poczułem mocny zapach wody kolońskiej.

– Tak? – spytałem.

– Wątpię, czy znajdzie pan w Berlinie lepszego znawcę diamentów. – Wysunął

szczeciniastą głowę, jakby chciał sprowokować mnie do protestu. O mało się nie wyrzygałem.

– Miło mi to słyszeć – powiedziałem. Pojawiła się kawa, Jeschonnek niechętnym wzrokiem zmierzył sekretarza, gdy ten drobnymi kroczkami wycofywał się z gabinetu.

– Nie mogę przywyknąć do takiej męskiej sekretarki – oznajmił. – Zupełnie się zgadzam, że miejsce kobiety jest w domu i powinna zajmować się dziećmi, ale wie pan, Herr Gunther, mam do kobiet dużą słabość.

– Wolałbym już mieć współnika niż sekretarza – odparłem, a on się uprzejmie uśmiechnął.

– Więc podobno szuka pan brylantu.

– Brylantów – poprawiłem.

– Rozumiem. Pojedynczych kamieni czy oprawionych?

– Szukam biżuterii ukradzonej mojemu klientowi – wyjaśniłem i podałem mu wizytówkę. Spojrzał na nią obojętnym wzrokiem. – Ścisłe mówiąc kolii. Oto fotografia. – Wyjąłem następne zdjęcie i mu wręczyłem.

– Wspaniała – powiedział.

– Każda rozeta waży jeden karat.

– Widzę – odparł. – Ale nie bardzo wiem, jak mogę panu pomóc, Herr Gunther.

– Niewykluczone, że złodziej spróbuje zaoferować panu tę kolie. Będę bardzo wdzięczny, jeśli wówczas zechce się pan ze mną skontaktować. Oczywiście nie bezinteresownie. Jestem upoważniony przez mego klienta, by wypłacić nie zadając żadnych pytań dwadzieścia pięć procent sumy, na którą ta kolia została ubezpieczona.

– Czy można wiedzieć, Herr Gunther, kto jest pańskim klientem?

Zawahałem się.

– Cóż, właściwie jest to sprawa poufna. Ale widzę, że należy pan do ludzi, którzy potrafią uszanować tajemnicę.

– Bardzo pan uprzejmy.

– Kolia pochodzi z Indii i należy do księżniczki, która przyjechała do Berlina na Igrzyska Olimpijskie jako gość rządu.

Jeschonnek zasepił się słuchając tych moich kłamstw.

– Nie poznałem jej osobiście, ale mówiono mi, że jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek pojawiła się w Berlinie. Mieszka w hotelu „Adlon”, to tam parę dni temu, ukradziono jej ten naszyjnik.

– Kolia ukradziona hinduskiej księżniczce, tak? – powtórzył ze sztucznym uśmiechem.

– Hm, a dlaczego nie wspomniały o tym gazety? I dlaczego nie zajmuje się tym policja?

Wypiłem parę łyków kawy, by przedłużyć dramatyczną pauzę.

– Kierownictwo „Adlonu” pragnie uniknąć skandalu – oświadczyłem. – Przecież nie tak dawno temu miała tam miejsce cała seria kradzieży, których sprawcą był ten słynny włamywacz Faulhaber.

– Tak, pamiętam.

– Oczywiście naszyjnik jest ubezpieczony, ale chodzi tu o reputację „Adlonu”.

– Cóż, proszę pana, jeśli zdobędę jakieś informacje, natychmiast się z panem skontaktuję – powiedział Jeschonnek wyciągając z kieszonki kamizelki złoty zegarek. – Teraz jednak muszę już pana pożegnać. – Wstał i wyciągnął do mnie pulchną dłoń.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Proszę się nie fatygować, sam znajdę wyjście.

– Może będzie pan tak dobry i powie temu chłopakowi, żeby po pana wyjściu tu zajrzał.

– Oczywiście.

Wykonał hitlerowski salut.

– Heil Hitler! – powtórzyłem potulnie.

W biurze anemiczny młodzieniec czytał jakieś pismo. Poinformowałem go, że szef domaga się jego obecności, i w tym momencie na biurku, koło telefonu, zobaczyłem klucze. Młodziak mruknął coś i wstał. Zatrzymałem się przy drzwiach.

– Przepraszam, czy nie ma pan arkusika papieru?

Wskazał na blok, na którym leżały klucze.

– Niech pan sobie weźmie – zaproponował i wszedł do gabinetu Jeschonneka.

– Dziękuję. – Do kółka z kluczami przyczepiona była etykieta „Biuro”. Wyjąłem z kieszeni papierośnicę i otworzyłem. Z trzech stron zagłębiłem każdy z dwóch kluczy w gładkiej powierzchni plasteliny. Można powiedzieć, że zrobiłem to pod wpływem nagłego impulsu. Nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad tym, co mi powiedział – a właściwie czego mi nie powiedział – Jeschonnek. Ale zawsze noszę przy sobie plastelinę i głupio byłoby jej nie użyć, skoro nadarzyła się okazja. Dziwnie często przydaje się tak wykonany klucz.

Poszukałem na ulicy kabiny telefonicznej i zadzwoniłem do „Adlonu”. Miałem tam jeszcze wielu przyjaciół z dawnych, dobrych czasów.

– Halo, Hermine – powiedziałem. – Mówi Bernie. – Hermine była w „Adlonie” jedną z telefonistek.

– Witaj, obcy człowieku – odparła. – Nie widzieliśmy już ciebie od wieków.

– Miałem to i owo do załatwienia.

– Führer także, a jednak znajduje czas, by się pokazać i pokiwać nam ręką.
– Widać powinienem kupić sobie otwartego Mercedesa i obstawę. – Zapaliłem papierosa. – Chcę cię prosić o drobną przysługę, Hermine.

– To poproś.

– Jeśli ktoś zatelefonuje i spyta się ciebie lub Benitę, czy w hotelu mieszka hinduska księżniczka, bądźcie tak dobre i potwierdźcie. A gdyby chciał z nią rozmawiać, powiedzcie mu, że nie przyjmuje telefonów.

– To wszystko?

– Tak.

– Czy ta księżniczka nie powinna mieć nazwiska?

– Znasz jakieś hinduskie nazwiska?

– Hm... Widziałam w zeszłym tygodniu film, w którym występowała hinduska dziewczyna. Nazywała się Mushmi.

– No to mieszka u was księżniczka Mushmi. Dziękuję, Hermine. Wkrótce się do ciebie odezwę.

Wszedłem do restauracji „Pschorr Haus”, zjadłem porcję boczku z fasolą i wypłem parę piw. Albo Jeschonnek nie zna się na klejnotach, albo miał coś do ukrycia. Powinien był poznać, że kolia pochodzi od Cartiera. I nie zaprzeczył mi, gdy nazwałem kamienie rozetami, choć naszyjnik Sixa miał kamienie okrągłe, czyli brylanty. No i kwestia karatów, mówiłem, że każdy kamień waży karat, a na pierwszy rzut oka widać było, iż są dużo większe.

Mogło się to okazać nieważne, nie zawsze uda się uchwycić kij z właściwego końca, ale miałem dziwne uczucie, że wkrótce znów odwiedzę Jeschonneka.

Rozdział 8

Po wyjściu z „Pschorr Haus” udałem się do Haus Vaterland, w którym oprócz kina, gdzie miałem się spotkać z Brunem Stahleckerem, mieści się mnóstwo barów i kafejek. Turyści chętnie tu przychodzą, dla mnie ten budynek jest zbyt staroświecki. Ogromne brzydkie hole, srebrna farba, w barach ruchome kolejki elektryczne i mini-burze, wszystko to należało do tego dziwaczego, europejskiego światka mechanicznych zabawek, kabaretów, siłaczy w skórach lamparta i tresowanych kanarków. Za wstęp do tego budynku trzeba płacić, nie zdarza się to nigdzie indziej w Niemczech. Stahlecker był mocno niezadowolony.

– Dwa razy musiałem płacić – gderał. – Raz przy wejściu, a drugi raz tutaj.

– Trzeba było błysnąć legitymacją Sipo i miałbyś wszystko za darmo. Bo poza tym na co ci się ona może przydać?

Stahlecker gapił się na ekran.

– Bardzo śmieszne – powiedział. – Co to za bzdet?

– To chyba jeszcze kronika – odparłem. – Czego się dla mnie dowiedziałeś?

– Najpierw opowiedz, co zaszło wczorajszej nocy.

– Daję ci słowo honoru, Bruno, że nigdy przedtem nie widziałem tego smarkacza.

Stahlecker westchnął.

– Okazało się, że ten Kolb jest podrzędnym aktorem. Ze dwie rólki w filmach, w teatrze był raczej statystą. Nikt nie pomyliłby go z Richardem Tauberem. Więc niby dlaczego miałbyś chcieć ciebie zabić? Chyba że zostałeś krytykiem i napisałeś o nim niepoehlebną recenzję.

– Równie dobrze możesz podejrzewać psa o podpalenie domu.

– Ale chyba nie myślę się, że ty wiesz, dlaczego on cię zaatakował.

– Z powodu pewnej damy. Jej mąż zatrudnił mnie. A ona wyobraziła sobie, że to po to, bym ją podglądał przez dziurkę od klucza. Wczoraj wieczorem zaprosiła mnie więc do siebie, bym namówił, bym dał jej spokój, i oskarżyła, że kłamię, gdy przysięgałem jej, że nie mam zamiaru zajmować się tym, z kim ona śpi. I wyrzuciła mnie za drzwi. A potem pojawił się u mnie ten gruszkogłowy ze spluwą wycelowaną w mój żołądek i oskarżył o zgwałcenie damy.

Zaczęliśmy się kotłować i pistolet wypalił. Według mnie ten smarkacz był w niej zakochany i ona to wykorzystała.

– Napuściła go?

– Tak mi się przynajmniej zdaje. Ale trudno by to było udowodnić.

– Widzę, że nie zamierzasz wymienić nazwiska damy ani jej męża? Potrząsnąłem przecząco głową.

– No właśnie.

Zaczął się film. Był to jeden z tych patriotycznych filmików, wymyślanych przez facetów z Ministerstwa Propagandy, kiedy mieli szczególnie zły dzień. Stahlecker jęknął.

– Chodźmy stąd. Pójdziemy się czegoś napić. Nie wytrzymam tego zasranego arcydzieła.

Poszliśmy na pierwsze piętro do baru Dziki Zachód, gdzie orkiestra złożona z kowbojów grała „Dom na skale”. Na ścianach wymalowane były prerie, łącznie z bawołami i Indianami. Oparliśmy się o ladę baru i zamówiliśmy piwo.

– I to wszystko nie ma nic wspólnego ze sprawą Pfarrów, co, Bernie?

– Towarzystwo ubezpieczeniowe zleciło mi, bym odkrył przyczyny pożaru – odpowiedziałem.

– No tak. Dam ci dobrą radę i nie będę jej powtarzał. Wycofaj się. Ta sprawa śmierdzi.

– Bruno – odparłem – możesz się wypchać. Jestem na procencie.

– Jak znajdziesz się w kacecie, to nie mów, że cię nie uprzedzałem.

– Przysięgam. No, gadaj.

Stahlecker westchnął i pokręcił głową.

– Oto dane. Ten Paul Pfarr wysoko mierzył. Skończył prawo w 1930 i odbył praktykę w sądzie w Stuttgarcie, i w sądzie okręgowym w Berlinie. W 1933 ten wybitny „marcowy fiołek” wstąpił do SA, a w 1934 roku został asesorem sądowym w Berlińskim Sądzie Policyjnym, zajmującym się sprawami korupcji w policji. Tego samego roku zwerbowano go do SS, a w 1935 wstąpił także do Gestapo, zajmował się stowarzyszeniami, związkami, no i oczywiście DAF-em – Niemieckim Frontem Pracy. Pod koniec roku przeniesiono go do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podlegał bezpośrednio Himmlerowi, prowadził departament badania korupcji wśród sług Rzeszy.

– Zadziwiające.

– Podobno Himmler patrzy na to dosyć pesymistycznie. Tak czy owak Paulowi Pfarrrowi zlecono zająć się DAF-em, gdzie korupcja sięga szczytów.

– Zatem był człowiekiem Himmlera?

– Tak. A jego szef jeszcze bardziej niż korupcji nie lubi, żeby mu ukatrupiano ludzi. Zatem parę dni temu Reichskriminaldirektor utworzył specjalną brygadę śledczą: Gohrmann, Schild, Jost, Dietz. Wejdiesz im w paradę, Bernie, i nie będziesz miał większej szansy na przeżycie niż szyba w synagodze.

– Mają jakieś poszlaki?

– Słyszałem tylko, że szukają dziewczyny. Wygląda na to, że Pfarr miał kochankę. Nie znam nazwiska. Ale wiem, że dziewczyna zniknęła.

– Wiesz co? Znikanie jest ostatnio modne. Coraz to ktoś znika.

– Owszem, słyszałem. I mam nadzieję, że nie znajdziesz się w gronie tych modnisiów.

– Ja? Jestem jednym z nielicznych w tym mieście, którzy nie mają prawa do żadnego munduru. Więc trudno by nazwać mnie modnisiem.

Wróciwszy na Alexanderplatz poszedłem do ślusarza i wręczyłem mu odciski w plastelinie, by podrobił klucze Jeschonneka. Parokrotnie już oddawał mi takie usługi i nie zadawał żadnych pytań. Potem odebrałem pranie i wróciłem do biura.

Jeszcze nie zdążyłem wejść, gdy przed moimi oczyma pojawiła się legitymacja Sipo. A pod rozpiętą szarą flanelową kurtką mężczyzny zobaczyłem Walthera.

– To pan jest tym łapsem – powiedział mężczyzna. – Chcemy z panem pomówić. – Miał włosy koloru musztardy, przystrzyżone przez kogoś, kto nawykł do strzyżenia owiec, i nos jak korek od szampana. Wąsy były szersze niż rondo meksykańskiego kapelusza. Drugi gliniarz ze swoją wystającą szczęką wyglądał jak archetyp rasowy z pruskich plakatów wyborczych. Obaj mieli zimne oczy, wyglądające jak marynowane małże, usta wykrzywił im szydery uśmiech, jakby usłyszeli, że ktoś głośno beknął albo powiedział jakiś wyjątkowo niesmaczny dowcip.

– Gdybym wiedział, poszedłbym obejrzeć parę filmów.

Facet z legitymacją spojrział na mnie niechętnie.

– Ma pan do czynienia z Kriminalinspektorem Dietzem.

Facet nazwiskiem Dietz siedział na rogu biurka, machając nogą i przyglądając mi się mało przychylnym wzrokiem.

– Wybacz pan, że nie wyjmę mojego albumu na autografy – powiedziałem i podszedłem do okna, gdzie w kącie stała Frau Protze. Pociągała nosem, wyjęła z rękawa bluzki chusteczkę i wytarła nos.

– Strasznie mi przykro, Herr Gunther, oni tu wtargnęli i zaczęli przewracać wszystko do góry nogami. Mówiłam im, że nie wiem, gdzie pan jest ani o której pan wróci, a oni

zaczęli mnie lżyć. Nie wiedziałam, że policjanci mogą się zachowywać tak niegodnie.

– To nie są policjanci. Nazwałbym ich kastetami w garniturach. Niech już pani wraca do domu. Do widzenia, do jutra.

Znów zaczęła pociągać nosem.

– Dziękuję panu, Herr Gunther. Ale ja tu już jutro nie wrócę. To nie jest praca na moje nerwy. Bardzo pana przepraszam.

– W porządku. Należne pieniądze wyślę pani pocztą.

Skinęła głową i obszedłszy mnie dookoła, niemal wybiegła z biura. Ostrzyżony wybuchnął śmiechem i kopniakiem zamknął za nią drzwi. Otworzyłem okno.

– Coś tu śmierdzi – powiedziałem. – Co wy właściwie robicie poza straszaniem wdów i rozglądaniem się za kasą z gotówką na drobne wydatki?

Dietz zerwał się z biurka i podszedł do okna.

– Słyszałem o tobie, Gunther – powiedział patrząc na ruch uliczny. – Byłeś gliniarzem, więc wiesz, jak daleko mogę się posunąć. Cholernie daleko. Mogę wleźć ci na tę zakazaną mordę i stać tak przez całe popołudnie, nawet ci nie mówiąc dlaczego. Więc przestań pieprzyć. Powiesz nam wszystko, co wiesz o Paulu Pfarze, i zaraz się zmyjemy.

– Wiem tylko, że był nieostrożnym palaczem – odpowiedziałem. – Gdybyście nie urządzili tutaj maleńkiego trzęsienia ziemi, to znalazłbym pismo z Towarzystwa Ubezpieceniowego „Germania”, które zaangażowało mnie, żebym odkrył przyczyny pożaru.

– Znaleźliśmy to pisemko – oznajmił Dietz. – I znaleźliśmy to! – Wyjął spod kurtki pistolet i wycelował w moją głowę.

– Mam pozwolenie na broń.

– Masz, masz – zgodził się uśmiechając. Potem powąchał lufę i zwrócił się do swego kolegi: – Wiesz, Martins, mam wrażenie, że ten pistolet został bardzo niedawno oczyszczony.

– Lubię czystość – odparłem. – Wystarczy obejrzeć moje paznokcie.

– Walther PPK, 9 mm – skostatował Martins zapalając papierosa. – Z takiego to właśnie pistoletu zastrzelono Herr Pfarra i jego żonę.

– O ile wiem, to z innego. – Podszedłem do barku. Zdziwiłem się, że nie wypili mojej whisky.

– Aha, zapomnieliśmy – powiedział Dietz – że wciąż masz jeszcze przyjaciół na Alexie. Tak?

Nalałem sobie whisky. Co najmniej trzy łyki.

– Myślałem, że już się pozbyli tych wszystkich reakcjonistów – rzekł Martins.

Wpatrywałem się w ostatni łyk whisky.

– Poczęstowałbym was, ale potem musiałbym wyrzucić szklanki. – Wypiłem.

Martins wyrzucił papierosa, zacisnął pięści i zrobił parę kroków w moją stronę.

– Ten chłystek specjalizuje się w bezczelności – warknął. Dietz odwrócił się, jego wzrok palił.

– Jeszcze chwila, a stracę cierpliwość, ty skurwielu.

– Nie rozumiem – oświadczyłem. – Widzieliście pismo z Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Jeśli uważacie, że zostało sfalszowane, możecie sprawdzić.

– Sprawdziliśmy.

– To po co te igraszki?

Dietz podszedł i spojrzał na mnie tak, jak patrzyłby na upaprane w gównie własne buty. Potem wziął moją ostatnią butelkę dobrej whisky i walnął nią w ścianę nad biurkiem. Roztrzaskała się, zabrzmiało to tak, jakby pudło ze sztućcami spadło ze schodów, w biurze zaczęło cuchnąć alkoholem. Dietz poprawił kurtkę.

– Chcemy, żebyś sobie dobrze zapamiętał, że masz nas informować o wszystkich swoich posunięciach. Cokolwiek odkryjesz, powtarzam: cokolwiek, masz natychmiast dać nam znać. Najmniejszy listek figowy i piorunem znajdziesz się w kacecie, aż ci zagwizdże w uszach. – Nachylił się w moją stronę, poczułem zapach potu. – Zrozumiano?

– Nie wysuwaj tak szczęki, Dietz, bo będę zmuszony dać ci po pysku.

Uśmiechnął się.

– Byłoby to dla mnie prawdziwą frajdą. O, tak. – Odwrócił się w stronę swego kolegi.
– No, ruszamy. Bo wyrznię go w jaja!

Kończyłem już sprzątać, gdy zadzwonił telefon. Był to Müller z „Berliner Morgenpost”, który przeproszał, że na temat Herr Sixa ma zaledwie parę informacji, i to tego typu, jakie zamieszcza się w nekrologach.

– Nie wygłupiaj się, Eddie. Chryste Panie, przecież ten facet jest milionerem. Należy do niego połowa Ruhry. Gdyby wsadził sobie palec do tyłka, to okazałoby się, że jest tam nafta. Ktoś kiedyś musiał próbować spojrzeć mu na palce.

– Jakiś czas temu jedna reporterka starała się czegoś dowiedzieć o tych z Zagłębia Ruhry, o Kruppie, Voeglerze, Wolffie, Thyssenie. Ale straciła u nas posadę, gdy rząd zajął się rozwiązaniem kwestii bezrobocia. Może mi się uda zdobyć jej adres.

– Dzięki. A o Pfarrach też niczego nie wiesz?

– Ona wciąż jeździła do uzdrowisk. Nauheim, Wiesbaden, Bad Homburg. Napisała nawet na ten temat artykuł w „Die Frau”. I bardzo się interesowała znachorami. O nim nie

mam nic.

– Dziękuję za ploteczki, Eddie. Mogłem zajrzeć do pism zajmujących się życiem towarzyskim wyższych sfer i oszczędzić ci zachodu.

– Uważasz, że to nie jest warte stu marek?

– Nawet nie pięćdziesięciu. Znajdź tę reporterkę i wtedy pogadamy.

Zamknąłem biuro i poszedłem do ślusarza po klucze i plastelinę. Może to zabrzmiało teatralnie, ale od lat nie rozstawałem się z tą papierośnicą z plasteliną i nie znam lepszego sposobu, by otworzyć zamknięte drzwi, chyba żeby ukraść klucz. Nie mam uniwersalnego wytrycha. A zresztą nowoczesnych zamków nie da się nim otworzyć. To wymysł filmowców z UFA. Włamywacze albo przecinają, albo wycinają zamek. Rozmyślając o tym przypomniałem sobie, że muszę się dowiedzieć, kto z bractwa kasiarzy ma dosyć talentu, żeby otworzyć sejf Pfarrów. Jeśli oczywiście zrobił to kasiarz. Co oznaczało, że pewien zapyziały tenor znów będzie musiał zacząć śpiewać.

Nie miałem wielkiej nadziei, że zastanę Neumanna w norze, w której mieszkał na Admiralstrasse w dzielnicy Kottbuser Tor, ale na wszelki wypadek wybrałem się tam. Numer 43 przy Admiralstrasse wyglądał tak, że chyba wszystkie tamtejsze szczury nosiły zatyczki do uszu, a karaluchy bez przerwy kaszłały. Izdebka Neumanna znajdowała się z tyłu w suterenie. Była wilgotna. Brudna. Cuchnąca. I oczywiście śladu Neumanna.

Dozorczyńni była mocno przechodzoną kurwą. Kolor jej włosów był równie sztuczny, co defiladowy krok na paradach na Wilhelmstrasse, a usta malowała sobie chyba w boksyerskich rękawicach. Piersi jej wyglądały jak zady perszeronów po dniu pracy. Może miewała jeszcze klientów, ale wydawało mi się to czymś tak samo nieprawdopodobnym, jak widok Żyda w kolejce do norymberskiego rzeźnika, który zaszlachtował świnię. Stała w drzwiach swojej dozorcówki, miała na sobie tylko brudny rozchylony płaszcz kąpielowy i zapalała raz już zgaszonego papierosa.

– Szukam Neumanna – oświadczyłem próbując nie patrzeć na brodę rosyjskiego bojara między jej nogami. Na sam widok zaczynało człowieka swędzić, jakby miał syfilis. – Jestem jego przyjacielem.

Kurwa ziewnęła i doszedłszy do wniosku, że dosyć się już za darmo napatrzyłem na jej wdzięki, ściągnęła płaszcz sznurem.

– Pan jest gliniarzem – prychnęła.

– Jak już powiedziałem, jestem przyjacielem Neumanna.

Założyła ręce i oparła się o framugę drzwi.

– Neumann nie ma przyjaciół – oznajmiła przyglądając się swoim brudnym paznokciom, po czym znów zmierzyła mnie wzrokiem. W myśli przyznałem jej rację. – Poza mną, i to tylko dlatego że mi tego łapserdaka żal. Jeśli rzeczywiście pan się z nim przyjaźni, to niech go pan wyśle do lekarza. On ma hysia. – Zaciągnęła się papierosem i wyrzuciła niedopałek ciskając go ponad moim ramieniem.

– Ależ nie – powiedziałem. – Lubi czasem mówić do samego siebie. Drobne dziwactwo.

– Jeśli to nie hyś, to co? – spytała. Znów musiałem się z nią zgodzić.

– Nie wie pani, kiedy on wróci?

Kurwison wzruszył ramionami. Ręka, która składała się z kości i sterczących żył złapała mnie za krawat. Babsko próbowało się kokieteryjnie uśmiechnąć, był to przerażający grymas.

– Może zechce pan u mnie na niego poczekać? – zaproponowała. – Dwadzieścia marek.

Cofnąłem się, wyjąłem portfel i wręczyłem jej pięć marek.

– Bardzo bym chciał. Ale muszę lecieć. Może zechce pani powiedzieć Neumannowi, że go szukam. Nazywam się Gunther. Bernhard Gunther.

– Dziękuję, Bernhardzie. Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

– Nie wie pani, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Bernhardzie, czy ja będę zgadywać, czy pan, na jedno wyjdzie. Może pan chodzić od Poncjusza do Piłata. – Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – Jeśli jest splukany, to pewnie siedzi w Barze „X” albo u Ruckera. A jeśli ma parę groszy, to usiłuje poderwać jakąś dziwkę w „Feminie” albo w „Café Casanova”.

Zacząłem wchodzić po schodach.

– A jeśli nie ma go w żadnym z tych lokali, to poszedł na wyścigi. – Odprowadziła mnie. Z ulgą wsiadłem do auta. Nielatwo jest uciec kurwie. Nie lubią, żeby towar wymykał im się z rąk.

Niezbyt ufam ekspertom, a także zeznaniom naocznych świadków. Doświadczenie wielu lat nauczyło mnie, że nie ma jak dawna, dobra szkoła detektywistyczna, która opiera się na staroświeckich poszlakach wskazujących, że przestępstwo popełnił ten, kto powinien je popełnić ze względu na swój charakter. No i polega na informatorach.

Żeby zdobyć usługi takiego tenora jak Neumann, trzeba dużo cierpliwości i trzeba zdobyć jego zaufanie. Neumann nie jest z natury ufny, a ja nie jestem cierpliwy. Niemniej

Neumann jest najlepszym informatorem, jakiego zdarzyło mi się spotkać, a jego informacje na ogół się sprawdzają. Zrobiłbym wszystko, żeby go wybronić przed pierdłem. Nie oznacza to, że zawsze można na nim polegać. Tak jak wszyscy konfidenci, sprzedałby cnotę własnej siostry. Robisz wszystko, co możesz, żeby twój informator ci ufał – a naprawdę nie jest to łatwe, i w dodatku wcale nie oznacza, że i ty możesz mu ufać.

Zacząłem od Baru „X”, nielegalnego klubu jazzowego, gdzie orkiestra zaczyna od jakiejś niewinnej i całkowicie aryjskiej melodii, po czym niepostrzeżenie przechodzi w jazz, robiąc to wystarczająco sprytnie, żeby nie wystawiać na próbę nazistowskiego sumienia słuchaczy.

Neumann zachowywał się czasem dziwnie, ale wyglądał tak anonimowo, że nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Dlatego właśnie był takim świetnym informatorem. Trudno go było zauważyć. Wypatrywałem oczy, ale tej nocy nie było go w „X” ani w „Allaverdi”, ani w barze Ruckera położonym już na krańcu tej dzielnicy „czerwonych latarni”.

Jeszcze nie zapadł mrok, ale już pokazali się już handlarze narkotyków. Jeśli złapano kogoś, kto sprzedawał kokainę, wędrował prosto do kacetu, byłem za tym, by łapano jak najwięcej sprzedawców, wiedziałem jednak z doświadczenia, że nie jest to takie łatwe. Handlarze niemal nigdy nie mieli przy sobie towaru, był ukryty gdzieś w sąsiedztwie. Niektórzy handlarze udawali inwalidów wojennych sprzedających papierosy, inni byli naprawdę inwalidami wojennymi i nosili na ramieniu żółte opaski z trzema czarnymi kropkami, z czasów Republiki Weimarskiej. Ta opaska jednak nie zapewniała żadnych przywilejów, tylko Armii Zbawienia wolno było sprzedawać towary na rogach ulicy, prawa tego jednak nie przestrzegano zbyt surowo, z wyjątkiem eleganckich dzielnic miasta, gdzie pojawiali się turyści.

– Ccygara... papierosy – Syczał jakiś głos. Był to sygnał, wtajemniczeni odpowiadali głośnym wciągnięciem powietrza, a potem okazywało się, że kupili sól i aspirynę.

„Femina” przy Nürnberger Strasse była lokalem, do którego chodziło się w poszukiwaniu damskiego towarzystwa, jeśli oczywiście lubiło się duże, rumiane dziewczuchy i miało się na zbyciu trzydzieści marek. Na stolikach stały telefony, odpowiadało to ludziom nieśmiałym, wymarzone miejsce dla Neumanna, jeśli jest oczywiście przy forsie. Nie ruszając się od stolika, mógł zamówić butelkę szampana i zaprosić jakąś dziewczynę. Można też było pneumatycznymi rurami posłać drobny upominek dziewczynie siedzącej na drugim końcu sali. Mężczyźnie w tym lokalu potrzebne były tylko dwie rzeczy – pieniądze i dobry wzrok.

Usiadłem przy stoliku w rogu i spojrzałem na menu. Obok listy napojów widniała lista upominków, które można było nabyć u kelnera i posłać rurą. Puderniczka kosztowała markę

pięćdziesiąt, etui na zapalniczki markę, a perfumy pięć marek. Nie widziałem nigdzie Neumanna, ale postanowiłem tu zostać licząc, że się pojawi. Przywołałem kelnera i zamówiłem piwo.

Zaczęły się kabaretowe występy, pojawiła się pieśniarka o pomarańczowych włosach i chrapliwym głosie, oraz wychudły, niski aktorzyzna ze zrośniętymi brwiami. Ich występy nie miały szans, by rozbawić publiczność, równie dobrze można by się spodziewać odbudowania Reichstagu; śmiano się w czasie piosenek i śpiewano podczas monologów aktora, o oklaskach nikt nie myślał.

Rozejrzałem się po sali; mrugało ku mnie tak wiele otoczonych rżęsami oczu, że poczułem przeciąg. Parę stolików ode mnie jakaś tłusta kobieta zamachała ku mnie pulchną ręką, skrzywiłem się, a ona uznała to za uśmiech i zaczęła wstawać. Jęknąłem.

– Słucham pana – pojawił się kelner. Wyciągnąłem z kieszeni zmięty banknot i rzuciłem na tacę. Nie czekając na resztę, wstałem i uciekłem.

Jest tylko jedna rzecz gorsza od towarzystwa brzydkiej kobiety wieczorem, a mianowicie towarzystwo tej samej kobiety następnego ranka.

Wsiadłem do auta i pojechałem na Potsdamer Platz. Był ciepły wieczór, ale pomruki fioletowego nieba dały mi znać, że pogoda wkrótce się zmieni. Zaparkowałem na Leipziger Platz przed hotelem „Palast”. Wszedłem do środka i zadzwoniłem do „Adlonu”.

Natrafiłem na Benitę, Hermine zostawiła dla mnie wiadomość, że w pół godziny po moim telefonie ktoś zadzwonił pytając o hinduską księżniczkę. Niczego więcej nie pragnąłem się dowiedzieć.

Wziąłem z auta płaszcz przeciwdeszczowy i latarkę. Wsadziłem latarkę pod płaszcz i wróciłem na Potsdamer Platz, minąłem Towarzystwo Tramwajowe i Ministerstwo Rolnictwa, podszedłem do Columbus Haus. Na piątym i na siódmym piętrze świeciło się, na ósmym było ciemno. Zajrzałem przez oszklone drzwi. Przy biurku siedział strażnik czytając gazetę, dalej na korytarzu krzątała się sprzątaczką z elektryczną froterką. Kiedy skręciłem za budynkiem w Hermann Göring Strasse, zaczęło padać. Poszedłem wąskim przejściem prowadzącym na podziemny parking na tyłach Columbus Haus.

Stały tam tylko dwa auta – DKW i Mercedes. Było mało prawdopodobne, żeby należały do strażnika i sprzątaczkę, ich właściciele musieli jeszcze pracować w swoich biurach. Za autami znajdowały się szare stalowe drzwi z wymalowanym napisem „Wejście służbowe”, pozbawione klamki i zamknięte. Wykombinowałem sobie, że musi to być ten rodzaj sprężynowego zamka, który od wewnątrz otwiera się odciągając rygiel, a z zewnątrz kluczem. Było bardzo prawdopodobne, że to tędy właśnie sprzątaczką opuści gmach.

Bez specjalnego przekonania spróbowałem otworzyć drzwiczki samochodów, okazało

się, że drzwiczki Mercedesa nie są zamknięte. Zasiadłem na miejscu kierowcy i włączyłem reflektory. Czekałem. Minęło parę minut. Zaczęło mi się nudzić, więc otworzyłem schowek. Znajdowała się tam mapa samochodowa i legitymacja partyjna ze znaczkami, Jej właściciel zapłacił już składki za bieżący miesiąc. Był nim Henning Peter Manstein. Jego legitymacja miała stosunkowo niski numer, przeczyło temu młodociane zdjęcie na stronie dziewiątej. Niskimi numerami handlowano i niewątpliwie Manstein ten numer kupił.

Niski numer umożliwiał polityczną karierę. Na przystojnej młodej twarzy malował się wyraz chciwości typowej dla „marcowego fiołka”.

Minęło piętnaście minut, nim usłyszałem otwierające się drzwi. Zerwałem się. Gdyby to był Manstein, należałoby szybko zmykać. Na podłogę garażu padł prostokąt światła, w drzwiach stała sprzątaczką.

– Niech pani nie zamyka drzwi – zawołałem. Zgasilem reflektory i zatrzasnałem drzwiczki wozu. – Zapomniałem czegoś na górze i już się bałem, że będę musiał obchodzić wkoło gmach.

Kobieta posłusznie stała przytrzymując drzwi. Kiedy zbliżyłem się, odsunęła się mówiąc:

– A ja muszę iść teraz piechotą na Nollendorf Platz. Ja nie mam takiego wspaniałego auta.

Uśmiechnąłem się niemądrze tak, jak przypuszczałem, że zrobiłby to Manstein.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem, mrużąc coś o tym, że zostawiłem w biurze klucze. Sprzątaczką chwilę się wahała, ale mnie przepuściła. Wszedłem do środka i usłyszałem głośny trzask zamka.

Podwójne drzwi ze świetlikami prowadziły na długi, rzęsiście oświetlony korytarz, wzdłuż którego stały kartonowe pudła. Na drugim końcu była winda, nie mogłem jednak do niej wsiąść nie budząc podejrzeń strażnika. Usiadłem zatem na schodach, zdjąłem buty i skarpetki i włożyłem je na nowo w odwrotnym porządku... To stary trik włamywaczy, by nie stukać butami. Wstałem i rozpocząłem długą wspinaczkę.

Kiedy wszedłem na ósme piętro, serce biło mi z wysiłku. Czekałem chwilę nasłuchując, ale we wszystkich biurach panowała cisza. Oświetliłem latarką korytarz i podszedłem do drzwi biura Jeschoncka. Uklęknąłem i sprawdziłem, czy nie ma drutów, które mogłyby wskazywać na to, że włączony jest alarm. Spróbowałem otworzyć drzwi jednym kluczem, potem drugim. Drugi wykonał pół obrotu, wyjąłem go więc i podpilołem. No i udało się. Otworzyłem drzwi i wszedłem, zamykając je za sobą na wypadek, gdyby strażnik robił obchód. Skierowałem światło latarki na biurko, potem na obrazy i na drzwi do

gabinetu Jeschonneka. Te drzwi otworzyłem z łatwością. Błogosławiąc mego ślusarza podszedłem do okna. Na dachu Pschorr Haus świecił czerwony neon oświetlając pełne przepychu wnętrze gabinetu. Latarka przestała być potrzebna. Zgasilem ją.

Usiadłem przy biurku i zacząłem szukać. Sam nie wiedziałem, czego szukam. Szuflady nie były zamknięte, ale nie znalazłem w nich nic interesującego. Ożywiłem się zobaczywszy oprawną w czerwoną skórę książkę z adresami – ale znałem tylko jedno nazwisko – Hermanna Göringa, tyle że przy tym nazwisku zanotowano: pisać na adres Gerharda von Greisa, Derfflingerstrasse. Przypomniałem sobie, że Weizmann wspominał mi, że Gruby Hermann ma agenta, który czasem skupuje dla niego kosztowności, i starannie zanotowałem adres.

Szafa z aktami stała również otworem i w niej także nic nie znalazłem. Katalogi klejnotów szlacheckich i półszlacheckich, rozkład lotów Lufthansy, dokumenty dotyczące wymiany dewiz, faktury i kilka polis ubezpieczeniowych, w tym jedna „Germanii”.

W kącie stał wielki sejf i oczywiście oparł się moim nieśmiałym próbom dotarcia do tajemnic Jeschonneka. Jasne się stało, czemu w drzwiach biura nie założono alarmu. Tego sejfu nie dałoby się otworzyć nawet przy pomocy pół tony dynamitu. Pozostał jeszcze kosz na śmieci. Wysypałem jego zawartość na biurko i zacząłem grzebać wśród papierów. Opakowanie gumy do żucia, poranny „Beobachter”, dwie połówki biletów do Teatru im. Lessinga, paragon z kasy domu towarowego KaDeWe i parę kulek skręconego papieru. Rozprostowałem je. Na jednym skrawku zobaczyłem numer telefonu „Adlonu”, a pod spodem nazwisko „księżniczka Mushmi” opatrzone znakiem zapytania. Zostało wielokrotnie przekreślone. Na następnym zobaczyłem własne nazwisko, niżej numer telefonu, a wokół niego gryzmoły niczym iluminowane inicjały średniowiecznej Biblii. Nie znałem tego numeru, ale należał do kogoś mieszkającego w zachodniej części Berlina. Podniosłem słuchawkę i czekałem, aż zgłosi się telefonistka.

– Centrala, słucham.

– J1-90-33.

– Już łączę. – Chwila ciszy i usłyszałem sygnał. Mam dobrą pamięć i łatwo rozpoznaję czyjąś twarz czy głos, ale tym razem miałem trudności ze zidentyfikowaniem inteligentnego głosu z lekkim akcentem frankfurckim. Ale ten mężczyzna sam wymienił swoje nazwisko, gdy tylko potwierdził numer telefonu.

– Przepraszam – mruknąłem, starając się mówić możliwie niewyraźnie. – Pomyłka. – Ale odkładając słuchawkę wiedziałem, że trafiłem na właściwy ślad.

Rozdział 9

Po krótkim nabożeństwie w Nikolai Kirche pochowano oba ciała we wspólnym grobie, pod północnym murem Cmentarza Nikolai przy Prenzlauer Allee, blisko pomnika najbardziej czczonego męczennika nazistów, Horsta Wessela.

Ilse Rudel w wielkim czarnym kapeluszu, przypominającym fortepian z podniesionym wiekiem wyglądała jeszcze piękniej niż w łóżku. Parokrotnie napotkałem jej wzrok, ale spojrzała przeze mnie jak przez brudną szybę zaciskając wargi; pewnie wyobrażała sobie, że zaciska zęby na mojej szyi. Six miał minę raczej wściekłą niż zrozpaczoną, zmarszczył brwi, pochylił głowę i wpatrywał się w grób, nadludzkim wysiłkiem woli próbując wskrzesić córkę. Nie opodal stał Haupthändler, był zamyślony, robił wrażenie człowieka, który ma coś ważnego do załatwienia, na przykład sprzedaż diamentowego naszyjnika. Skoro w koszu na śmieci Jeschonneka na tej samej kartce papieru numer telefonu Haupthändlera widniał obok mojego nazwiska, nasuwały się pewne wnioski. Jeschonnek, zaalarmowany moją wizytą, a zaskoczony moją opowieścią, zadzwonił do „Adlonu”, by sprawdzić, czy istnieje hinduska księżniczka, a zaraz potem do Haupthändlera, by poinformować go o tym, czego się dowiedział.

Wydawało się to prawdopodobne. W każdym razie był to jakiś punkt zaczepienia.

W którymś momencie Haupthändler spojrzał na mnie nieruchomym wzrokiem, ale z jego wyrazu twarzy niczego nie dało się wyczytać. Ani poczucia winy, ani obawy, ani świadomości tego, że odkryłem koneksje między nim a Jeschonnekiem, ani podejrzliwości. Ale nie zobaczyłem też nic, co by przekonało mnie, że nie jest zdolny do podwójnego morderstwa. Co prawda na pewno nie umiałby otworzyć sejfu, czyżby zatem namówił Frau Pfarr, aby zdradziła szyfr? Czyżby zalecał się do niej po to, by zdobyć jej biżuterię? Zważywszy na podejrzenia Ilse Rudel, że coś go z Frau Pfarr łączy, nie można było wykluczyć tej ewentualności.

Zauważyłem parę znanych osobistości. Paru ludzi z Kripo: Reichskriminaldirektor Arthur Nebe, Hans Lobbe, szef Wydziału Administracyjnego Kripo; a potem zobaczyłem twarz człowieka w binoklach i z wąsikami, wyglądającego raczej na pedantycznego

nauczyciela niż na zwierzchnika Gestapo i Reichsführera SS. Obecność Himmlera na pogrzebie potwierdziła to, co mówił Bruno Stahlecker o tym, że Pfarr był jego ulubieńcem i że Reichsführer nie puści płazem owego morderstwa.

Nigdzie nie było widać samotnej kobiety, która mogłaby być tą kochanką Pfarra, o której wspominał Bruno. Nie oczekiwałem, że ją tu zobaczę, ale w takich sprawach nic nigdy nie wiadomo.

Po pogrzebie Haupthändler pośpieszył udzielić mi rady w imieniu własnym i swego chlebodawcy.

– Herr Six nie widzi powodu, żeby zajmował się pan jego sprawami rodzinnymi. Mam też przypomnieć panu, że bierze pan wysokie stawki za każdy dzień pracy.

Obserwowałem, jak żałobni goście wsiadają do wielkich czarnych limuzyn, potem odjechał Himmler i szuchy z Kripo.

– Wie pan co, Haupthändler – powiedziałem. – Niech pan nie truje. Jeśli pana pryncypał sądzi, że chcę go zrobić w konia, to lepiej niech mnie od razu zwolni. Przecież nie przyszedłem tu po to, by naoddychać się świeżym powietrzem i wysłuchać paru pochwalnych mów żałobnych.

– A po co pan tu przyszedł, Herr Gunther?

– Czytał pan „Pieśń o Nibelungach”?

– No jasne.

– Pamięta pan chyba, że rycerze postanowili pomścić śmierć Zygryda. Ale nie wiedzieli, kto jest za nią odpowiedzialny. Odbyła się próba mar. Burgundzkich rycerzy przeprowadzono pojedynczo przed trumną Zygryda. I kiedy przyszła kolej na zabójcę – Hagen, z ran Zygryda zaczęła płynąć krew.

Haupthändler uśmiechnął się.

– Czyżby na tym polegały nowoczesne metody śledcze?

– Każdy detektyw powinien przykładać wagę do takich rzeczy, choćby się wydawały anachronizmem, Herr Haupthändler. Może pan zauważył, że pośród tych, którzy zajmują się tą sprawą, nie tylko ja pojawiłem się na pogrzebie.

– Czy naprawdę przypuszcza pan, że ktoś z tu obecnych mógłby zamordować Paula i Grete Pfarr?

– Niech pan nie będzie taki mieszczański. Oczywiście, że to możliwe...

– Bzdury... Kogo widziałby pan w roli Hagen?

– Właśnie się zastanawiam.

– No, to mam nadzieję, że wkrótce potrafi pan go zidentyfikować i złożyć raport Herr

Sixowi. Do widzenia.

Jedno muszę przyznać. Jeśli Haupthändler zamordował Pfarrów, to potrafił zachować zimną krew.

Pojechałem Prenzlauer Strasse na Alexanderplatz. Wyjąłem listy ze skrzynki i poszedłem do biura. Sprzątaczką otworzyła okno, ale nadal cuchnęło alkoholem. Pewnie pomyślała, że kąpię się w sznapsie.

Nadeszło kilka czeków, rachunek i doręczony osobiście liścik od Neumanna, który wyznaczał mi spotkanie w „Café Kranzler” o dwunastej. Spojrzałem na zegarek. Dochodziło pół do dwunastej.

Przed Pomnikiem Poległych kompania Reichswehry maszerowała paradnym krokiem przy akompaniamencie orkiestry dętej – znów pedikiurzyści będą mieli pełne ręce roboty. Czasem wydaje mi się, że w Niemczech więcej jest orkiestr dętych niż samochodów. Ta, przy dźwiękach „Marsza kawaleryjskiego Wielkiego Elektora”, zdążyła pełną parą w stronę Bramy Brandenburskiej. Przechodnie wyrzucali w górę rękę niczym na gimnastycznych ćwiczeniach. Żeby tego uniknąć, zatrzymałem się w drzwiach sklepu.

Potem poszedłem za maszerującymi, zachowując przezornie duży dystans. Zastanawiałem się nad zmianami, jakim ostatnio uległa Unter den Linden, najstynniejsza aleja stolicy. Rząd uznał, że należy ją przystosować do takich właśnie wojskowych parad. Nie zadowolając się wycięciem większości lip, od których pochodziła nazwa alei, wzniesiono białe kolumny doryckie, a na każdej przysiadł germański orzeł. Zasadzono nowe drzewa, ale były one zaledwie tej wysokości, co uliczne latarnie. Poszerzono jezdnię, żeby mogło nią maszerować pierś w pierś dwunastu chłopca, i wysypano czerwonym piaskiem, by nie ślizgały się buty. Wzniesiono wysokie białe maszty w związku ze zbliżającą się olimpiadą. Unter den Linden nigdy nie była stylowa, stojące tu budynki pochodziły z rozmaitych epok, teraz jednak jej malowniczość stała się prostacka. Miękkie kapelusze cyganerii zamieniły się w pikielhauby...

Do „Café Kranzler” na rogu Friedrichstrasse uczęszczało wielu turystów i ceny były tam odpowiednio wysokie; dziwiłem się, czemu Neumann wybrał ją jako miejsce naszego spotkania, wcale to do niego nie pasowało. Siedział skrzywiony nad filiżanką mokki i ledwie napoczętym ciastkiem.

– Co się stało? – spytałem. – Przeszedł ci apetyt?

Neumann z odrazą spojrział na talerzyk.

– To tak jak z tym rządem. Wyglądać wygląda. Ale lepiej nie próbować. Do tych

ciastek zamiast kremu pakują jakiś ohydny ersatz.

Zawołałem kelnera i zamówiłem dwie kawy.

– Herr Gunther, proszę mi szybko powiedzieć, o co chodzi, bo po południu wybieram się do Karlshorst.

– Tak? Otrzymałeś jakieś poufne informacje?

– Hm, właściwie to...

Roześmiałem się.

– Nie bój się, Neumann, nie postawiłbym na wytypowanego przez ciebie konia, nawet gdybym zobaczył, że przegania hamburską torpedę.

– No to niech pan spierdala – fuknął.

Jeśli Neumann należał nawet do gatunku ludzkiego, to zaliczał się do najmniej udanych jego przedstawicieli. Brwi pełzały mu po czole jak dwie otrute dżdżownice, między nie spadał kosmyk włosów. Za grubymi szklami, niemal nieprzejrzyistymi od tłustych śladów palców, mrugały szare oczka wpatrujące się w podłogę tak, jakby oczekiwał, że za chwilę na niej zlegnie. Spomiędzy zębów, tak pociemniałych od palenia, że wyglądały jak dwa drewniane parkany, wydobywały się kłęby dymu.

– Masz kłopoty?

Na twarzy Neumanna malowała się rezygnacja.

– Jestem paru ludziom winien kupę forsy.

– Ile?

– Dwieście marek.

– Więc jedziesz do Karlshorst, żeby próbować wygrać.

Wzruszył ramionami.

– No to co? – Zgasił papierosa i zaczął grzebać w kieszeni szukając następnego. – Może ma pan te gwoździe do trumny? Mnie się skończyły.

Podsunałem mu paczkę papierosów.

– Możesz ją zatrzymać – powiedziałem zapalając papierosa jemu i sobie. – Dwie setki, tak? Wiesz, niewykluczone, że będę ci mógł pomóc. I jeszcze ci coś zostanie. Jeśli dowiem się tego, czego chcę się dowiedzieć.

Neumann podniósł brwi.

– O jakie informacje panu chodzi?

Zaciągnąłem się papierosem i głęboko wciągnąłem dym.

– Chodzi o nazwisko kasiarza. Pierwszorzędnego kasiarza, który mniej więcej tydzień temu zrobił skok i zdobył kilka paciorków.

Wydał wargi i z wolna potrząsnął głową.

– O niczym takim nie słyszałem, Herr Gunther.

– No to jak usłyszysz, daj mi znać.

– Ale mógłbym powiedzieć coś, dzięki czemu może się pan wkraść w łaski gestapo.

– A mianowicie?

– Wiem, gdzie się ukrywa jedna żydowska „łódź podwodna”.

– Neumann, wiesz, że nie interesuję się takimi sprawami. – Ale ledwie wypowiedziałem te słowa, pomyślałem o mojej klientce, Frau Heine i jej synu. – Chwileczka! Jak się ten Żyd nazywa? – Neumann wymienił jego nazwisko i wyszczerzył zęby, bardzo przykry widok. Wycelowałem palec prosto w jego nos. – Jeśli usłyszę, że tej „łodzi podwodnej” coś się stało, będę wiedział, kto doniósł. Przysięgam ci, Neumann, że cię dopadnę i powyrywam ci powieki.

– A co to pana obchodzi – zaskomlał. – Odkąd to został pan rycerzem w barwach Goldbergów?

– Jego matka jest moją klientką. Masz zapomnieć, że w ogóle o nim słyszałeś, przedtem podaj jednak mi jego adres.

– Dobra, dobra. Ale coś z tego muszę mieć, nie?

Wyjąłem portfel i dałem mu dwadzieścia marek. Po czym zapisałem podany mi przez Neumanna adres.

– Nawet żuk gnojak by się ciebie brzydził – oświadczyłem. – No, wracajmy do kasiarza.

Oburzył się:

– Przecież już mówiłem, że nic o tym nie wiem.

– Łżesz!

– Przysięgam, Herr Gunther, nie wiem! Przecież powiedziałbym... Strasznie mi potrzeba pieniędzy. – Przelknął głośno ślinę i czymś w rodzaju chusteczki otarł z czoła pot. Unikając mojego wzroku zgasił papierosa, wypalonego tylko do połowy.

– Nie zachowujesz się jak ktoś, kto niczego nie wie – oznajmiłem. – Boisz się kogoś?

– Nie.

– Słyszałeś kiedyś o brygadzie „Poławiaczy Pedryli”? – Pokręcił przecząco głową. – To moi dawni koledzy. Jeśli odkryję, że mnie oszukujesz, pogadam z nimi. Powiem im, że byłeś takim śmierdzielem.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i oburzeniem.

– Czy ja na to wyglądam? Przecież pan wie, że nie jestem pedałem.

- Ja wiem, ale oni nie wiedzą. I jak myślisz, komu uwierzą?
- Przecież pan tego nie zrobi! – Schwycił mnie za rękę.
- Z tego, co słyszałem, mańkuci w kacetach nie mają lekko.
- Podły skurwiel z pana – westchnął. – Mówił pan coś o ponad dwóch setkach?
- Teraz sto, a dwieście jak informacja okaże się prawdziwa.

Zaczął się zwijać.

– Nie wie pan, o co się pan pyta, Herr Gunther. W takich rzeczach maczają palce bractwa. Zabijają mnie, jeśli odkryją, że na nich doniosłem.

Bractwa były to stowarzyszenia byłych więźniów, zajmujące się oficjalnie rehabilitacją i reedukacją kryminalistów, mowa była o działalności sportowej i spotkaniach towarzyskich. Stosunkowo często bractwo takie urządzało wystawną kolację (wszyscy byli bardzo bogaci) a honorowymi gośćmi byli adwokaci i reprezentanci policji. Ale za tą fasadą bractwa były organizacjami czysto przestępczymi.

– O które bractwo chodzi?

– „Germańska Potęga”.

– Cóż, na pewno się o tym nie dowiedzą. Zresztą już nie są tacy mocni. W obecnych czasach jedyne bractwo, które robi duże interesy, to partia.

– Narkotekom i prostytutce rzeczywiście się ostatnio dostało – powiedział. – Ale bractwa wciąż rządzą hazardem, czarnym rynkiem, nielegalną wymianą dewiz, paserstwem oraz wyrabiają nowe dokumenty. – Zapalił następnego papierosa. – Niech mi pan wierzy, Herr Gunther, oni wciąż jeszcze są potężni. Niech pan im nie wchodzi w drogę. – Zniżył głos i nachylił się w moją stronę. – Słyszałem, że ostatnio zabili jakiegoś starego junkra, który pracował dla premiera. Jak się to panu podoba? Policja nic o tym jeszcze nie wie...

Skupiłem się i przypomniałem sobie nazwisko z książki adresowej Jeschonneka.

– Czy ten junkier nie nazywa się przypadkiem von Greis?

– Nie znam nazwiska. Wiem tylko, że nie żyje i gliniarze wciąż go szukają.

– No więc co z tym kasiarzem?

– Słyszałem, że miesiąc temu Kurt Mutschmann po dwóch latach wyszedł z więzienia w Tegel. A to prawdziwy fachowiec. Dostałby się między nogi zakonnicy zastygłej w *rigor mortis*. Ale gliniarze nic o nim nie wiedzą. Wsadzili go, bo ukradł auto. On należy do „Germańskiej Potęgi” i kiedy wyszedł, bractwo się nim od razu zajęło. I namotali dla niego robotę. Nie wiem co. Ale, Herr Gunther, jedno jest ciekawe. Szef „Germańskiej Potęgi”, Czerwony Dieter, szuka teraz Mutschmanna i nie może go znaleźć. Mówi się, że Mutschmann wystrychnął go na dudka.

– Mutschmann był zawodowcem, tak?

– Jednym z najlepszych.

– Czy zdolny był do popełnienia morderstwa?

– Cóż – powiedział Neumann. – Nie znam człowieka. Ale słyszałem, że jest artystą najwyższej klasy. Więc to do niego niepodobne.

– Gdzie mogę znaleźć Dietera?

– Nie zdradzi mnie pan przed nim, Herr Gunther? Nawet jeśli przystawi panu do głowy pistolet?

– Przysięgam – skłamałem. I tak nawet dziecko wie, że każda lojalność gdzieś się kończy.

– Cóż, może pan zajrzeć do restauracji „Rheingold” na Potsdamer Platz. I do „Kopuły Germanii”. Ale radzę wziąć z sobą sfluwę.

– Jestem wzruszony, Neumann, że tak dbasz o moje bezpieczeństwo.

Neumann sprostował:

– Przecież chodzi o pieniądze. Powiedział pan, że po sprawdzeniu informacji dostanę dwieście marek. – Zamilkł i po chwili dorzucił: – I setkę zaraz.

Wyjąłem portfel i wręczyłem mu dwie pięćdziesiątki. Spojrzał na nie pod światło sprawdzając znaki wodne.

Wstałem i rzuciłem na stół parę monet.

– Jeszcze jedno. Czy pamiętasz, kiedy słyszałeś o tej robocie Mutschmanna?

Neumann zaczął się zastanawiać.

– Chyba w zeszłym tygodniu, mniej więcej wtedy, kiedy zaczęło się mówić o śmierci tego junkra.

Poszedłem w dół Unter den Linden w stronę Pariser Platz i „Adlonu”.

Wszedłem przez bardzo piękne drzwi do wytwornego holu z kolumnami z ciemnego marmuru. Wszędzie pełno dzieł sztuki. Udałem się do baru, gdzie kłębili się zagraniczni dziennikarze oraz dyplomaci i poprosiłem zaprzyjaźnionego barmana, żeby podał mi piwo i pozwolił zadzwonić. Zatelefonowałem do Bruna Stahleckera.

– Halo, to ja, Bernie.

– Czego chcesz, Bernie?

– Co się stało z Gerhardem von Greisem? – zapytałem. Nastąpiło długie milczenie.

– A niby co się miało stać? – Zabrzmiało to zaczepnie, jakby Bruno chciał mnie skłonić, bym powiedział wszystko, co wiem, a czego nie powinienem był wiedzieć.

– Nie mam pojęcia. Ale prowadząc moje dochodzenie natrafiłem na jego nazwisko.

– I tylko tyle?

– Cóż, słyszałem, że zniknął.

– Skąd słyszałeś?

– No, Bruno, nie wygłupiaj się. Powiedział mi o tym mój mały paluszek. Ale gdybym miał o von Greisie więcej informacji, niewykluczone, że mógłbym ci pomóc.

– Bernie, nasz wydział prowadzi w tej chwili dwie duże sprawy i wygląda na to, że jesteś w obie zamieszany. Niepokoję się o twoje zdrowie.

– Obiecuję, że pójdę dziś wcześniej spać. No, Bruno, wykrztuś coś.

– Drugi raz w ciągu tygodnia?

– Odwdzięczę ci się.

– Mam nadzieję.

– No, mów.

Stahlecker zniżył głos.

– Słyszałeś już kiedyś o Waltherze Funku?

– Funku? Chyba nie... Ale poczekaj... To ta fisza ze świata biznesu?

– Był doradcą Hitlera do spraw ekonomicznych. Teraz jest wiceprezesem Izby Kultury Rzeszy. A Herr von Greis jest jego dziwką.

– Sądziłem, że Führer nie znosi pedałów.

– Kalek także nie znosi, ciekawe więc, co zrobi, kiedy się w końcu dowie, że Goebbels jest kuternogą.

Był to stary dowcip, ale się grzecznie roześmiałem.

– Aha, stąd ta konspiracja. Prawda może się okazać kłopotliwa dla Funka, a co za tym idzie, dla rządu, tak?

– Chodzi nie tylko o to. Von Greis i Göring są starymi przyjaciółmi. Byli razem na wojnie. Göring załatwił von Greisowi posadę w I. G. Farben. A ostatnio von Greis na zlecenie Göringa skupował dzieła sztuki i klejnoty. Reichskriminaldirektorowi bardzo zależy, byśmy możliwie najszybciej odnaleźli von Greisa. Mieli z Funkiem miłosne gniazdko na Privatstrasse, żona Funka nic o tym nie wiedziała. Ale już od wielu dni tam się nie pojawił.

Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru, na której zanotowałem adres znaleziony u Jeschonka – był to numer domu przy Derfflingerstrasse.

– Privatstrasse, tak? To był jedyny adres?

– O ile wiem.

– Czy zajmujesz się tą sprawą, Bruno?

– Już nie. Przejął ją Dieter.

– Ale przecież on prowadzi dochodzenie w sprawie Pfarrów?

– No tak.

– I to ci nic nie daje do myślenia?

– Nie mam czasu na myślenie, Bernie. Jestem zbyt zajęty tym facetem z kawałkiem kija bilardowego w nosie, staram się dowiedzieć, kto to jest. Nie mogę więc być prawdziwym detektywem tak jak ty.

– Mówisz o tym wyłowionym z rzeki?

Bruno zirytował się.

– Widzę, że nie ma takiej rzeczy, której byś nie wiedział.

– Wspomniał mi o tym Illmann. Wpadłem na niego któregoś wieczoru.

– Tak? A to gdzie?

– W kostnicy. I widziałem tam twojego klienta. Bardzo przystojny. A może to von Greis?

– Nie, już mi to przychodziło na myśl. Ale von Greis miał na przedramieniu tatuaż – niemieckiego orła. Słuchaj, Bernie, muszę kończyć. Jeszcze raz ci powtarzam, jeśli się czegoś dowiesz, daj mi natychmiast znać. Szef siedzi mi nad głową i przydałaby mi się jakaś szybka informacja.

– Jak już mówiłem, Bruno, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

– Dwa, Bernie. Nie zapominaj o tym, dwa.

Odwiesiłem słuchawkę i jeszcze raz zadzwoniłem, tym razem do dyrektora więzienia Tegel. Umówiłem się z nim i poprosiłem o następne piwo. Pijąc je zacząłem coś bazgrać na skrawku papieru, jakieś algebraiczne wzory, mając nadzieję, że rozjaśni mi się w głowie. Potem jednak poczułem się jeszcze bardziej skołowany. Nigdy nie byłem mocny w algebrze. Wiedziałem, że jestem na dobrej drodze, ale nie miałem pojęcia, dokąd mnie ona zaprowadzi.

Rozdział 10

Z Derfflingerstrasse blisko było do Ministerstwa Lotnictwa mieszczącego się na skrzyżowaniu Wilhelmstrasse i Leipzigerstrasse, nie mówiąc już o Pałacu Premiera na Leipzigerplatz; von Greis mógł na każde zawołanie stawić się natychmiast u swego pana sprawującego funkcję szefa Luftwaffe i premiera Prus.

Mieszkanie von Greisa znajdowało się na trzecim piętrze eleganckiego domu. Nigdzie nie zobaczyłem portiera, poszedłem więc prosto na górę. Na drzwiach była kołatka, zastukałem i czekałem.. Po jakiejś minucie schyliłem się i zajrzałem do szpary na listy. Popchnąłem niechcący drzwi i ku mojemu zdumieniu otworzyły się.

Niepotrzebna była wiedza detektywistyczna, by zauważyć, że mieszkanie zostało gruntownie przeszukane. Parkiet długiego przedpokoju zasłany był książkami, papierami, kopertami, pustymi aktówkami oraz potłuczonym szkłem z oszklonych kiedyś drzwi biblioteczki.

Minąłem parę drzwi i zatrzymałem się jak wryty, w jednym z pokoiów usłyszałem skrzypienie krzesła. Instynktownie sięgnąłem po pistolet. Niestety, zostawiłem go w aucie. Wyciągnąłem więc rękę po zawieszoną na ścianie ciężką szablę kawaleryjską, kiedy usłyszałem, jak z tyłu zgrzyta pod czyimiś nogami szkło. Otrzymałem cios w kark i zapadłem się głęboko pod ziemię.

Przez wiele godzin, choć naprawdę były to tylko minuty, spoczywałem na dnie głębokiej studni. Kiedy zacząłem odzyskiwać przytomność, poczułem, że obmacują mnie czyjeś ręce, potem usłyszałem dochodzący z oddali głos. Ktoś wziął mnie pod ramiona, włókł w ten sposób dobrych parę kilometrów i wepchnął pod wodospad.

Wykręciłem głowę, by spojrzeć na człowieka, który mnie wyrzwał. Był to olbrzym, miał szerokie usta, a policzki wyglądały jak wypchane dwiema kromkami chleba. Szyję otaczało coś, co było koszulą, ale wyglądało jak ręcznik, który zakłada fryzjer, a powinno być chomontem. Rękawy marynarki wypchane były kartoflami i kończyły się za wcześnie, pokazując nadgarstki i pięści wielkości i koloru ugotowanych homarów. Głęboko odetchnąłem, potrząsnąłem głową, poczułem straszny ból. Powoli usiadłem podtrzymując

obiema rękami szyję.

– Chryste Panie, czym ty mnie walnąłeś? Szyną kolejową?

– Bardzo mi przykro – odpowiedział napastnik. – Ale jak zobaczyłem, że sięgasz po szablę, musiałem cię przyhamować.

– Pewnie powinienem się cieszyć, że mnie nie znokautowałeś... – Wskazałem na moje dokumenty w łapach olbrzyma. – Wygląda na to, że wiesz, kim jestem. Może powiesz, kim jesteś ty. Chyba powinniśmy się zaznajomić.

– Rienacker. Wolf Rienacker z Gestapo. Ty byłeś kiedyś gliniarzem, prawda? Na Alexie.

– Prawda.

– A teraz jesteś łapsem. Co cię tu sprowadza?

– Szukam von Greisa. – Rozejrzałem się po pokoju. Panował tu straszny bałagan, ale nie wyglądało na to, że coś zostało ukradzione. Na kredensie stał srebrny półmisek, puste szuflady tegoż kredensu leżały na podłodze, a pod ścianami stało parę tuzinów obrazów olejnych. Ktokolwiek przeszukiwał to mieszkanie, nie zamierzał kraść, szukał jakiejś konkretnej rzeczy.

– Rozumiem. – Z wolna skinął głową – A wiesz, czyje to mieszkanie?

Wzruszyłem ramionami.

– Von Greisa.

Rienacker pokręcił głową wielkości wiadra. – Herr Greis tu bywał. Ale mieszkanie należy do Hermanna Göringa. Niewiele osób o tym wie, bardzo niewiele. – Zapalił papierosa i rzucił mi paczkę.

Z wdzięcznością zapaliłem i zaciągnąłem się dymem. Zauważyłem, że drży mi ręka.

– Zatem należy się zastanowić, skąd ty o tym wiedziałeś. A potem, dlaczego chciałeś rozmawiać z von Greisem. Może po to samo co bandziory? Mamy jeszcze trzecią zagadkę: gdzie obecnie znajduje się von Greis. Ukrywa się, ktoś go porwał, nie żyje? Nie wiem. Tu włamano się tydzień temu. Wróciłem dziś, by sprawdzić, czy za pierwszym razem czegoś nie przegapiłem, i zastanowić się, a tu pojawiłeś się ty. – Zaciągnął się. Papieros w jego łapie wyglądał jak ząbek dziecka. – Nareszcie mam się o co zahaczyć. Więc gadaj!

Usiadłem, poprawiłem krawat, usiłowałem wyprostować mój przemoczony kołnierzyk.

– Niech się zastanowię – powiedziałem. – Od przyjaciela z Alexu dowiedziałem się, że policja nie zna tego adresu, a ty to mieszkanie przeszukałeś. Czyli albo tobie, albo temu, kto ci to zlecił, zależy na sekrecie. Chciałbyś odszukać von Greisa, a w każdym razie to coś, co

znajduje się w jego posiadaniu, nim dopadnie go policja z Alexu. A nie chodzi tu ani o srebro, ani o obrazy, bo ich stąd nie wyniesiono.

– No i co dalej?

– Skoro jest to mieszkanie Göringa, to domyślałam się, że jesteś jego psem gończym. Göring nie ma powodów lubić Himmlera. Ostatecznie to Himmler odebrał mu kontrolę nad policją i gestapo. Zatem Göring woli trzymać ludzi Himmlera z dala od tej sprawy.

– Zapomniałeś chyba, że ja pracuję w gestapo.

– Rienacker, okazało się wprawdzie, że łatwo mi dać w łeb, ale nie jestem głupi. Obaj wiemy, że Göring ma w gestapo wielu przyjaciół. Nic dziwnego, przecież to on je stworzył.

– Wiesz co, powinieneś zostać detektywem.

– Mój klient, podobnie jak twój, nie chce do tej sprawy mieszać gliniarzy. Tak że możemy współpracować. Mojemu klientowi ukradziono obraz, obraz ten trafił w jego ręce niezupełnie legalnie, lepiej więc, żeby policja nic o tym nie wiedziała. Zatrudnił mnie. Byłem w kilku galeriach i dowiedziałem się, że Hermann Göring skupuje obrazy, że gdzieś w czeluściach Karinhall znajduje się kolekcja starych mistrzów i że niektóre z tych arcydzieł zostały nabyte potajemnie. I że nabywa je dla niego Herr von Greis. Przyszedłem więc tutaj, żeby go wypytać. Kto wie, może obraz, którego szukam, stoi właśnie pod tą oto ścianą.

– Może. Ale nie jestem pewny, czy ci wierzę. Czyjego pędzla miałby być ten obraz?

– Rubensa – odpowiedziałem, zadowolony z własnej fantazji. – Dwie nagie kobiety nad rzeką. Nazywa się „Kąpiel” czy coś w tym rodzaju. Mam w biurze zdjęcie.

– Kto jest twoim klientem?

– Bardzo mi przykro, ale tego nie mogę powiedzieć.

Rienacker zacisnął pięści.

– Może potrafię cię przekonać.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie. Chodzi mi nie tylko o reputację klienta. Ale za odnalezienie obrazu mam otrzymać pokaźną sumę. Nareszcie mam szansę zdobyć kupę forsy i zdobędę, choćby mnie to miało kosztować parę połamanych żeber.

– Dobra – powiedział Rienacker. – Jeśli chcesz, możesz obejrzeć obrazy. Tylko, że jeśli ten obraz tutaj jest, nie dostaniesz go tak od razu, będę musiał tę sprawę wyjaśnić.

Wstałem i choć chwiałem się na nogach, podszedłem do obrazów. Nie znam się na sztuce, potrafię jednak rozpoznać dobry obraz, większość znajdujących się tutaj była prima. Z ulgą stwierdziłem, że na żadnym płótnie nie było nagiej kobiety i że nie musiałem zgadywać, czy to jest Rubens.

– Nie ma go tutaj – oświadczyłem. – Ale wielkie dzięki, Rienacker, że pozwoliłeś mi się im przyjrzeć.

Rienacker skinął głową.

W przedpokoju wzięłem kapelusz i wsadziłem go na obolałą głowę. Rienacker powiedział:

– Urzęduję na Charlottenstrasse. Na rogu Französische Strasse.

– Wiem, wiem – odparłem. – Nad restauracją „Lutter i Wegner”, prawda? – Rienacker skinął głową. – Jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać.

– Tylko nie zapomnij – warknął i wypuścił mnie.

Kiedy wróciłem na Alexanderplatz, w mojej poczekalni siedział gość.

Kobieta ta była dobrze zbudowana i wysoka, miała na sobie czarny kostium tak opinający jej bujne kształty, że wyglądała jak hiszpańska gitara. Spódniczka była krótka, wąska i dobrze uwydatniała szerokie, kształtne siedzenie. Żakiet był dopasowany w talii, powyżej rozpięły go potężne piersi. Na czarnych, lśniących włosach miała czarny kapelusik z podgiętym wokoło rondem, w rękach trzymała czarną płócienną torbę z białą rączką i książkę, którą odłożyła na mój widok.

Błękitne oczy i starannie umalowane usta uśmiechnęły się przyjaźnie.

– Herr Gunther, prawda? Skinąłem głową.

– Jestem Inge Lorenz, przyjaciółka Eduarda Müllera z „Berliner Morgenpost”. – Uścisnęliśmy sobie ręce. Otworzyłem drzwi do gabinetu.

– Niech pani wejdzie i spocznie – zaprosiłem.

Rozejrzała się po pokoju i zaczęła węszyć. Gabinet wciąż cuchnął niczym fartuch barmana.

– Przepraszam za ten smród. Zdarzył się tu maleńki wypadek.

Podszedłem do okna i otworzyłem je. Kiedy odwróciłem się, stała tuż koło mnie.

– Wspaniały widok – powiedziała.

– Całkiem niezły.

– „Berlin-Alexanderplatz”. Zna pan tę powieść Döblina?

– Nie mam ostatnio czasu na czytanie – odpowiedziałem. – No i nie bardzo jest co czytać.

– Ta książka znalazła się na czarnej liście. Ale powinien ją pan szybko przeczytać, bo znów pojawiła się w obiegu.

– Nie rozumiem – odparłem.

– Nie zauważył pan? Znów w księgarniach pokazały się nazwiska pisarzy z czarnej listy. To w związku z Olimpiadą. Żeby turyści doszli do wniosku, że odmalowuje się nas w zbyt czarnym świetle. Oczywiście, zaraz po Igrzyskach te książki znikną. Teraz jednak powinien pan skorzystać z okazji i przeczytać je, choćby tylko dlatego, że zostały zabronione.

– Dziękuję, postaram się nie zapomnieć.

– Ma pan papierosa?

Otworzyłem stojącą na biurku srebrną kasetkę i trzymając ją za wieczko, poczęstowałem Fräulein Inge. Wzięła papierosa i czekała, aż go jej zapalę.

– Któregoś dnia w kawiarni na Kurfürstendamm zapaliłam odruchowo papierosa i napadł na mnie jakiś stary nachał, przypominając mi o obowiązkach niemieckiej kobiety, żony i matki. Cóż, mam trzydzieści dziewięć lat, więc nie bardzo się już nadaję do tego, żeby rodzić partii nowych rekrutów. Z punktu widzenia eugeniki całkowity niewypał. – Usiadła w fotelu, założyła nogę na nogę, miała piękne nogi. – Doszło obecnie do tego, że kobieta nie może wyjść umalowana, bo nazwą ją kurwą.

– Nie robi pani na mnie wrażenia kobiety, która przejmuje się tym, co o niej wygadują – oświadczyłem. – A jeśli chodzi o mnie, to wolę, by kobieta wyglądała jak dama niż jak heska dojarka.

– Dziękuję panu, Herr Gunther – powiedziała z uśmiechem. – Bardzo to miło z pańskiej strony.

– Müller mówił mi, że pracowała pani jako reporterka.

– Pracowałam. Straciłam pracę w toku kampanii podjętej przez partię „Oczyścić przemysł z kobiet”. Bardzo sprytny sposób rozwiązania problemu bezrobocia prawda? Wystarczy powiedzieć, że każda kobieta ma i tak pracę, bo zajmuje się domem i rodziną. A jeśli nie ma męża, to szybko powinna się o niego postarać. Porażająca logika.

– Z czego się pani utrzymuje?

– Trochę piszę jako wolny strzelec. Ale akurat teraz, Herr Gunther, szczerze mówiąc jestem bez grosza i dlatego tu przyszedłam. Müller mówi, że poszukuje pan informacji o Hermannie Sixie. Więc może sprzedam to, co wiem. Śledzi go pan?

– Nie. Jest moim klientem.

– Och! – To ją naprawdę zaskoczyło.

– Kiedy mnie zatrudnił, zachowywał się tak, że postanowiłem zasięgnąć na jego temat informacji – wyjaśniłem. – I nie mam na myśli tego, do jakiej szkoły uczęszczał. Zirytował mnie. Wie pani, nie lubię, żeby mnie pouczano, jak mam pracować.

– W obecnych czasach nie wyjdzie to panu na zdrowie.

– Pewnie nie. – Uśmiechnąłem się do niej. – No to powiedzmy pięćdziesiąt marek za to, co pani o nim wie.

– Może sto; zapewniam, że nie będzie pan rozczarowany.

– Siedemdziesiąt pięć i kolacja.

– Zgoda. – Wyciągnęła rękę i przypieczętowaliśmy umowę uściskiem dłoni.

– Ma pani jakieś dokumenty, Fräulein Lorenz?

Poklepała się po czole.

– Mam wszystko w głowie. I proszę mówić do mnie Inge. Zaczęła opowiadać.

– Hermann Six urodził się w kwietniu 1881 roku jako syn jednego z najbogatszych ludzi w Niemczech, dokładnie dziewięć lat wcześniej, niż przyszedł na świat nasz ukochany Führer. Wspominał pan o szkole, Six uczęszczał do König Wilhelm Gymnasium w Berlinie. Potem zajął się operacjami giełdowymi, wkrótce wstąpił do firmy ojca, czyli Stalowni Sixa.

Tak jak Fritz Thyssen, dziedzic innej wielkiej fortuny, młody Six był zagorzałym nacjonalistą, obaj organizowali bierny opór w czasie okupacji francuskiej w Zagłębiu Ruhry. Obaj zostali za to aresztowani i przesiedzieli jakiś czas w więzieniu. Ale na tym podobieństwo się kończy, bo w przeciwieństwie do Thyssena, Six nie popierał Hitlera. Był konserwatywnym nacjonalistą, nigdy nie stał się narodowym socjalistą i jeśli wspomagał partię, wynikało to z czystego pragmatyzmu, żeby nie powiedzieć oportunizmu.

Ożenił się z Lisą Voegler, która była przed ślubem aktorką w Państwowym Teatrze Berlińskim. Mieli jedno dziecko, Grete – urodziło się w 1911 roku. Lisa zmarła na gruźlicę w roku 1934 i Six poślubił Ilse Rudel, aktorkę. – Inge Lorenz wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Odtąd trudno mi było skupić uwagę; kiedy stała tyłem do mnie, wpatrywałem się w jej pośladki, kiedy zwracała się ku mnie twarzą, wpatrywałem się w brzuch.

– Jak już mówiłam, Six nie popierał partii. Ale był też przeciwnikiem związków zawodowych i z uznaniem powitał nałożone na nie restrykcje, gdy partia objęła władzę. Nie podobał mu się jednak ten tak zwany socjalizm partii. I jej polityka ekonomiczna. Six był jednym z owych czołowych biznesmenów, którzy zostali zaproszeni na potajemne zebranie na początku 1933 roku, kiedy to Hitler i Göring poinformowali zebranych, na czym będzie polegała nazistowska polityka ekonomiczna. Biznesmeni dali wtedy wiele milionów marek na fundusz partyjny, gdyż Hitler obiecał wyeliminować bolszewików i odbudować armię. Ale miodowy miesiąc nie trwał długo. Jak większość przemysłowców niemieckich, Six jest za wolnym handlem. Dla swoich stalowni chciałby kupować rudę żelazną za granicą, gdzie jest o wiele tańsza. Na to jednak nie chce się zgodzić Göring, który uważa, że Niemcy mają być

samowystarczalne. I pragnie kontrolować poziom konsumpcji i eksport. Nietrudno zrozumieć dlaczego. – Przerwała oczekując, że sam to powiem.

– Nietrudno? – spytałem.

Niecierpliwie westchnęła i potrząsnęła głową.

– Jasne, że nietrudno. Niemcy przygotowują się do wojny, zatem sprawdzone prawa ekonomiczne nie mają tu nic do rzeczy.

Pokiwałem głową, robiąc inteligentną minę.

– Rozumiem.

Usiadła na poręczy fotela i skrzyżowała ręce.

– Rozmawiałam z kimś, kto pracuje w DAZ – oświadczyła – i on mówi, że krąży plotka, iż za parę miesięcy Göring obejmie kontrolę nad drugim planem czteroletnim. Zważywszy, że zamierza uruchomić kopalnie, które będą dostarczały rudy żelaznej potrzebnej w celach strategicznych, Sixa to – delikatnie mówiąc – nie może zachwycać. W czasie kryzysu stalownie bardzo ucierpiały, nie mogły w pełni wykorzystać swoich przerobowych mocy. Six niechętnie przyjmie inwestycje, które zapewnią Niemcom samowystarczalność, bo wie, że gdy boom zbrojeniowy się skończy, jego stalownie będą przeinwestowane i w dodatku będą produkować bardzo kosztowną stal i żelazo, których on nie będzie mógł sprzedać za granicą. Nie warto nawet wspominać, że Six pragnie, aby to do przemysłowców należała inicjatywa w dziedzinie ekonomii. I jak mi się zdaje, robi co może, by skłonić innych przemysłowców, aby wraz z nim sprzeciwili się Göringowi. Jeśli go nie poprą, jest zdolny do wszystkiego. Ucieknie się do najbrudniejszych metod. Podejrzewam – oczywiście jest to tylko podejrzenie, że ma kontakty ze światem przestępczym.

Polityka ekonomiczna Rzeszy niezbyt mnie obchodziła, ale Six i świat przestępczy to było naprawdę coś!

– Skąd pani to przyszło na myśl?

– Przede wszystkim to łamanie strajków w stalowniach. Wielu spośród tych, którzy bili robotników, należało do gangów. Wielu odsiedziało już swoje w kryminale, byli to członkowie bractwa, wie pan, jednego z tych stowarzyszeń zajmujących się resocjalizacją więźniów.

– Nie pamięta pani, jak się to bractwo nazywało?

Pokręciła przecząco głową.

– Czy nie była to „Germańska Potęga”?

– Nie wiem. – Namyslała się przez chwilę. – Ale gdyby to miało panu pomóc, mogę dowiedzieć się nazwisk ludzi, którzy w tym uczestniczyli.

– Jeśli będzie pani taka dobra – odpowiedziałem. – Każdy szczegół dotyczący tego łamania strajku może okazać się dla mnie bardzo cenny.

Wiele mi jeszcze opowiedziała, ale ja już i tak miałem za te moje siedemdziesiąt pięć marek dosyć materiału. Wiele się o moim tajemniczym kliencie dowiedziałem i czułem, że mogę zająć miejsce za kierownicą. Przyszło mi na myśl, że Fräulein Lorenz może mi być bardzo pomocna.

– A może zechciałaby pani u mnie popracować? Potrzebny mi jest ktoś, kto będzie grzebał w archiwach i czasem tu posiedzi. Myślę, że to dla pani wymarzone zajęcie. Dam pani pięćdziesiąt marek tygodniowo. Gotówką, więc nie będzie pani musiała zgłaszać tej sumy we Froncie Pracy. Potem może więcej, w zależności od tego, jak się ułożą sprawy. Co pani na to?

– Jeśli jest pan pewny, że... – Wzruszyła ramionami. – Cóż, pieniądze mi się przydadzą.

– No to zrobione. – Chwilę się zastanawiałem. – Pewnie ma pani jeszcze sporo kontaktów w gazetach i rozmaitych agendach rządowych?

Skinęła potakująco głową.

– Zna pani kogoś w DAF-ie?

Namyślała się bawiąc się guzikami od żakietu.

– Tak, kogoś znam – odpowiedziała niechętnie. – Dawny wzdychulec. Z SA. Dlaczego się pan pyta?

– Niech pani do niego zadzwoni i umówi się na dziś wieczór.

– Ale ja się z nim od wielu miesięcy nie widziałam – oświadczyła. – I tylko z trudem się go pozbyłam. Zachowywał się jak pijawka.

Jej błękitne oczy spojrzały na mnie z niepokojem.

– Chciałbym, żeby się pani dowiedziała, ile się tylko da, o zięciu Sixa. Paul Pfarr tak się DAF-em interesował, że bywał tam wiele razy w tygodniu. Wiem też, że miał kochankę – czegokolwiek się pani o niej dowie, może mi bardzo dopomóc. Nawet pozorny drobiazg.

– Wobec tego muszę założyć dodatkową parę majtek. Jemu się chyba czasem wydaje, że jest akuszerką.

Poczułem zazdrość wyobrażając sobie, jak on się do niej dobiera. Ale tylko przez sekundę. Pociężyłem się myślą, że może przyjdzie potem kolej na mnie.

– Zaproponuję mu, żebyśmy poszli do teatru – oświadczyła wrywając mnie z erotycznych marzeń. – Potem się czegoś napijemy, postaram się, żeby się upił...

– To jest pomysł – powiedziałem. – A jeśli nie wypali, niech pani temu skurwielowi

zaoferuje forszę.

Rozdział 11

Więzienie Tegel znajduje się na północny zachód od Berlina, tuż nad jeziorkiem, koło osady robotniczej przy Fabryce Parowozów Borsig. Kiedy wjechałem na Seidelstrasse, czerwone mury więzienne pojawiły się przede mną jak utyłana błotem skorupa dinozaura, a kiedy zatrzęsnęły się za mną ciężkie drewniane drzwi i zniknęło błękitne niebo – tak jak za przekroczeniem kontaktu znika światło elektryczne, nabrałem współczucia dla mieszkańców tego więzienia, jednego z najcięższych w Niemczech.

W sieni przy głównym wejściu oddawało się słodkiemu nieróbstwu całe stado strażników więziennych, jeden z nich z twarzą mopsa, śmierdzący karbolem i trzymający w ręku pęk kluczy – kółko było wielkości opony samochodowej – poprowadził mnie przez labirynt pośliskich korytarzy i małe wybrukowane podwórze, na którym stała gilotyna. Za każdym razem, kiedy widzę gilotynę, przechodzą mnie ciarki. Odkąd partia objęła władzę, gilotyna jest w częstym użyciu, teraz też sprawdzano, czy dobrze działa; następnego dnia, jak to ogłoszono na bramie, miały się odbyć liczne egzekucje.

Strażnik wszedł przez dębowe drzwi i poprowadził mnie wyścielonymi chodnikami schodami na następny korytarz. Na końcu tego korytarza znajdowały się wypucowane mahoniowe drzwi, strażnik zapukał. Sekundę czekał i wprowadził mnie do środka. Dyrektor więzienia, dr Konrad Spiedel, wstał zza biurka, żeby się ze mną przywitać. Poznałem go wiele lat temu, gdy był jeszcze dyrektorem więzienia w Brauweiler koło Kolonii, ale mnie zapamiętał.

– Poszukiwał pan wówczas informacji o koledze z celi jednego z naszych więźniów – przypomniał sobie wskazując mi fotel. – Chodziło o napad na bank.

– Ma pan świetną pamięć, Herr Doktor.

– Muszę wyznać, że niedawne wydarzenie ją odświeżyło – oznajmił – ten sam człowiek siedzi znów u nas, tyle że z innego paragrafu. – Spiedel był wysokim, szerokim w ramionach mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał na sobie schillerowski krawat i oliwkową, bawarską kurtkę, a w butonierce jedwabną, biało-czarną kokardkę ze skrzyżowanymi mieczami, oznakę weteranów wojennych.

– Dziwnym zbiegiem okoliczności przyjechałem tu dzisiaj w podobnej sprawie – wyjaśniłem. – Niedawno siedział u was człowiek nazwiskiem Kurt Mutschmann i mam nadzieję, że będzie pan mógł mi o nim coś opowiedzieć.

– Mutschmann... tak, pamiętam. Niewiele mam o nim do powiedzenia, nie przysparzał nam kłopotów i wydawał się rozsądnym facetem.

Spiedel wstał, podszedł do kartoteki i zaczął grzebać w aktach.

– Tak... Mutschmann, Kurt Hermann, lat trzydzieści sześć. Skazany na dwa lata za kradzież auta w kwietniu 1934 r. Adres zamieszkania Cicerostrasse nr 29, Halensee.

– Myśli pan, że to tam zamieszkał po zwolnieniu?

– Nie sędzę. Mutschmann miał żonę, ale w ciągu tych dwóch lat odwiedziła go tylko raz. Nie wygląda na to, żeby mógł na nią liczyć.

– Czy nikt inny go nie odwiedzał?

Spiedel przejrzał akta.

– Owszem, ktoś z bractwa byłych więźniów, ponoć jest to charytatywna organizacja, ale mam co do tego poważne wątpliwości. Był to mężczyzna nazwiskiem Kasper Tillessen. Odwiedzał Mutschmanna dwukrotnie.

– Czy ktoś siedział w celi wraz z Mutschmannem?

– Tak, Bock H., J. numer 7888319. – Wyjął następną teczkę. – Hans Jürgen Bock, lat trzydzieści osiem. Skazany za napad i okaleczenie człowieka z dawnego Związku Hutników. Działo się to w marcu 1930 roku, dostał sześć lat.

– Łamistrąk?

– Tak.

– Nie zna pan żadnych szczegółów tej sprawy?

Spiedel pokręcił przecząco głową.

– Niestety nie. Jego akta sądowe odesłano do archiwum na Alexie. – Chwilę czytał. – Ale widzę tu coś, co może się panu przydać. Bock przed zwolnieniem podał, gdzie zamierza się zatrzymać. „Pensjonat Tiüessena, Chamissoplatz nr 17, Kreuzberg”. A to właśnie Kasper Tillessen odwiedził Mutschmanna z ramienia bractwa byłych więźniów. – Spojrzał na mnie. – To by było wszystko.

– Powinno wystarczyć – oświadczyłem optymistycznym tonem. – Bardzo to uprzejmie z pana strony, że zechciał mi pan poświęcić tyle czasu.

Spiedel uroczyście oświadczył:

– Ależ, proszę pana, to dla mnie prawdziwa radość pomóc człowiekowi, który oddał Gormanna w ręce sprawiedliwości.

Pewnie jeszcze za dziesięć lat będę odcinał kupony od tej sprawy.

Kiedy żona człowieka, który siedzi w pierdlu, odwiedza go tylko raz w ciągu dwóch lat, nie można oczekiwać, by na jego powitanie upiekła tort. Ale niewykluczone, że Mutschmann po zwolnieniu jednak się z nią zobaczył, choćby po to, by dać jej wycisk. Postanowiłem to sprawdzić. Praca detektywa polega przede wszystkim na eliminacji.

Ani Mutschmann, ani jego żona nie mieszkali już pod tym adresem na Cicerostrasse. Jakaś kobieta poinformowała mnie, że Frau Mutschmann wyszła powtórnie za mąż i przeprowadziła się do osady dla pracowników fabryki Siemens przy Ohmstrasse. Spytałem się, czy ktoś jej ostatnio tutaj szukał; nie, nie szukał.

Kiedy dotarłem do osady Siemens, było już pół do ósmej. Stoi tam tysiąc identycznych domków, wszystkie zbudowane z białej cegły. Mieszkają w nich rodziny pracowników Siemens. Trudno mi sobie wyobrazić coś straszliwszego niż mieszkanie w takim domku przypominającym kostkę cukru, wiedziałem jednak, że w Trzeciej Rzeszy zrobiono w imię postępu dużo gorszych rzeczy niż ujednolicenie mieszkań robotników.

Stojąc pod drzwiami poczułem zapach smażonego mięsa, była to chyba wieprzowina, i uprzytomniłem sobie, jak bardzo jestem głodny i zmęczony. Dużo bym dał za to, by znaleźć się w domu albo na jakimś rozrywkowym spektaklu u boku Inge. Gdziekolwiek zresztą, byle nie tutaj, byle nie musieć rozmawiać z tą brunetką o ostrych rysach, która otworzyła mi drzwi. Wytarła żylaste ręce w brudnawy fartuch i patrzyła na mnie spode łba.

– Frau Buverts? – spytałem wymieniając nazwisko jej nowego męża, przez chwilę miałem nadzieję, że to nie ona.

– Tak – odpowiedziała oschle. – A pan w jakiej sprawie? Właściwie nie mam po co pytać, z daleka widać, że gliniarz. Dobrze, powiem panu i niech się pan zmywa. Nie widziałam go od osiemnastu miesięcy. Jak go pan odszuka, to niech mu pan powie, żeby się nie śmiał tu pokazywać. Będzie równie mile widziany jak żydowski kutas w tyłku Göringa. Pana też to dotyczy.

Wspaniała to praca, zawód detektywa, człowiek cały czas spotyka się z uprzejmością i dowcipnymi komentarzami.

Późnym wieczorem, gdzieś między jedenastą a pół do dwunastej, usłyszałem głośnie kołatanie do drzwi. Nie piłem, ale spałem tak mocno jak po sznapsie. Chwiejnym krokiem udałem się do przedpokoju, gdzie ślady kredy, którą obrysowano ciało Walthera Kolba,

wyrwały mnie z otępienia i skłoniły do powrotu do sypialni po broń. Znow zakołatano, jeszcze głośniejsze, i usłyszałem męski głos:

– Hej, Gunther, to ja, Rienacker. Otwieraj. Muszę z tobą pomówić.

– Po naszej ostatniej pogawędce bolą mnie jeszcze wszystkie kości.

– Ejże, nie wybaczyłeś mi?

– Wybaczyłem, wybaczyłem. Ale moja głowa jest w takim stanie, że muszę cię uznać za *persona non grata*. Zwłaszcza o tej porze.

– Gunther, nie złość się. Słuchaj, to ważna sprawa. Możesz zarobić kupę forsy. – Nastąpiła długa pauza, a kiedy Rienacker znow się odezwał, w jego basowym głosie dźwięczała irytacja. – No, Gunther, otwórz wreszcie. Czego się ty, do cholery, obawiasz? Gdybym chciał cię aresztować, już dawno rozwalilibym drzwi. – Było w tym dużo prawdy, otworzyłem zatem drzwi i zobaczyłem jego masywną postać. Spojrzał chłodno na mój pistolet i skinął głową, jakby przyznając, że w danej chwili mam nad nim przewagę.

– Widzę, że to nie mnie oczekiwałeś!

– Owszem, ciebie. Słyszałem, jak się pod tobą uginają schody.

Wybuchnął śmiechem, zionęło od niego nikotyną. Potem powiedział:

– Ubieraj się, ruszamy na przejażdżkę. I zostaw tę spluwę w domu.

Zawahałem się.

– O co chodzi?

Uśmiechnął się widząc moje zaniepokojenie.

– Nie ufasz mi?

– Skąd ci to przyszło do głowy? Milusi gestapowiec wali do moich drzwi o północy i pyta, czy nie zechciałbym się przejechać jego lśniąca czarna limuzyną... Aż zakręciło mi się w głowie na myśl, że zarezerwowałeś najlepszy stolik u Horchera.

– Pewien ważny facet chce się z tobą zobaczyć. – Ziewnął. – Ktoś bardzo ważny.

– Co, wybrano mnie do olimpijskiej drużyny miotaczy gównem?

Rienacker spurpurowiał, rozděły mu się nozdrza. Zaczął się niecierpliwić.

– Dobra, dobra – powiedziałem. – Widzę, że pojedę z tobą, choćbym nie chciał. Zaraz się ubiorę. – Poszedłem do sypialni. – Tylko nie podglądaj.

Przed domem stał wielki czarny Mercedes, wsiałem bez słowa. Z przodu siedziało dwóch gargulców, a na podłodze z tyłu leżał ze skutymi rękami półprzytomny człowiek. Było ciemno, ale tak jęczał, że musiał nieźle oberwać. Rienacker wsiał za mną. Kiedy wóz ruszył, leżący na podłodze mężczyzna poruszył się, jakby chciał usiąść. Rienacker kopnął go w głowę.

– Co on zmajstrował? Chodził z rozpiętym rozporkiem?

– To jeden z tych cholernych Kozi – powiedział z oburzeniem Rienacker, tak jakby zaaresztował osobnika napastującego małe dziewczynki. – Złapaliśmy go na gorącym uczynku, wrzucił do skrzynek pocztowych bolszewickie ulotki.

Pokręciłem głową.

– Ciężka praca.

Nie zwracając uwagi na moje słowa zawołał do szofera:

– Pozbędziemy się tego skurwiela i jedziemy prosto na Leipzigerstrasse. Jego wysokość nie powinna na nas czekać.

– Co z nim zrobicie? Zrzucicie go z mostu Schöneberger?

Rienacker roześmiał się.

– Niewykluczone. – Wyjął z kieszeni piersiówkę i napił się.

Poprzedniego wieczoru znalazłem właśnie w mojej skrzynce pocztowej ulotkę ośmieszającą dość dowcipnie naszego pruskiego premiera. Wiedziałem, że w ciągu tygodni poprzedzających Olimpiadę gestapo staje na głowie, żeby rozbić działającą w Berlinie podziemną organizację komunistyczną. Zaaresztowano tysiące Kozi i zesłano do kacetów, takich jak Oranienburg, Columbia Haus, Dachau czy Buchenwald. Dodałem do siebie dwa i dwa, i nagle zrozumiałem dokąd mnie wiozą.

Auto zatrzymało się przed komendą policji przy Grolmanstrasse i jeden z gargulców wyciągnął spod naszych nóg więźnia. Groziła mu nocna lekcja pływania w kanale Landwehr. Potem pojechaliśmy na wschód – Berlinerstrasse i Charlottenburgchausse, udekorowanymi czarno-biało-czerwonymi flagami w związku ze zbliżającą się Olimpiadą. Rienacker zmierzył je ponurym wzrokiem.

– Pieprzone Igrzyska! – zaklął. – Tylko marnuje się forszę.

– Skłonny jestem się z tobą zgodzić – powiedziałem.

– I na co się to komu zda, chciałbym wiedzieć. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, dlaczego mamy coś udawać? Rzygać się chce! Czy wiesz, że ściągają kurwy z Monachium i Hamburga, bo w Berlinie już sobie z nimi poradziliśmy. I zalegalizowano znów murzyński jazz! Co ty na to powiesz, Gunther?

– Mówi się jedno, robi się drugie. Specjalność tego rządu.

Spojrzał na mnie spod oka.

– Na twoim miejscu nie wygłaszałbym takich zdanek!

Potrząsnąłem głową.

– To, co ja wygaduje, nie ma żadnego znaczenia, Rienacker. Sam o tym wiesz. W

każdym razie dopóty, dopóki jestem twojemu szefowi potrzebny. Mało by go obeszło, gdybym się okazał Karolem Marksem i Mojżeszem w jednej osobie. Chodzi o to, jaki będzie miał ze mnie pożytek.

– No to się dobrze staraj. Nigdy już nie będziesz miał tak poważnego klienta.

– Wszyscy to mówią.

Tuż przed Bramą Brandenburską limuzyna skręciła w Hermann Göring Strasse. W brytyjskiej ambasadzie świeciło się we wszystkich oknach, stał przed nią sznur samochodów. Limuzyna zwolniła i skręciła w podjazd sąsiedniego wielkiego gmachu, kierowca opuścił szybę, żeby się wylegitymować wartownikowi, przez trawnik dobiegały nas odgłosy zabawy.

Czekaliśmy z Rienackerem w pokoju wielkości tenisowego kortu. Po chwili wysoki, chudy mężczyzna w mundurze oficera Luftwaffe poinformował nas, że Göring się przebiera i zobaczy się z nami za dziesięć minut. Rienacker zasiadł w średniowiecznym na oko fotelu i obserwował mnie bacznie, gdy zacząłem zwiedzać pokój, nic jednak nie powiedział.

– Przytulnie tu – oświadczyłem i zatrzymałem się przed gobelinem, na którym widniały sceny myśliwskie. Pokój oświetlony był tylko jedną lampą, stojącą na ogromnym renesansowym biurku: były to dwa połączone ze sobą srebrne kandelabry, każdy z pergaminowym abażurem; pod lampą znajdował się ołtarzyk z fotografii: jedna przedstawiała Hitlera w brunatnej koszuli i skórzanym pasie SA-mana, wyglądał jak skaut; dwie pozostałe były to fotografie kobiet, pewnie zmarłej żony Göringa, Karin, i obecnej, Emmy. Obok fotografii leżała wielka, oprawna w skórę księga, na skórze wytłoczony był herb, uznałem, że jest to herb Göringa, zbrojna pięść ściskająca pałkę. Przyszło mi na myśl, że byłaby znacznie lepszym emblematem nazistów niż swastyka.

Usiadłem obok Rienackera, który wyjął papierosy. Czekaliśmy godzinę, może nawet dłużej, nim usłyszeliśmy za drzwiami głosy. Kiedy drzwi się otworzyły, obaj wstaliśmy. Do pokoju za Göringiem weszło dwóch mężczyzn w mundurach Luftwaffe. Ku mojemu zdumieniu Göring niósł w ramionach lwiątko. Pocałował je w łebek, pociągnął za uszy i postawił na jedwabnym kilimku.

– No, Mucki, pobaw się grzecznie. – Lwiątko mruknęło radośnie i w podskokach ruszyło pod okno, gdzie zaczęło się bawić frędzlami jednej z ciężkich zasłon.

Göring był niższy, niż sądziłem, za to wyglądał jeszcze masywniej. Miał na sobie myśliwską kamizelkę z zielonej skóry, białą flanelową koszulę, białe drelichowe spodnie i białe tenisówki.

– Halo – powiedział ściskając mnie z uśmiechem za rękę. Było w nim coś zwierzęcego: błękitne oczy patrzyły twardo, biła z nich inteligencja. Na rękę miał kilka

pierścieni, jeden z ogromnym rubinem. – Dziękuję, że zechciał pan przyjść. Bardzo przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. Sprawy państwowe, rozumie pan.

Odparłem, że nic nie szkodzi, szczerze mówiąc nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Teraz, gdy patrzyłem na niego z bliska, uderzyła mnie gładkość jego skóry – robiła wrażenie niemowlęcej, zacząłem się zastanawiać, czy się nie upudrował. Usiedliśmy. Przez parę minut wyrażał zachwyt, że mnie widzi, zachowywał się jak dziecko i zaraz to wytłumaczył.

– Zawsze chciałem poznać jakiegoś prywatnego detektywa – oświadczył. – Czytał pan kryminały Dashiella Hammetta? To amerykański pisarz, ale uważam, że jest świetny.

– Niestety nie, panie premierze.

– Powinien pan. Pożyczę panu niemiecki przekład „Red Harvest”. Na pewno się panu spodoba. Nosi pan broń, Herr Gunther?

– Czasem noszę, panie premierze, mianowicie wówczas, kiedy sędzę, że może mi być potrzebna.

Göring rozpromienił się jak uczeń.

– Ma ją pan przy sobie?

Pokręciłem przecząco głową.

– Rienacker uważał, że mogłaby przerazić tego oto kociaka.

– Szkoda – powiedział Göring – chciałbym zobaczyć spluwę prawdziwego łapsa. – Rozparł się wygodnie w fotelu, który wyglądał tak, jakby należał ongi do najtęższego z Medyceuszy, i wyciągnął rękę.

– No, do roboty – oświadczył. Jeden z adiutantów przyniósł akta i położył je przed swoim zwierzchnikiem. Göring otworzył je i przejrzał. Doszedłem do wniosku, że są to akta dotyczące mnie. Ostatnio wszędzie natykałem się na takie dokumenty, poczułem się jak tzw. ciekawy przypadek medyczny.

– Piszą tu, że służył pan w policji – powiedział. – I ze wspaniałymi rezultatami. Dlaczego pan wystąpił? Byłby pan już teraz komisarzem. – Wyjął z kieszeni kurtki lakierowane pudełeczko i wytrząsnął z niego na tłustą dłoń dwie różowe pigułki. Popił je szklanką wody.

– Nie odpowiadała mi policyjna stołówka, panie premierze.

Roześmiał się głośno.

– Nie chciałbym pana premiera urazić, ale sam pan premier chyba wie, czemu wystąpiłem z policji, to przecież pan premier był wówczas jej szefem. Nie tałem, że jestem przeciwny czystce wśród oficerów policji, których nagle uznano za niepewnych. Wielu z nich było moimi przyjaciółmi. Wielu straciło prawo do emerytury. A kilku głowy.

Göring uśmiechnął się z wolna. Z tym swoim szerokim czołem, zimnymi oczyma, niskim, mrukliwym głosem, drapieżnym uśmiechem i obwisłym brzuchem wyglądał na wielkiego tygrysa-ludożercę. Może telepatycznie wyczuł, co o nim myślę, nachylił się bowiem, wziął lwiątko i posadził je sobie na kolanach. Lwiątko zamrugało sennie ślepkami i leżało niemal bez ruchu, gdy jego właściciel głaskał je po łebku i ciągnął za uszy. Göring miał minę ojca zachwycającego się własnym dzieckiem.

– No, popatrzcie – powiedział. – On nikomu nie daje sobie dmuchać w kaszę. I nie boi się mówić, co myśli. Oto korzyści z niezależności. Nie ma żadnych powodów, by oddać mi przysługę. I ma odwagę przypomnieć mi o tym, choć na jego miejscu każdy wolałby zamilczeć. Takiego człowieka mogę obdarzyć zaufaniem.

Wskazałem na leżące na stole akta.

– Założyłbym się, że to dzieło Dielsa.

– I wygrałby pan. Odziedziczyłem te akta wraz z wieloma innymi, kiedy Diels przestał być szefem gestapo i mianowano tego małego wypierdka z kurzej fermy. To była ostatnia przysługa, jaką mi Diels oddał.

– Czy wolno spytać, co się z nim stało?

– Oczywiście. Wciąż go zatrudniam, choć ma teraz niższe stanowisko, zajmuje się żegluga śródlądową zakładów im. Hermanna Göringa w Kolonii. – Göring wymienił własne nazwisko bez cienia skrępowania, musiał uważać to, że fabrykę nazwano jego imieniem, za coś całkiem naturalnego.

– Widzi pan – powiedział z dumą. – Ja nigdy nie zapominam o tych, którzy oddali mi jakąś przysługę. Prawda, Rienacker?

Olbrzym odpowiedział z prędkością odbitej piłeczki.

– O tak, panie premierze, pan premier nigdy o nikim nie zapomina.

Pomyślałem, że zasłużył na piątkę ze sprawowania. Tymczasem lokaj wniósł tacę z kawą, winem Moselle i jajkami Benedict w szarym sosie i postawił przed panem premierem. Pan premier zaczął wsuwać, jakby od rana nic nie jadł.

– Choć nie jestem już zwierzchnikiem gestapo, wielu członków tajnej policji – tak jak ten tu Rienacker – pozostało wobec mnie lojalnymi, nie przetrzucili się na stronę Himmlera.

– Bardzo wielu – zapiszczał wiernopoddańczo Rienacker.

– I informują mnie o poczynaniach gestapo. – Otarł serwetką usta. – Do rzeczy – oświadczył. – Rienacker powiadomił mnie, że dziś po południu pojawił się pan w moim mieszkaniu przy Derfflingerstrasse. Jak już panu powiedział, mieszkanie to oddałem do dyspozycji człowieka, któremu powierzałem różne poufne zlecenia. O ile wiem, zna pan jego

nazwisko. Gerhard von Greis zniknął ponad tydzień temu. Rienacker powiedział mi, że sądzi pan, iż ktoś mógł mu zaproponować zakup skradzionego obrazu. A mianowicie aktu pędzla Rubensa. Nie mam pojęcia, skąd panu przyszło na myśl skontaktować się z moim agentem i jak pan zdobył ten adres. I muszę przyznać, Herr Gunther, że mi pan zaimponował.

– Bardzo panu premierowi dziękuję. – Kto wie, pomyślałem, odrobina praktyki, a uda mi się wpaść w ton Rienackera.

– Jako oficer policji spisywał się pan świetnie i nie wątpię, że jako prywatny wywiadowca jest pan równie kompetentny. – Skończył jeść, Wypił pełnym haustem pełną szklankę Moselle i zapalił ogromne cygaro. W przeciwieństwie do adiutantów i Rienackera nie okazywał najmniejszego zmęczenia i zacząłem się zastanawiać, co było w tych zażywanych przez niego różowych pigułkach. Wydmuchał kółko dymu wielkości pączka. – Gunther, chcę zostać pańskim klientem. Życzyłbym sobie, by odnalazł pan Gerharda von Greisa, i to nim odnajdzie go Sipo. Proszę mnie dobrze zrozumieć, von Greis nie popełnił żadnego przestępstwa. Znajduje się jednak w posiadaniu pewnych poufnych informacji i nie życzę sobie, by dostały się one w ręce Himmlera.

– Czy mogę spytać pana premiera, o jakie informacje chodzi?

– Niestety, na to pytanie nie mogę panu odpowiedzieć.

– Panie premierze – oznajmiłem – ilekroć wsiadam do łodzi, sprawdzam zawsze, czy nie ma podziurawionego dna. Na tym właśnie polega różnica między mną a gliniarzem. Gliniarz nie pyta, co, jak i dlaczego – tylko wykonuje rozkazy. Niezależny detektyw jest w korzystniejszej sytuacji.

Göring skinął głową.

– Cenię bezpośredniość – powiedział. – Ja też nigdy nie obiecuję, że coś zrobię, tylko robię, i to robię, jak należy. Cóż, pewnie ma pan rację, skoro zamierzam pana zatrudnić, muszę pana obdarzyć zaufaniem. Ale nadużycie mego zaufania może drogo kosztować.

W to nie wątpiłem. Ostatnio jednak i tak niewiele sypiałem, nie musiałem się więc martwić, że myśl o możliwych konsekwencjach spędzi mi sen z powiek. Zresztą było już za późno, by się wycofać. No i robota będzie na pewno dobrze płatna, a pieniądze są zawsze mile widziane. Göring znów zażył dwie różowe pigułki. Sięgał po nie równie często, jak ja po papierosa.

– Panie premierze, dziś po południu Rienacker wypytywał mnie o nazwisko mojego klienta i choć zagroził mi biciem, nie pisnąłem słowa. Proszę go spytać.

Rienacker wstał.

– Istotnie, panie premierze, tak było.

Trułem dalej:

– Każdy z moich klientów ma zapewnioną pełną dyskrecję. Zresztą gdyby było inaczej, wkrótce musiałbym przestać wykonywać mój zawód.

Göring skinął głową.

– Szczerść za szczerść. Jak wiadomo, mam bezpośredni wpływ na obsadzenie wielu posad w urzędach Rzeszy. W związku z tym moi dawni koledzy lub znajomi biznesmeni proszą mnie często o jakąś drobną przysługę. Nie mam im tego za złe i o ile mogę, chętnie pomagam. Ale oczywiście czasem proszę ich o coś w zamian. Taki już jest ten świat. Mam poza tym duże archiwum poufnych informacji. Kiedy mi zależy, żeby coś przeprowadzić, zawsze mogę do niego zajrzeć. Wiedząc tyle, ile wiem, nie mam trudności z przekonaniem ludzi, by podzielili mój punkt widzenia. A ja, dla dobra ojczyzny, często muszę spojrzeć na sprawy z szerszej perspektywy. W obecnej chwili wiele wpływowych i potężnych osób nie zgadza się z moją i Führera koncepcją priorytetów ekonomicznych, które umożliwią wzrost potęgi Niemiec, by mogły one zająć należne sobie miejsce w świecie.

Zrobił pauzę. Może oczekiwał, że zerwę się, oddam hitlerowski salut i odśpiewam zwrotkę „Horst Wessel Lied”, ja jednak nie ruszyłem się z miejsca, kiwając cierpliwie głową i czekając, by dotarł do sedna sprawy.

– Von Greis oddawał mi przysługi w wielu dziedzinach. Zakupywał dla mnie dzieła sztuki i zbierał fundusze na partię.

– Chce pan premier powiedzieć, że był wysokiej klasy szantażystą? Göring skrzywił się i zaraz uśmiechnął.

– Herr Gunther, pana szczerść i bezpośredniość przynoszą panu niewątpliwie zaszczyt, nie powinien pan jednak przesadzać. Sam jestem człowiekiem bezceremonialnym, ale nie zachowuję się tak dla zasady. Powinien pan zrozumieć jedno – wszystko należy podporządkować dobru państwa. Czasem człowiek musi być surowy i twardy. To chyba Goethe powiedział, że człowiek powinien panować i zwyciężać albo przegrywać i służyć. Musi triumfować lub cierpieć, być młotem lub kowadłem.

– Tak jest, panie premierze. Ale myślę, że bardzo by mi pomogło w poszukiwaniach, gdybym wiedział, z kim von Greis zawierał ostatnio transakcje.

Sięgnął do szuflady i wyjął niewielką fotografię, którą mi wręczył.

– Jest to zdjęcie sprzed pięciu lat – oznajmił. – Ale Greis mało się zmienił.

Przyjrzałem się mężczyźnie na zdjęciu. Jak wielu Niemców, miał krótko ostrzyżone jasne włosy, tylko na czoło spadał figlarny loczek. Twarz była pomięta jak pusta paczka po papierosach, zdobiły ją wypomadowane wąsy – sprawiał wrażenie typowego junkra z

ilustracji starych numerów „Jugend”.

– Był wytatuowany – dorzucił Göring. – Na prawym przedramieniu miał wytatuowanego niemieckiego cesarskiego orła.

– Prawdziwy patriota – oświadczyłem. Wsadziłem zdjęcie do kieszeni i poprosiłem o papierosa. Jeden z adiutantów podał mi wielkie srebrne pudło i zapalił mi papierosa własną zapalniczką. – O ile się orientuję, policja uważa, że jego zniknięcie może mieć coś wspólnego z jego homoseksualnymi skłonnościami. – Przemilczałem informację Neumanna o tym, że bractwo „Germańska Potęga” zamordowało jakiegoś arystokratę. Póki tego nie sprawdzę, lepiej nie wyzbywać się karty, która może się okazać kartą atutową.

– Cóż, istnieje taka możliwość – zgodził się niechętnie Göring. – Rzeczywiście, z powodu swojego homoseksualizmu bywał w rozmaitych opresjach, raz nawet zwrócił na siebie uwagę policji. Udało mi się wpłynąć, by nie wniesiono przeciwko niemu aktu oskarżenia. Powinno to być okazać się zbawienne w skutkach, ale niestety, tak się nie stało. Łączył go ostatnio związek z pewnym wyższym urzędnikiem. Miałem nadzieję, że pod jego wpływem Gerhard będzie zachowywał większą dyskrecję, była to niemądra nadzieja i okazała się płonna.

Przyjąłem to do wiadomości, ale pomyślałem sobie, że dużo bardziej prawdopodobne było, iż Göring zgodził się na ten związek, bo w ten sposób miał Funka w kieszeni.

– Czy von Greis miał innych kochanków?

Göring wzruszył ramionami i spojrzał na Rienackera, który drgnął i szybko oświadczył:

– O ile wiemy, to nie. Ale trudno powiedzieć. Większość pedryli zeszła w podziemie. Zamknięto prawie wszystkie ich kluby takie jak Eldorado. Niemniej von Greisowi zdarzały się przelotne związki.

– Czyli nie możemy takiej możliwości wykluczyć. Niedawno podczas nocnej wizyty w jakimś podejrzanym lokaliku pod miastem, gdzie kupczy się seksem, pewnego dżentelmena zgarnęło miejscowe Kripo, pobiło i wysłało do kacetu. Czasem dopiero po wielu tygodniach można się o takim wydarzeniu dowiedzieć. – Uprzytomniłem sobie ironię sytuacji: oto z człowiekiem, który był odpowiedzialny za zniknięcie setek ludzi, omawiałem zniknięcie jego osobistego pomagiera.

– Szczerze mówiąc, panie premierze, obecnie często się zdarza, że przez tydzień, dwa nie można się dowiedzieć, gdzie się ktoś podział.

– Rozpoczęto już poszukiwania w tym kierunku – oznajmił Göring. – Ale słusznie pan o tym wspominał. Obecnie składam tę sprawę w pańskie ręce. Rienacker dowiedział się, że

poszukiwanie zaginionych osób jest pańską specjalnością. Mój adiutant wręczy panu odpowiednią kwotę pieniędzy i będzie służył panu wszelką pomocą. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Chwilę się zastanawiałem.

– Chciałbym prosić o założenie podsłuchu na parę telefonów.

Wiedziałem, że Forschungsamt, Instytut Badań Naukowych, zajmujący się zakładaniem podsłuchów, podlega Göringowi i nawet Himmler musi się ubiegać o pozwolenie Göringa. Podejrzewałem też, że dzięki temu skarbnica informacji, którą Diels złożył w ofercie swemu byłemu panu, znacznie się powiększyła.

Göring uśmiechnął się.

– Jest pan dobrze poinformowany. Zgoda. – Zwrócił się do adiutanta. – Proszę się tym zająć. I dopilnować, by Herr Gunther co dzień otrzymywał sprawozdanie.

– Tak jest – odpowiedział adiutant. Napisałem dwa numery na kartce i mu ją podałem. Göring wstał.

– Proszę pamiętać, że jest to pana najważniejsza sprawa – oświadczył kładąc mi rękę na ramieniu. Odprowadził mnie do drzwi. Rienacker szedł tuż za nami. – Jeśli panu się powiedzie, mogę zapewnić, że zostanie pan sowicie wynagrodzony.

A jeśli mi się nie powiedzie? O tym wołałem nie myśleć.

Rozdział 12

Kiedy wróciłem do domu, było już niemal jasno. Brygada „malarzy” zamalowywała napisy, które pojawiły się nocą za sprawą KPD: „Czerwony Front zwycięży” i „Niech żyją Thälman i Torgler”, chodziło o to, by zniknęły, nim miasto znów obudzi się do życia.

Spałem nie dłużej niż parę godzin, kiedy wyrwał mnie ze snu ryk syren. Próbnny alarm przeciwlotniczy.

Schowałem głowę pod poduszkę i starałem się nie słyszeć walenia do drzwi, ale wiedziałem, że później musiałbym się tłumaczyć z mojej nieobecności, a brak wiarygodnego usprawiedliwienia drogo by mnie kosztował.

Kiedy po pół godzinie syreny ogłosiły koniec alarmu, nie warto już było wracać do łóżka. Kupiłem litr mleka i usmażyłem sobie ogromny omlet.

Inge pojawiła się w biurze zaraz po dziewiątej. Bez ceremonii usiadła z drugiej strony biurka i czekała, żebym skończył robić notatki.

– Spotkałaś się z tym swoim przyjacielem? – spytałem.

– Byliśmy w teatrze.

– Tak? Coście obejrzeni? – Uświadomiłem sobie, że ciekaw jestem wszystkich szczegółów spotkania, nawet takich, które nie mają nic wspólnego z Paulem Pfarrem.

– „Podłego Wallaha”. Dosyć to słabe, ale Ottowi się spodobało. Nalegał, żeby zapłacić za bilety, więc niepotrzebne mi były pieniądze na koszty.

– A potem coście robili?

– Poszliśmy do piwiarni Baarza. Ohyda. Nazistowska speluna. Wszyscy wstawali, gdy radio grało „Horst Wessel Lied” i „Deutschland über alles”, i oddawali hitlerowski salut. Ja też musiałam, a nienawidzę tego salutu. Czuję się tak, jakbym wzywała taksówkę. Otto sporo wypił i stał się bardzo rozmowny. Ja też piłam i dziś rano nie najlepiej się czuję. – Zapaliła papierosa. – Otto znał trochę Pfarra. Powiada, że załazł wszystkim za skórę. Prowadził śledztwo w sprawie korupcji i nadużyć we Froncie Pracy. W rezultacie dwóch kolejnych skarbników Związku Transportowców znalazło się w kacecie, przewodniczącego rady

zakładowej tych wielkich zakładów drukarskich Ullsteina, aresztowano za sprzeniewierzenie funduszy związkowych i skazano na karę śmierci, posłano do Dachau Rolfa Togotzesa, skarbnika metalowców, i tak dalej, i tak dalej. Nikt nie miał tylu wrogów, co Paul Pfarr. Kiedy dowiedziano się w DAF-ie o jego śmierci, wszystkie twarze rozjaśniły się uśmiechem.

– Czy nikt nie wie, czym przed śmiercią zajmował się Pfarr?

– Nie. Pracował sam. Owszem, miewał konfidentów, ale dopiero kiedy zebrał dowody, występował z oskarżeniem.

– Nie miał żadnych współpracowników?

– Tylko sekretarkę nazwiskiem Marlene Sahn. Ottowi, temu – jeśli można go tak nazwać – mojemu przyjacielowi, spodobała się i parokrotnie ją gdzieś zapraszała. Ale nic z tego nie wyszło. Jak zwykle. Zapamiętał jednak jej adres. – Inge otworzyła torebkę i zajrzała do notesu. – Nollendorfstrasse nr 23. Ona powinna wiedzieć, kogo teraz starał się rozpracować.

– Widzę, że ten twój Otto to pies na kobiety.

Inge roześmiała się.

– To samo on mówi o Pfarrze. Jest całkiem pewny, że Pfarr zdradzał żonę. Miał jakąś stałą kochankę. Otto wielokrotnie spotykał go w nocnych lokalach, zawsze z tą samą kobietą. I Pfarr robił wrażenie zakłopotanego. Kobieta była ponoć piękna, choć nieco zbyt pretensjonalnie ubrana. Miała na imię Vera albo Eva, albo coś w tym rodzaju.

– Czy Otto zawiadomił o tym policję?

– Nie. Policja o nic go nie pytała. A on, tak jak każdy, woli, jeśli nie musi, nie mieć do czynienia z policją.

– Chcesz powiedzieć, że policja go wcale nie przesłuchiwała?

– No właśnie.

Pokiwałem głową.

– Zastanawiam się, co jest grane. – Chwilę rozmyślałem i dorzuciłem: – Dziękuję ci. Mam nadzieję, że nie było to zbyt przykre.

Pokręciła przecząco głową.

– A coś ty działał? Wyglądasz na zmęczonego.

– Pracowałem do późnej nocy. I źle spałem. I rano był ten przekłety próbny alarm. – Zacząłem masować czubek głowy mając nadzieję, że odzyskam werwę. Nie powiedziałem jej nic o Göringu. Lepiej, żeby za wiele nie wiedziała. Tak będzie dla niej bezpieczniej.

Tego ranka miała na sobie ciemnozieloną bawełnianą sukienkę z kołnierzykiem i mankietami ze sztywnej białej koronki. Przez krótką chwilę oddałem się marzeniom. Oto

unoszę do góry rąbek tej sukienki, zapoznając się z kształtem jej pośladków, dotykam seksu.

– Co z tą dziewczyną, kochanką Pfarra? Spróbujemy ją odszukać?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Zaraz by się o tym dowiedzieli gliniarze. Mogłoby się to im nie spodobać. Szukają jej, a ja nie mam zwyczaju dłubać w nosie, w którym tkwi już czyjś paluch. – Podniosłem słuchawkę i poprosiłem o połączenie z Sixem. Odpowiedział Farraj, lokaj.

– Czy zastałem Herr Sixa lub Herr Haupthändlera? Mówi Bernhard Gunther.

– Niestety, proszę pana, obaj dziś rano są na jakimś zebraniu. A potem jadą na otwarcie Igrzysk. Czy mogę im coś przekazać?

– Tak. Proszę im powiedzieć, że zbliżam się do celu.

– To wszystko, proszę pana?

– Tak, oni już będą wiedzieli, o co chodzi. Bardzo proszę, żeby Farraj nie zapomniał zawiadomić o tym ich obu.

– Tak, proszę pana.

Odłożyłem słuchawkę.

– No dobrze – powiedziałem. – Ruszamy.

Bilet U-Bahnu do dworca ZOO kosztował dziesięć fenigów, dworzec odmalowano na cześć Igrzysk. Nawet stojące wokoło stacji domy pokryto świeżą warstwą białej farby. Ale wysoko nad miastem, tam gdzie bzykał samolot, który z rozwiniętą olimpijską flagą okrążał stadion, zbierały się czarne chmury. Kiedy wyszliśmy ze stacji, Inge spojrzała w górę i oznajmiła:

– Dobrze im tak, będzie padać. Najlepiej by było, żeby padało przez całe dwa tygodnie.

– Chwała Bogu nie potrafią sobie jeszcze podporządkować pogody – dorzuciłem. Podeszliśmy do początku Kurfürstenstraase. – Skoro Herr Haupthändler znajduje się w towarzystwie swego chlebodawcy, rzucę okiem na jego mieszkanie. Proponuję, żebyś zaczekała na mnie w restauracji Aschingera. – Inge zaczęła protestować, ale oświadczyłem stanowczo: – Włamanie jest poważnym przestępstwem i nie mam ochoty martwić się o ciebie. Zrozumiano?

Skrzywiła się, ale skinęła głową.

– Potwór! – mruknęła, kiedy już odchodziłem.

Dom nr 120 był to pięciopiętrowy blok, w którym mieściły się ekskluzywne mieszkania, czarne drzwi były tak wypolerowane, że mogłyby służyć za lustro w garderobie

murzyńskiej orkiestry jazzowej. Stuknąłem ogromną, mosiężną kołatką w kształcie strzemienia i pojawił się niziutki portier. Mignąłem mu przed załzawionymi oczkami gestapowską odznaką. Jednocześnie syknąłem: – Gestapo! – i odepchnąwszy go szorstko, wszedłem do holu. Wszystkimi porami z portiera tryskał strach.

– Gdzie jest mieszkanie Herr Haupthändlera?

Portier zorientował się, że nie zamierzam go aresztować i wysłać do kacetu, trochę się zatem odprężył.

– Drugie piętro, mieszkania pięć. Ale nie ma go w domu.

Pstryknąłem palcami.

– Dawać klucze.

Szybko wyciągnął pęk kluczy i zdjął jeden z kółka. Wyrwałem mu go z drżących palców.

– Jeśli Herr Haupthändler wróci, zatelefonuje pan na górę i po jednym dzwonku odłoży słuchawkę. Zrozumiano?

– Tak, proszę pana – oświadczył i głośno przełknął ślinę.

Mieszkanie Haupthändlera mieściło się na dwóch poziomach, drzwi były sklezione w łuk, na wyfroterowanym parkiecie leżały grube wschodnie dywany. Wszystko lśniło czystością, można by przypuścić, że nikt tutaj nie mieszka. W sypialni stały dwa duże bliźniacze łóżka, toaletka i puf. Dominował kolor brzoskwiniowy, towarzyszyły mu jaspisowozielony i kremowy. Na obu łóżkach leżały otwarte walizki, a na podłodze puste torby firmowe z C & A, od Grunfelda, Gersona i Tietza. Przeszukałem walizki. W pierwszej były wyłącznie ubiory kobiece – uderzyło mnie, że wszystko jest nowe. Nie zdjęto nawet etykietek z cenami, pantofle były wyraźnie nie używane. W drugiej walizce, która należała najprawdopodobniej do samego Haupthändlera, nowe były tylko przybory toaletowe. Nigdzie śladu diamentowego naszyjnika. Ale na toaletce leżała koperta z dwoma biletami Lufthansy, lot był zabukowany na poniedziałek do Londynu, lotnisko Croydon. Oba bilety były powrotne, wystawione na nazwisko Herr i Frau Teichmüller.

Przed wyjściem z mieszkania Haupthändlera zadzwoniłem do hotelu „Adlon”. Zgłosiła się Hermine. Podziękowałem jej za pomoc udzieloną w sprawie księżniczki Mushmi. Trudno mi się było zorientować, czy ludzie Göringa z Forschungsamt założyli już podsłuch na telefon, nie słyszałem trzasków ani pogłosu. Ale wiedziałem, że jeśli telefon Haupthändlera jest na podsłuchu, to wieczorem otrzymam zapis nagrania mojej rozmowy z Hermine. W ten sposób sprawdzę, czy pan premier dotrzymał obietnicy.

Opuściłem mieszkanie Haupthändlera i zszedłem na parter. Pojawił się portier i

odebrał swój uniwersalny klucz.

– Ma pan nikomu nie mówić, że tutaj byłem. Bo źle się to dla pana skończy. Zrozumiano?

Skinął w milczeniu głową. Oddałem hitlerowski salut, choć gestapowcy zwykle tego nie robią, gdyż starają się nie zwracać na siebie uwagi, ale mnie chodziło o efekt.

– Heil Hitler! – warknąłem.

– Heil Hitler – powtórzył portier i wyciągając rękę upuścił klucze.

– Mamy czas do poniedziałku – oznajmiłem siadając przy stoliku obok Inge. Opowiedziałem jej o biletach lotniczych i tych dwóch walizkach. – Zastanawiam się tylko, czemu w walizce kobiety znajdują się same nowe rzeczy.

– Wygląda na to, że ten twój Herr Haupthändler umie obchodzić się z kobietami.

– Ale nowe było wszystko. Pasek do podwiązek, torebka, pantofle. Ani razu nie używane. Co ty na to?

Inge wzruszyła ramionami. Wciąż dąsała się, że jej z sobą nie zabrałem.

– Może on zamierza zostać komiwojazerem i handlować damskimi fatalaszkami?

Podniosłem do góry brwi.

– No, dobrze, dobrze. – Spowaźniała. – Niewykluczone, że ta kobieta, którą zabiera do Londynu, nie ma się w co ubrać.

– Do tego stopnia? Dziwna kobieta. Chodzi nago?

– Bernie, przyjdź do mnie, to zobaczysz, że kobietom zdarza się chodzić nago.

Ten pomysł spodobał mi się. Ale zaraz się opanowałem.

– Nie, według mnie owa tajemnicza przyjaciółka Haupthändlera chce zerwać ze swoją przeszłością.

– Albo chodzi jej o to, żeby zacząć nowe życie – zgodziła się Inge. Widać było, że coś zaczyna jej świtać w głowie. – Tak, na pewno chce zacząć nowe życie... Choć może nie ma czasu wrócić do domu po swoje rzeczy. Nie, to nie trzyma się kupy. Wyjeżdżają dopiero w poniedziałek. Widocznie boi się wrócić do domu.

Skinąłem z uznaniem głową i chciałem to rozwinąć, ale Inge przyszedł już do głowy następny pomysł.

– Może ta kobieta jest ową kochanką Pfarra, której szuka policja. Jak się ona nazywa? Vera, Eva?

– I to z nią kręci Haupthändler? Nawet by pasowało – powiedziałem z namysłem. – Niewykluczone, że Pfarr zerwał z nią dowiedziawszy się, że żona jest w ciąży. Wielu

mężczyzn nabiera rozsądku na myśl o perspektywie ojcostwa. A to mogło być nie na rękę Haupthändlerowi, który miał swoje plany co do Frau Pfarr. Więc się związał z tą Evą – dwoje porzuconych kochanków, którzy mają zamiar na tym zarobić. I niewykluczone, że Pfarr opowiedział Evie o biżuterii żony. – Skończyłem drinka i wstałem.

– Zatem Haupthändler ukrywa gdzieś Evę?

– Za dużo tych znaków zapytania. – Spojrzałem na zegarek. – No chodź, następne wymyślimy po drodze.

– Po drodze dokąd?

– Na Kreuzberg.

Podniosła wymanikiowany palec.

– Ale tym razem nie zamierzam siedzieć w bezpiecznym kącie, kiedy ty się będziesz świetnie bawił. Zrozumiano?

Uśmiechnąłem się do niej.

– Zrozumiano.

Kreuzberg, Wzgórze Krzyża, znajduje się na południe od miasta – w Viktoria Park, niedaleko lotniska Tempelhof. To tam berlińscy malarze sprzedają swoje obrazy. Niedaleko parku kwadratowy Chamissoplatz otoczony jest wysokimi szarymi przypominającymi fortece blokami mieszkalnymi. Pensjonat Tillessena mieścił się w rogu domu nr 17, okiennice były zamknięte, oblepione partyjnymi plakatami propagandowymi i zamalowane graffiti KPD, wyglądał więc tak, jakby od czasów, kiedy Bismarck zapuścił wąsy, nikt tu już nie mieszkał. Podszedłem do frontowych drzwi i stwierdziłem, że są zamknięte. Schyliłem się i zajrzałem przez szparę na listy, nie zobaczyłem żadnych oznak życia.

Sąsiednie drzwi prowadziły do biura Heinricha Billingera, „germańskiego” księgowego, węglarz przyniósł tam właśnie brunatne kostki węgla na tacy, która wyglądała jak taca piekarza. Zapytałem go, odkąd ten pensjonat jest zamknięty. Otarł osmalone czoło i splunął, głęboko się zastanawiając.

– Pensjonatu to tu nigdy nie było – oświadczył wreszcie. Spojrzał z zakłopotaniem na Inge i dobierając starannie słowa dorzucił: – Podejrzany lokal. Nie, żeby aż burdel. Ale spotykano się tu z wesołymi panienkami. Parę tygodni temu widziałem, jak wychodzili stamtąd jacyś mężczyźni. Nigdy nie dostarczałem tu regularnie węgla, od czasu do czasu właściciel kupował parę tac. Nie potrafię powiedzieć, kiedy ten pensjonat zamknięto. Jeśli w ogóle zamknięto. Niech pan nie sądzi z pozorów. Tu zawsze tak wyglądało.

Poszliśmy z Inge na tyły budynku, była tam brukowana kocimi łbami uliczka, z obu

stron garaże i składy. Bezdolne wyliniałe koty siedziały na murkach, w jakichś drzwiach leżał wybebeszony materac, ktoś próbował go spalić. Przypomniały mi się zwęglone ramy łóżka na fotografiach, które pokazał mi Illmann. Zatrzymaliśmy się przed garażem, który według mnie powinien należeć do pensjonatu, zajrzałem przez okienko, ale nie udało mi się nic zobaczyć.

– Zaraz wrócę – oznajmiłem i wdrapałem się po rynnie na blaszany dach garażu.

– Tylko nie zapomnij – zawołała za mną Inge.

Ostrożnie, na czworakach, przebyłem zardzewiały dach, bałem się stanąć, żeby się nie zapisać. Znalazłem się z drugiej strony dachu i spojrzałem na maleńkie podwórko przed pensjonatem. Brudne firanki zasłaniały większość okien, nie widziałem śladu życia. Chciałem zejść na podwórko, ale nie było tu rynny. Nie miałem wyboru, trzeba było zeskoczyć z tej czterometrowej wysokości. Zeskoczyłem i podeszwy stóp przez parę minut bolały mnie tak, jakby w nie walono gumową rurą. Z tej strony garaż był otwarty, ale leżało w nim tylko kilka starych opon. Otworzyłem zaryglowane podwójne drzwi i wpuściłem Inge. Potem te drzwi zamknąłem. Przez chwilę staliśmy w półmroku patrząc na siebie. Miałem ochotę ją pocałować. Jest jednak dużo lepszych miejsc do pocałunków niż opuszczony garaż w Kreuzbergu.

Przeszliśmy przez podwóreczko i znaleźliśmy się pod drzwiami pensjonatu. Nacisnąłem klamkę. Drzwi pozostały zamknięte.

– No i co teraz? – spytała Inge. – Wytrych? Klucz uniwersalny?

– Coś w tym rodzaju – odparłem i kopnąłem drzwi.

– Bardzo subtelna metoda – oświadczyła Inge patrząc, jak otwierają się drzwi. – Skąd wiesz, że nikogo tu nie ma?

Wyszczrzyłem zęby.

– Kiedy zajrzałem przez szparę, zobaczyłem na słomiance stos nie otworzonych listów... – Wszedłem do środka. Ona wahała się dość długo, musiałem ją więc zachęcić. – Wszystko w porządku. Nie ma tu nikogo. I założę się, że od dawna.

– To co my tu robimy?

– Przyszliśmy się rozejrzeć.

– Mówisz tak, jakbyśmy się wybrali do domu towarowego Grunfelda – zauważyła idąc za mną ponurym korytarzem z kamienną posadzką. Słysząc tylko odgłos naszych kroków, ja tupałem, ona szła niemal na palcach.

Na końcu korytarza zatrzymałem się i zajrzałem do dużej, cuchnącej nieziemsko kuchni. Wszędzie stopy brudnych talerzy. Na stole mięso i ser, na których roilo się od much.

Rozdęta mucha przeleciała bzycząc tuż koło mojego ucha. Zrobiłem krok naprzód, smród stał się nie do zniesienia. Idącą za mną Inge zaczęła się krztusić, bliska była wymiotów. Podbiegłem do okna i otworzyłem je. Chwilę staliśmy tam rozkoszując się świeżym powietrzem. Spojrzałem na podłogę i pod piecem zobaczyłem papiery. Zajrzałem do środka – pełno spalonego papieru, głównie popiół, ale tu i ówdzie ocalał jakiś skrawek.

– Zobacz, czy coś się da z tego uratować – poprosiłem. – Wygląda na to, że ktoś w pośpiechu starał się zatrzeć za sobą ślady.

– Mam szukać czegoś określonego?

– Każdy świstek dobry, byle się coś dało z niego odczytać. – Poszedłem w kierunku drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczę, co jest na górze. – Pokazałem jej kuchenną windę. – Jakby co, wsadź tu głowę i krzyknij.

Skinęła głową i zakasała rękawy.

Na górze panował jeszcze większy bałagan. Za biurkiem leżały puste szuflady, a ich zawartość na wytartym dywanie. Zdjęto z zawiasów drzwi wszystkich szafek i szaf. Przypomniało mi się mieszkanie Göringa na Derfflingerstrasse. Wyłamano większość desek z podłogi w sypialni, miotłą starano się dobrać do wnętrza kominków... Poszedłem do jadalni. Na białej tapecie pełno było śladów rozprysniętej krwi, na dywanie widniała plama wielkości talerza. Nastąpiłem na coś twardego, schyliłem się i podniosłem kulkę. Ołów w skorupie krwi. Podrzuciłem kulkę na dłoni i schowałem ją do kieszeni.

Jeszcze więcej krwi było na futrynie kuchennej windy. Wsadziłem do niej głowę, by zawołać Inge, i o mały włos byłbym się wyrzygał. Straszny smród. Cofnąłem się. W tej windzie coś tkwiło. Zakryłem usta i nos chusteczką i jeszcze raz spróbowałem zajrzeć do środka. Winda stała między piętrami. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że jedna z lin umocowana była drewnianym kołkiem. Wyciągnąłem ów kołek. Lina ze świstem przeleciała mi tuż koło twarzy, a winda wylądowała w kuchni. Usłyszałem przerażony krzyk Inge. Nastąpiła chwila milczenia, a potem Inge zaczęła na dobre wrzeszczeć.

Wyleciałem z jadalni, zbiegłem po schodach do sutereny, Inge stała na korytarzu opierając się o ścianę.

– Nic ci się nie stało?

Głośno przełknęła ślinę.

– To straszne.

– Co? – Wszedłem do kuchni. Inge zawołała:

– Nie idź tam, Bernie. – Ale już było za późno.

W windzie w pozycji embrionu siedział nieboszczyk. Nagle wydało mi się, że odwraca w moją stronę głowę. Dopiero po chwili zorientowałem się, że na jego twarzy roi się od robactwa. Znałem na tyle medycynę sądową, żeby wiedzieć, iż wkrótce po śmierci człowieka muchy składają jajeczka na wilgotnych częściach ciała, takich jak oczy i usta, a także tam, gdzie są rany. Zatem larwy na głowie i prawej skroni świadczyły, że człowiek ten został zatłuczony na śmierć. Sądząc z ubrania był to mężczyzna, buty wskazywały, że ów mężczyzna był zamożny. Wsadziłem rękę do prawej kieszeni jego marynarki i wywróciłem podszewką do góry. Wyleciały drobne i parę świstków papierów, nic, co mogłoby pomóc zidentyfikować zwłoki. Górna kieszonka była pusta, nie czułem się na siłach włożyć ręki do kieszeni spodni. Podszedłem do okna, by zaczerpnąć powietrza, i nagle nawiedziło mnie olśnienie.

– Co robisz, Bernie? – spytała Inge niemal już normalnym tonem.

– Nie ruszaj się! – nakazałem jej. – Długo to już nie potrwa. Próbuję odkryć, kim może być ten nasz przyjaciel. – Usłyszałem, jak wzdycha i pociera zapalną zapalając papierosa. Znalazłem nożyce kuchenne i przeciąłem wzdłuż rękaw marynarki nieboszczyka. Na zielonkawofioletowej skórze widać było wciąż jeszcze tatuaż, przylegał do przedramienia jak czarny samotny owad. Nigdy nie rozumiałem, czemu ludzie się tatuują. Uważam to za brak szacunku dla własnej skóry. Niemniej na pewno ułatwia to natychmiastową identyfikację i przyszło mi na myśl, że niezadługo będzie się przymusowo tatuować wszystkich niemieckich obywateli. Chwilowo zaś cesarski niemiecki orzeł umożliwił mi zidentyfikowanie Gerharda von Greisa.

Inge zajrzała przez drzwi.

– Wiesz już, kto to? – spytała.

Zawinąłem rękaw i sięgnąłem do pieca. – Tak, wiem – oświadczyłem grzebiąc w popiele. Dotknąłem czegoś twardego i długiego. Wyciągnąłem to. Kijek był zaledwie nadpalony. Twarde drewno niełatwo jest spalić. Gruby koniec był rozszczepiony, z jednej jego strony tkwiła ołowiana kulka, taka, jaką znalazłem na górze. – Gerhard von Greis szantażysta wysokiej klasy. No, ktoś mu się z nawiązką odplacił. Tym kijem.

– Co to jest?

– Złamany kij bilardowy – odpowiedziałem i wpakowałem go z powrotem do pieca.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić policji?

– Nie mamy czasu, żeby ich oprowadzać po tym domu. W każdym razie nie teraz. Bo spędzilibyśmy cały weekend odpowiadając na głupie pytania. – Pomyślałem także, że przyda

mi się forsa Göringa na następnych parę dni, ale nie powiedziałem tego głośno.

– No, to co z nim się stanie... myślę o tym nieboszczyku...

Spojrzałem znów na zżerane przez robaki ciało von Greisa i wzruszyłem ramionami. – Jemu się już donikąd nie śpieszy. I nie będziemy przeszkadzać w tym pikniku.

Schowaliśmy skrawki papieru, które Inge wyciągnęła z pieca, i wróciliśmy taksówką do biura. Nalałem dwa duże kieliszki koniaku. Inge piła chciwie, trzymając kieliszek w obu rękach jak dziecko, które się dorwało do lemoniady. Przysiadłem koło niej na krześle i objąłem ją ramieniem, śmierć von Greisa wywołała w nas potrzebę jeszcze większej wzajemnej bliskości.

– Nie przywykłam do trupów – tłumaczyła się z zakłopotanym uśmiechem. – A już zwłaszcza do trupów w kuchennych windach, i to w stanie zaawansowanego rozkładu.

– Tak, wiem, to musiał to być dla ciebie szok. Bardzo mi przykro, że go zobaczyłaś. Wstyd pomyśleć, że ktoś może doprowadzić się do takiego stanu.

Przebiegł ją lekki dreszcz.

– Trudno wprost było uwierzyć, że to człowiek. Wyglądał jak worek zgniłych kartofli.

Oparłem się chęci zrobienia następnej nietaktownej uwagi. Podszedłem do biurka i ułożyłem na nim skrawki papieru z pieca Tillessena. Były to głównie strzępy rachunków, jeden z nich był niemal nie tknięty ogniem i bardzo mnie zainteresował.

– Co to? – spytała Inge.

Wziąłem w palce świstek. – Pokwitowanie wypłaty. Z Gesellschaft Reichsautobahnen dla jednego z robotników drogowych.

– Dla kogo?

– Dla faceta, który się nazywa Hans Jürgen Bock. Do niedawna siedział w pierdlu wraz z kasiarzem nazwiskiem Kurt Mutschmann.

– A ty myślisz, że to ten Mutschmann otworzył sejf Pfarra, tak?

– I on, i Bock byli członkami tego samego bractwa, do którego należał także właściciel odwiedzonego przez nas pensjonatu.

– Ale jeśli ten Bock jest w bractwie razem z Mutschmannem i Tillessenem, to co robi przy budowie autostrady?

– Oto jest pytanie! – Wzruszyłem ramionami i dorzuciłem: – Kto wie, może chce wrócić na prostą drogę? Tak czy owak, musimy z nim pogadać.

– Może powie nam, gdzie znaleźć Mutschmanna?

– Niewykluczone.

– I Tillessena.

Pokręciłem przecząco głową.

– Tillessen nie żyje – wyjaśniłem. – Van Greisa zabito waląc go po głowie złamanym kijkiem bilardowym. A parę dni temu widziałem w kostnicy, co stało się z drugą częścią tego kijka. Wbito go Tillessenowi w nos, sięgnął mózgu.

Inge skrzywiła się.

– Skąd wiesz, że właśnie Tillessenowi?

– Pewny nie jestem – przyznałem. – Ale wiem, że Mutschmann się ukrywa. A po wyjściu z więzienia zamieszkał u Tillessena. Zresztą Tillessen, gdyby żył, nie dopuściłby, żeby w jego pensjonacie znajdowały się czyjeś zwłoki. Policja nie zidentyfikowała jeszcze tego ciała w kostnicy, ale dam głowę, że chodzi o Tillessena.

– Dlaczego nie o Mutschmanna?

– Parę dni temu jeden z moich informatorów mówił mi, że Mutschmann miał nadaną robotę, a te zwłoki z kijkiem w nosie już wtedy wyłowiono z kanału Landwehr. Nie, to na pewno Tillessen.

– Czy von Greis też był członkiem tego gangu?

– Nie, nic z tych rzeczy. Znacznie potężniejszego. Pracował dla Göringa. Zupełnie nie wiem, skąd się znalazł u Tillessena. – Przeplukałem usta koniakiem, wypilem go, wziąłem telefon i wykręciłem numer Reichsautobahnen. Poprosiłem dział finansowy.

– Mówi Rienacker – powiedziałem. – Kriminalinspektor Rienacker z gestapo. Szukamy robotnika drogowego nazwiskiem Hans Jürgen Bock, numer rozliczeniowy: 30-4-232564. Sądzimy, że może nam dopomóc w złapaniu jednego z wrogów Rzeszy.

– Tak jest – odpowiedział pokornie urzędnik. – Jakimi informacjami mógłbym panu służyć?

– To chyba jasne. Na jakim odcinku autostrady pracuje i czy możemy go tam dzisiaj zastać.

– Będzie pan uprzejmy chwilę poczekać. Zaraz sprawdzę. – Upłynęło parę minut.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Inge.

Zakryłem ręką słuchawkę.

– Tylko bardzo odważny człowiek ośmieliłby się kwestionować rozkazy gestapo.

Urzędnik wrócił i poinformował mnie, że Bock pracuje na odcinku autostrady Berlin-Hanover, tuż za obrębem Wielkiego Berlina, ściśle mówiąc między Brandenburgiem i Lehnin.

– Niech pan się zgłosi do biura, które mieści się o parę kilometrów przed

Brandenburgiem. To mniej więcej siedemdziesiąt kilometrów stąd. Proszę pojechać do Poczdamu i skręcić w Zeppelin Strasse. Do Lehnin będzie stamtąd, jakieś czterdzieści kilometrów.

– Dziękuję – powiedziałem. – Czy dziś roboty trwają?

– Nie potrafię tego panu powiedzieć – odparł urzędnik. – Oni często pracują w soboty. Ale jeśli Bock nawet nie pracuje, to znajdzie go pan w baraku. Wszyscy mieszkają na miejscu.

– Okazał pan prawdziwe zrozumienie sytuacji – oświadczyłem pompatycznym tonem typowym dla oficera gestapo. – Poinformuję o tym pańskich zwierzchników.

Rozdział 13

– To typowe dla tych przeklętych nazistów – oświadczyła Inge. – Najpierw budują narodowi drogi, a potem dopiero zabiorą się do produkcji samochodów.

Jechaliśmy w stronę Poczdamu i Inge zrobiła aluzję do ciągle odkładanego projektu Kraft durch Freude wyprodukowania taniego wozu. Wyraźnie ją to nurtowało.

– Na co się komu zdadzą te autostrady? To zupełnie tak, jakby konia prowadzić za wozem. Przecież mamy porządne szosy. I wcale nie za dużo pojazdów. – Spojrzała na mnie. – Jeden z moich przyjaciół, inżynier, opowiedział mi, że mają zamiar budować autostradę przez Polski Korytarz, a drugą przez Czechosłowację. Chyba po to, żeby przemaszerowała tamtędy armia...

Odchrząknąłem, nim jej odpowiedziałem, chciałem mieć parę sekund do namysłu.

– Nie wydaje mi się, żeby te autostrady miały militarne znaczenie. I żadna nie prowadzi przecież w kierunku Francji. Zresztą na takich długich, prostych drogach wojskowe ciężarówki byłyby wspaniałym celem dla bombowców.

Ta ostatnia uwaga wywołała kpiący śmiech Inge.

– Żeby temu zapobiec, tworzy się potężną Luftwaffe.

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż, wszystko jest możliwe. Ale myślę, że powód jest prostszy: Hitler buduje autostrady, bo w ten sposób najłatwiej jest poradzić sobie z bezrobociem. Ktoś, kto pobiera zasiłek dla bezrobotnych, traci go, gdy odmawia pracy przy autostradzie. Więc musi ją przyjąć. Pewnie dlatego pracuje tam Bock.

– Powinieneś czasem rzucić okiem na Wedding i Neukölln. – Inge wymieniła dzielnice, w których mieszkali sympatycy KPD.

– No tak, tam dobrze wiedzą, że praca przy budowie autostrad jest ciężką, a płaca licha. Pewnie uważają, że lepiej nie pobierać zasiłku niż ryzykować, że się tam zostanie wysłanym. – Wjeżdżaliśmy do Poczdamu Neue Königstrasse. Teraz owa świątynia, gdzie dawni mieszkańcy miasteczka zapalają świece, by uczcić minioną chwałę Ojczyzny, zamieniła się w pustą skorupę po cesarskich Prusach. Miasteczko przypominało raczej

miasteczka francuskie, stanowiło swoiste muzeum, w którym zachowywano dawne obyczaje i królował konserwatyzm, a okna lśniły jak szkło portretów Kajzera.

Zaledwie w odległości paru kilometrów w stronę Lehnin malowniczość znikła, zaczął się chaos. Kiedyś był to najpiękniejszy pejzaż w okolicach Berlina, teraz koparki niszczyły wszystko, brunatna smuga ziemi miała się zamienić w autostradę. Tuż przed Brandenburgiem stały drewniane baraki i znajdował się park maszynowy. Zatrzymałem auto i spytałem jakiegoś robotnika, gdzie znajdzie nadzorcę. Pokazał mi stojącego parę metrów dalej mężczyznę.

– Oto on.

Podziękowałem i zaparkowałem auto. Wyszliśmy.

Nadzorca był przysadzistym, niewysokim mężczyzną z czerwoną twarzą i brzuchem większym niż brzuch kobiety na chwilę przed rozwiązaniem; zwiślał mu nad spodniami niczym plecak alpinisty. Zwrócił się w naszą stronę i jakby przygotowując się, by stawić mi czoło, podciągnął spodnie, otarł wierzchem dłoni szczeciniastą szczękę i odchylił się do tyłu.

– Hej – zawołałem, nim jeszcze podeszliśmy. – To pan jest nadzorcą? – Nic nie odpowiedział. – Nazywam się Bernhard Gunther. Jestem prywatnym wywiadowcą, a to moja asystentka, Fräulein Inge Lorenz. – Podałem mu legitymację. Nadzorca skinął głową Inge i wpatrzył się w moje dokumenty. W jego ruchach było coś małpiego.

– Peter Weiser – przedstawił się. – Czym mogę państwu służyć?

– Chciałbym porozmawiać z Herr Bockiem. Mam nadzieję, że będzie mi mógł pomóc. Szukam kogoś, kto zaginął.

Weiser zachichotał i znów podciągnął spodnie.

– Ale ubaw! – Potrząsnął głową i splunął na ziemię. – W tym tygodniu nawiało mi trzech robotników. Może mi ich pan odszuka, co? – Znów głośno się zaśmiał.

– Czy Bock jest jednym z nich?

– O nie! Z Bocka świetny pracownik – oświadczył Welser. – To były więzień, ale próbuje zacząć nowe życie. Mam nadzieję, że nie popsuje mu pan szyków.

– Nie, Herr Welser. Chcę mu tylko zadać parę pytań. Nie zamierzam zdzielić go pałką w kark i zawieźć w bagażniku do więzienia Tegel. Czy on tu jest?

– Tak, jest. Pewnie w swoim baraku. Zaprowadzę tam pana.

Poszliśmy za nim wzdłuż parterowych drewnianych baraków, zbudowanych na brzegu lasu, który teraz stawał się autostradą. Przed drzwiami do jednego z nich nadzorca zatrzymał się i powiedział:

– Ci faceci bywają nieokrzesani. Może by pani tam lepiej nie wchodziła. Nie

wiadomo, co gotowi powiedzieć i czy się w ogóle ubrali.

– Zaczekam w aucie, Bernie – zaproponowała Inge. Spojrzałem na nią przeprasząco i podążyłem za Weiserem. Odsunął drewniany skobel i weszliśmy do środka.

Ściany i podłoga pomalowane były na żółto i dość wyblakłe. Pod ścianami stały prycze dla dwunastu ludzi, na trzech z nich nie było materaców, na trzech leżeli rozebrani mężczyźni. Pośrodku baraku stał brzuchaty, żelazny piecyk, a obok duży stół, przy którym siedziało czterech mężczyzn grających w skata. Weiser zwrócił się do jednego z nich.

– Przyjechał tu do ciebie facet z Berlina – oświadczył. – Chce ci zadać parę pytań.

Zwalisty mężczyzna z głową jak pniak przyjrzał się własnej gigantycznej dłoni, potem spojrzał na dozorcę, potem obrzucił mnie podejrzliwym wzrokiem. Z pryczy zerwał się jakiś mężczyzna i zaczął zamiatać podłogę.

Słowa nadzorcy nie były najszcześliwiej dobrane, nie dziwiłem się więc, że Bock patrzy na mnie nieufnie. Zamierzałem wyjaśnić sytuację, nie zdążyłem jednak, Bock zerwał się i odepchnął mnie z drogi. Może i nie wyrznął mnie w szczękę, ale poczułem się tak, jakby coś wybuchło mi w głowie. A w parę sekund później usłyszałem głuchy odgłos padającego ciała. Kiedy przyszedłem do siebie, zobaczyłem, że Bock leży półprzytomny na podłodze, nad nim zaś stoi Weiser. Trzymał w rękach szufłę do węgla, którą zdzielił po głowie Bocka. Zaskrzypiały krzesła, to przyjaciele Bocka zerwali się na nogi.

– Spokój, wy tam! – wrzasnął Weiser. – To nie glina, to prywatny detektyw. Nie przyszedł tu aresztować Hansa, chce się go tylko o coś spytać. Szuka kogoś, kto zaginął. – Zwrócił się do jednego z graczy. – Pomóż mi! – Potem zwrócił się do mnie. – Nic się panu nie stało? – Uspokoilem go ruchem głowy. Weiser wraz z tym drugim mężczyzną podnieśli Bocka. Przyszło im to z trudem, był bardzo ciężki. Posadzili go na krześle i czekali, by oprzytomniał. Nadzorca kazał reszcie mężczyzn wyjść na dziesięć minut. Nikt nie protestował, widać było, że Weiser należy do osób, których rozkazy wykonuje się w mgnieniu oka.

Kiedy Bock przyszedł do siebie, Weiser powtórzył mu to, co już powiedział reszcie mężczyzn. Żałowałem, że od tego nie zaczął.

– Jakbym był panu potrzebny, to stoję pod barakiem – oznajmił Weiser i wyszedł wypychając przed sobą ostatniego z obecnych.

– Jak pan nie jest gliną, to jest pan pewnie jednym z tych od Czerwonego. – Bock sepleniał i widziałem, że opuchnięty język z trudem mieści mu się w ustach. – Proszę pana, nie jestem kretynek – powiedział gwałtownie. – Nie jestem aż tak głupi, aby dać się zabić po to, by osłaniać Kurta. Naprawdę nie wiem, gdzie on jest.

Wyjąłem papierośnicę i poczęstowałem go. Zapaliłem papierosy.

– Słuchaj pan, nie należę do chłopców Czerwonego. Tak jak powiedział wasz nadzorca, jestem prywatnym wywiadowcą. Ale boli mnie szczęka i jeśli nie odpowie pan na moje pytania, chłopcy z Alexu wyciągną z kapelusza pana nazwisko, kiedy dowiedzą się o tych trupach w pensjonacie Tillessena.

Bock zeszytniał.

– A jeśli ruszy się pan z krzesła, to skrećę panu kark. – Przysunąłem sobie krzesło, postawiłem na nim nogę i oparłem się o kolano.

– Nie udowodni pan, że tam byłem.

Uśmiechnąłem się.

– Nie udowodnię? – Zaciągnąłem się i dmuchnąłem mu dymem prosto w twarz. Powiedziałem: – Podczas swojej ostatniej wizyty był pan uprzejmy zostawić tam kwit wypłaty. Znalazłem go w piecu wraz z narzędziem zbrodni. I w ten sposób udało mi się pana odszukać. Teraz tego kwitu tam nie ma, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, żebym go odniósł. Policja nie znalazła jeszcze ciała, ale tylko dlatego, że nie miałem czasu ich zawiadomić. Ten kwit obok narzędzia mordu wystarczy, by posłać pana pod topór.

– Czego pan ode mnie chce?

Usiadłem naprzeciwko niego.

– Odpowiedzi. Słuchaj mnie dobrze, przyjacielu, jeśli nawet spytam pana, jak się nazywa stolica Mongolii, to radzę szybko odpowiedzieć. Zrozumiano?

Wzruszył ramionami.

– Ale zaczniemy od Kurta Mutschmanna. Coście zrobili po wyjściu z Tegel?

Bock ciężko westchnął i skinął głową.

– Ja wyszedłem pierwszy. Postanowiłem wrócić na prostą drogę. Praca tutaj jest ciężka, ale zawsze to praca. A ja nie chcę znów trafić do pierdła. Na weekendy jeździłem czasem do Berlina. I zatrzymywałem się w tym burdelu Tillessena. To alfons, czasem przyprowadzał mi jakąś dziwkę. – Wsadził papierosa w kącik ust i potarł głowę. – Kurt wyszedł w parę miesięcy po mnie i zamieszkał u Tillessena. Odwiedziłem go, mówił, że bractwo ma dla niego robotę. Tego samego wieczoru pojawił się Czerwony Dieter z paroma chłopakami. Przyprowadzili z sobą jakiegoś starszego faceta i zaczęli go obrabiać w jadalni. Siedziałem w swoim pokoju jak mysz pod miotłą. Po jakimś czasie pojawił się Czerwony i powiedział Kurtowi, że ma otworzyć kasę, a ja mam prowadzić auto. Obu nam to było nie w smak. Ja już miałem tego po uszy, a Kurt jest fachowcem i nie lubi uciekać się do gwałtu. I zawsze stara się dobrze przygotować robotę, a nie tak, na łapu-capu.

– A o tym sejfie Czerwony Dieter dowiedział się od faceta, którego pobili w jadalni?
Bock skinął głową.

– No i co potem zaszło?

– Ja tam nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, wyskoczyłem przez okno, poszedłem do domu noclegowego na Frobestrasse, a rano wróciłem tutaj. Kiedy uciekałem, ten pobity facet jeszcze żył. Wykończyli go dopiero gdy sprawdzili, że mówił prawdę. – Bock wyjął z ust niedopałek, rzucił na podłogę i przydeptał. Podąłem mu następnego papierosa.

– Cóż, później doszły mnie słuchy, że z tą robotą coś nie wyszło. Tillessen zawiózł Kurta, a potem chłopaki od Dietera go utłukli. Utłukliby także Kurta, ale zwiął.

– Czy wyprowadzili Dietera w pole?

– Nikt by się tak nie wygłupił.

– A pan?

– Jak byłem w pierdlu w Tegel, widziałem, jak pracuje gilotyna – odpowiedział spokojnie. – Wolałem się narazić Czerwonemu. Jak już mam umrzeć, to wolę w jednym kawałku.

– Proszę mi opowiedzieć, na czym miała polegać ta robota?

– Chodziło o otworenie kasy, tak powiedział Czerwony. Dla takiego człowieka jak Kurt to pestka. On jest prawdziwym fachmanem. Dobrałby się do serca samego Hitlera. Mieli to robić w nocy. Otworzyć sejf i zabrać papiery.

– Nie było mowy o diamentach?

– O diamentach? Nie, nie było mowy o paciorkach.

– Jest pan pewny?

– A jestem. Kurt miał zabrać papiery. Nic więcej.

– Jakie papiery?

Bock pokręcił głową.

– Nie mówili jakie. Po prostu papiery.

– A co z morderstwem?

– Nie było mowy o żadnym morderstwie. Kurt by się nie zgodził na robotę, gdyby trzeba było kogoś zabić. On nie był taki.

– Co z Tillessenem? Mógłby strzelić do kogoś leżącego w łóżku?

– Nie. On co najwyżej mógł pobić kurwę. Jakby zobaczył spluwę, to by uciekał jak zając.

– Może im odbiła szajba i wzięli coś, czego nie powinni brać?

– To pan powiedział, nie ja. Ja tam nie jestem detektywem.

- I od tego czasu nie miał pan wiadomości od Kurta?
- Nie jest przecież taki głupi, żeby się ze mną kontaktować. Jeśli ma odrobinę oleju w głowie, to zamienił się w jedną z tych „łodzi podwodnych”.
- Ma przyjaciół?
- Paru ma. Ale ich nie znam. Żona porzuciła go, więc nie ma pan co jej szukać. Wydała do ostatniego feniga wszystko, co zarobił, i wzięła sobie innego mężczyznę. Umarłby raczej, niż poprosiłby tę sukę o pomoc.
- Może już nie żyje? – zasugerowałem.
- O nie, Kurt żyje. To sprytny facet. Ma pomysły. Potrafi się wywinąć.
- Niewykluczone – powiedziałem i dorzuciłem: – Jednego nie rozumiem. Że pan postanowił wrócić na prostą drogę. I wziął taką pracę. Ile tu pan zarabia tygodniowo?
- Bock wzruszył ramionami.
- Około czterdziestu marek. – Zobaczył na mojej twarzy zdumienie. Było to jeszcze mniej, niż przypuszczałem. – Co, niedużo?
- Więc po co to panu? Dlaczego nie tłucze pan dalej ludzi na polecenie Czerwonego Dietera?
- Kto mówi, że to robiłem?
- Zamknęli pana za kradzież kieszonkową.
- To był przypadek. Pilnie potrzebowałem forsy.
- Kto panu za to płacił?
- Dieter.
- A co on z tego miał?
- Forsę. Tak jak ja. Tyle że więcej. Tacy jak on nigdy nie wpadają. Dużo o tym myślałem w pierdlu. Kłopot z tym, że teraz, jak ja postanowiłem wrócić na prostą drogę, cały kraj zeszedł na psy. Wychodzę z pierdla i widzę, że wybrano do rządu zgraję gangsterów. Co pan na to?
- Cóż, to nie moja wina, przyjacielu. Ja głosowałem na socjaldemokratów. Czy wie pan może, kto płacił Dieterowi, żeby łamał strajki? Nie słyszał pan żadnego nazwiska?
- Wzruszył ramionami.
- Pewnie przedsiębiorcy. Żeby zgadnąć, nie trzeba być detektywem. Ale nie słyszałem nazwisk.
- To było zorganizowane, prawda?
- No pewnie, że było. I udało się. Robotnicy wrócili do pracy.
- A pan poszedł do więzienia.

– Złapano mnie. Nigdy nie miałem szczęścia. Dowód, że pan tu siedzi.

Wyjąłem portfel i wręczyłem mu pięćdziesiąt marek. Otworzył usta, by mi podziękować.

– Niech pan da spokój. – Wstałem i ruszyłem w stronę drzwi. Zawróciłem. – Czy Kurt mógłby zostawić otwarty sejf?

Bock schował banknot i potrząsnął przecząco głową.

– Kurt Mutshmann każdą robotę porządnie wykańczał.

– Tak i myślałem.

– Rano będziesz miał podsiniaczone oko – oznajmiła Inge. Wzięła mnie pod brodę, żeby się lepiej przyjrzeć mojemu pokiereszowanemu policzkowi. – Coś na to trzeba przyłożyć! – Poszła do łazienki. Wracając z Brandenburga wpadliśmy do mojego mieszkania. Usłyszałem, jak leci woda z kranu, wróciła i przyłożyła mi do twarzy zimny kompres. Stała nade mną, czułem jej oddech, wdychałem zapach perfum.

– No, może nie spuchniesz – powiedziała.

– Dzięki. Opuchnięty detektyw nie wzbudza zaufania. Choć z drugiej strony, może w ten sposób wyglądać na człowieka, który się przed niczym nie cofnie.

– Nie ruszaj się – powiedziała niecierpliwie. Czułem dotyk jej brzucha i ze zdziwieniem skonstatowałem, że mam erekcję. Mrugnęła oczami, chyba także się zorientowała, ale się nie cofnęła. Przeciwnie, przysunęła się jeszcze bliżej. Podniosłem rękę i dotknąłem jej piersi. Po chwili wziąłem w palce sutek. Był duży i twardy. Odwróciła się.

– Chyba pora przestać.

– Za późno – oświadczyłem. Spojrzała na mnie. Zarumieniła się, skrzyżowała ramiona na piersiach i podniosła głowę osadzoną na długiej szyi.

Rozkoszując się każdym momentem, stanąłem tuż koło niej i z wolna obrzuciłem ją wzrokiem, twarz, potem piersi i brzuch, uda. Zatrzymałem wzrok na obrąbku szarej sukienki. Schyliłem się i podniosłem sukienkę. Poczulem dotyk jej palców, gdy odebrała mi ją, ale podtrzymywała dalej na wysokości talii. Uklęknąłem przed nią i długo wpatrywałem się w jej bieliznę, nim ściągnąłem w dół majtki, aż znalazły się wokół jej stóp. Oparła się jedną ręką o moje ramię i wyszła z majtek. Jej uda drżały. Spojrzałem na upragniony widok, a potem na jej twarz. Uśmiechnęła się i jej twarz zniknęła, zakryta podnoszoną sukienką. Pokazały się piersi, szyja i znów twarz, na którą opadła kaskada błyszczących czarnych włosów. Rzuciła sukienkę na ziemię i stała przede mną naga, jeśli nie liczyć paska od podwiązek, pończoch i pantofli. Przysiadłem na piętach i z aż bolesnym podnieceniem patrzyłem, jak się obraca wkoło,

zobaczyłem z profilu włosy na łonie, dumnie sterczące piersi, długie proste plecy i dwie półkule pośladków.

Chwyciłem ją w ramiona i zaniósłem do sypialni, gdzie spędziliśmy resztę popołudnia, pieszcząc się i szukając rozkoszy.

Popołudnie przeszło w wieczór, chwilę spaliśmy, potem znów prawiliśmy sobie czułe słówka. Kiedy wstaliśmy, poczuliśmy straszny głód. Zabrałem ją na kolację do grilla u Peltzera, a potem na tańce do Kopuły Germanii na pobliskiej Hardenbergstrasse. W Kopule Germanii pełno było osób należących do najwyższych kręgów towarzyskich, wielu mężczyzn nosiło mundury. Inge spojrzała na ściany z błękitnego szkła, na błękitne gwiazdki rozjaśniające sufit, wsparty o miedzianą kolumnę, na baseniki pełne nenufarów. Uśmiechnęła się, bardzo podniecona.

– Tu jest cudownie.

– A nie sądziłem, że ci się tu spodoba – powiedziałem niezbyt mądrze, ale ona mnie nie słuchała. Wzięła mnie za rękę i poszliśmy na jeden z tanecznych parkietów, wybierając ten, na którym było mniej tłoczno.

Orkiestra była świetna, przytulałem Inge do siebie i wdychałem zapach jej włosów. Gratulowałem sobie w myśli, że przyprowadziłem ją tutaj, a nie do jednego z tych nocnych lokali, gdzie zwykle bywałem, takich jak „Johnny” czy „Złota Podkowa”. Nagle przypomniałem sobie słowa Neumanna, że Kopuła Germanii to jedno z ulubionych miejsc Czerwonego Dietera. Więc kiedy Inge poszła do toalety, wezwałem kelnera i wręczyłem mu pięć marek.

– To za parę odpowiedzi na parę prostych pytań, dobra?

Wzruszył ramionami i schował banknot do kieszeni.

– Czy jest tu dziś Dieter Helfferich?

– Czerwony Dieter?

– Czyżby tu zmienił kolor? – On nie chwycił żartu. Chwilę się zastanawiał, widać nie był pewny, czy szef „Germańskiej Potęgi” pragnie zostać zidentyfikowany. Doszedł jednak do wniosku, że nic mu nie grozi.

– Tak, jest tu dzisiaj. – Przewidując następne pytanie, obejrzał się przez ramię na bar. – Siedzi w łoży położonej najdalej od orkiestry. – Zaczął zbierać ze stolika puste kieliszki i zniżył głos. – Nie należy się tu wypytywać o Czerwonego Dietera. Radzę po dobroci.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Co on zwykle pije?

Kelner spojrzał na mnie litościwie, musiało to być głupie pytanie.

– Czerwony pija wyłącznie szampana.

– Im ktoś niżej upadł, tym bardziej wybrzydza, co? Niech mu pan zanieś ode mnie butelkę.

Wręczyłem mu wizytówkę i banknot. – Może pan zatrzymać resztę.

Inge wyszła właśnie z toalety i kelner obrzucił ją pełnym uznania wzrokiem. Nie miałem mu tego za złe, nie on jeden zaczął się na nią gapić, wszyscy siedzący przy barze mężczyźni uznali, że jest warta grzechu.

Znów zatańczyliśmy, zobaczyłem, jak kelner stawia butelkę szampana na stoliku Czerwonego Dietera. Nie widziałem twarzy Dietera, ale widziałem, że kelner wręcza mu moją wizytówkę i pokazuje mnie.

– Słuchaj – powiedziałem – muszę coś załatwić. Długo to nie potrwa, ale na chwilę muszę cię opuścić. Jeśli zechcesz się czegoś napić, zawołaj kelnera.

Inge z niepokojem przyglądała mi się, gdy odprowadzałem ją do stolika.

– Dokąd idziesz?

– Muszę się z kimś tutaj zobaczyć. Wrócę za parę minut.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Uważaj na siebie.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

– Będę tak ostrożny, jakbym stąpał po linie.

Siedzący samotnie w ostatniej łoży człowiek miał w sobie coś z Tłustego Arbuckle'a. Nad sztywnym kołnierzykiem wieczorowej koszuli układało się parę fałd tłuszczu. Twarz była czerwona jak gotowana szynka, zastanawiałem się, czy stąd właśnie wziął się jego przydomek. Usta Czerwonego Dietera Helffericha zaciśnięte były tak, jakby nieustannie cmoktał cygaro. Głos miał dudniący, mówił urażonym tonem. Kiedy uśmiechał się, jego twarz przypominała jednocześnie wczesny okres Majów i późny gotyk.

– Jest pan prywatnym wywiadowcą, tak? Nigdy jeszcze nie spotkałem żadnego prywatnego wywiadowcy.

– Czyli jest nas zbyt mało. Pozwoli pan, że się przysiędę.

Spojrzał na etykietkę butelki.

– To dobry szampan. Muszę więc pana wysłuchać. Proszę usiąść.

Zerknął na wizytówkę. – Proszę usiąść, Herr Gunther. – Nalał nam szampana, podniósł w toaście swój kieliszek. Spod brwi wielkości i kształtu leżącej wieży Eiffla spoglądały na mnie zbyt szeroko rozwarte oczy.

– Za nieobecnych przyjaciół – powiedział.

Skinąłem głową i wychyliłem kieliszek.

– Takich jak na przykład Kurt Mutschmann.

– O tym nieobecny dobrze pamiętam – odparł. Roześmiał się tubalnie i zanurzył wargi w szampanie. – Zdaje się, że obaj chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie się podział. Żeby się o niego przestać martwić, co?

– A powinniśmy się o niego martwić? – zapytałem.

– Niebezpieczne to czasy dla człowieka z takim zawodem. Cóż, nie muszę panu tego mówić, co, łapsie? Był pan przecież gliną. – Skinął z uznaniem głową. – Muszę przyznać, że pański klient musi być niegłupi, skoro zwrócił się do pana, zamiast do pańskich byłych koleżków. Chce odzyskać paciorki, a nie wysłuchiwać głupich pytań. Pan łatwiej może je odnaleźć. I wynegocjować. Co, obiecał pewnie nagrodę?

– Jest pan świetnie poinformowany.

– I nawet gotów jestem panu dopomóc. Ale Mutschmann musi trafić w moje ręce. Jeśli pański klient chce się na nim zemścić, to niech mu to pan wyperswaduje. Mutschmann należy do mnie. Tego wymagają moje interesy.

– Tylko tyle pan żąda? Zapomina pan o papierach von Greisa. Wie pan, o tych, o które wypytywali go pańscy chłopcy. Schował je gdzieś czy oddał komuś na przechowanie? Co pan miał zamiar z tymi papierami zrobić? Szantażować kogoś? Kogoś takiego jak mój klient? Czy też na wszelki wypadek mieć w kieszeni paru polityków?

– Pan też jest dobrze poinformowany. Jak już powiedziałem, z pańskiego klienta jest spryciarz. Mnie to też urzęda, że to pana przypuścił do konfidencji, a nie policję. Pan również ma szczęście, że nie jest pan gliniarzem, bo po tym, co mi pan powiedział, niedługo radowałby się pan życiem.

Wychyliłem się z łoży, żeby sprawdzić, czy nic nie stało się Inge. Zobaczyłem jej błyszczącą, czarną główkę. Odprawiała właśnie jakiegoś faceta w mundurze, który widać usiłował ją poderwać.

– Dzięki za szampana, łapsie. Zdecydował się pan na duże ryzyko podchodząc do mnie. I niezbyt się to panu opłaciło. Tyle że odchodzi pan z nie naruszoną stawką. – Wyszczrzył zęby.

– Cóż, tym razem chodziło mi o samą grę.

Gangstera to wyraźnie rozśmieszyło.

– Nie będzie następnego razu, o tym mogę pana zapewnić.

Odwrociłem się, by odejść, ale on złapał mnie za ramię. Myślałem, że chce mi czymś zagrozić, on jednak powiedział:

– Nie chcę, łapsie, żeby pan myślał, że pana oszukałem. Niech się pan nie pyta dlaczego, ale chcę panu oddać małą przysługę. Może dlatego, że podoba mi się pana tupet. Niech pan się nie odwraca. Przy barze siedzi zwalisty mężczyzna w brązowym ubraniu, ostrzyżony na jeża. Niech mu się pan dobrze przyjrzy wracając do stolika. To zawodowy morderca. Śledzi pana i tę pańską dziewczynę. Musiał pan komuś dobrze nadepnąć na odcisk. Zarobi sobie na tygodniowe komorne. Wątpię, żeby to się miało stać tutaj, czuje dla mnie respekt. Ale zaraz za drzwiami... Bardzo mi się nie podoba, żeby tacy kryminaliści ośmielali się tu przychodzić. To może zrobić złe wrażenie.

– Dziękuję za informację. Doceniam to. Czy jest tu jakieś tylne wyjście? Nie chciałbym narażać mojej dziewczyny.

Skinął głową.

– Przez kuchnię i przeciwpożarowe schody... Wyjdzie pan na spokojną uliczkę. Stoi tam parę aut. Jedno, jasnoszare, należy do mnie. – Pchnął w moją stronę kluczyki. – W schowku leży spluwa, może się panu przydać. Potem niech pan zostawi kluczyki w rurze wydechowej i proszę uważać, żeby mi nie porysować wozu.

Schowałem kluczyki i wstałem.

– Miło było z panem pogadać, Dieter. Ale niech pan pamięta, że łapsom często się udaje kogoś złapać...

Czerwony Dieter skrzywił się.

– Niech no pan się prędko zmywa, Gunther, bo gotów jestem zmienić zdanie.

Wracając do Inge spojrzałem w stronę baru. Mężczyznę w brązowym garniturze nietrudno było zidentyfikować, to on przedtem wpatrywał się w Inge. Przy naszym stoliku Inge z łatwością, acz bez przyjemności, opierała się zalotom przystojnego, choć dosyć niskiego SS-mana. Wziąłem Inge za rękę, chcąc ją stamtąd zabrać. Oficer schwycił mnie za ramię.

Spojrzałem na jego rękę, potem zajrzałem w twarz.

– Uspokój się, mały – powiedziałem patrząc na niego z góry. – Bo udekoruję ci usta, a nie będzie to Żelazny Krzyż. – Wyjąłem z kieszeni pomiętą banknot pięciomarkowy i rzuciłem na stół.

– Nie wiedziałam, że należysz do zazdrośników – powiedziała Inge, gdy prowadziłem ją w kierunku drzwi.

– Wejź do windy i zjedź na dół – nakazałem jej. – Wsiądziesz do auta i będziesz na mnie czekać. Pod siedzeniem leży pistolet. Wyjmij go. – Spojrzałem w stronę baru. Mężczyzna w brązowym garniturze płacił rachunek. – Nie mam teraz czasu ci tłumaczyć, ale

nie chodzi tu o tego naszego przyjaciela, z którym przed chwilą rozmawiałem.

– A dokąd ty się wybierasz? – spytała. Podałem jej kluczyki od auta.

– Wyjdę inną drogą. Ten facet w brązowym garniturze będzie próbował mnie zabić. Jeśliby się zbliżył do auta, jedź do domu i zadzwoń do Kriminalinspektora Brunona Stahleckera na Alexie. Zapamiętasz? – Skinęła głową.

Udawałem, że za nią idę, nagle zawróciłem, przeszedłem szybko przez kuchnię i wbiegłem na przeciwpożarowe schody. Trzy piętra niżej usłyszałem za sobą kroki. Leciałem na oślep w dół, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie stawić mu tutaj czoło, ale on był uzbrojony, a ja nie. Co więcej – był zawodowcem. Potknąłem się i upadłem. Wstałem uchwyciwszy się balasków i nie zwracając uwagi na ból w łokciach i kolanach zbiegłem jeszcze jedno piętro w dół. Na ostatnim podeście zobaczyłem pod drzwiami smugę światła i skoczyłem. Wylądowałem na czworakach. Pchnąłem drzwi i wybiegłem na uliczkę.

Stało tam kilka aut w równym szeregu, od razu jednak zobaczyłem szare Bugatti Royal Czerwonego Dietera. Otworzyłem drzwiczki i sięgnąłem do schowka. Wewnątrz leżały skręcone papierki z białym proszkiem w środku i wielki rewolwer z długą lufą, którym można wystrzelić dziurę w masywnych mahoniowych drzwiach. Nie miałem czasu sprawdzać, czy jest nabity, ale Czerwony Dieter nie wyglądał mi na człowieka, który nosi broń po to, by się bawić w Indian i kowbojów.

Rzuciłem się na ziemię i wpełznąłem pod sąsiednie auto, był to wielki Mercedes. W tym momencie w drzwiach pojawił się mój prześladowca. Stał w cieniu muru. Leżałem nieruchomo, czekając, by pojawił się na oświetlonym księżycem środku uliczki. Minęło parę minut, zrozumiałem, że facet przesuwają się pewnie tuż pod murem, aż znajdzie się daleko od aut i wtedy dopiero przejdzie na drugą stronę uliczki i bezpiecznie zawróci. Usłyszałem z tyłu skrzyp buta na bruku. Wstrzymałem oddech. Powoli odbezpieczyłem pistolet. Wolniutko odwróciłem się i zobaczyłem parę butów między tylnymi kołami auta, pod którym leżałem. Potem ten mężczyzna poszedł w prawo, za Bugatti, zorientowałem się, że zmierza w stronę półotwartych drzwiczek, więc wysunąłem się z lewej strony spod tego mojego Mercedesa. Schylając się poniżej jego drzwiczek wycofałem się na tył wozu. Przykucnąłem i wyrząłem. Człowiek w brązowym garniturze przykucnął w identycznej pozycji za Bugatti, ale patrzył w przeciwną stronę. Znajdował się ode mnie zaledwie o kilka metrów. Szybko ruszyłem celując w środek jego kapelusza.

– Rzuć broń – zawołałem. – Bo wywiercę ci dziurę w głowie.

Mężczyzna zamarł w bezruchu, ale w rękę wciąż trzymał pistolet. – W porządeczku – powiedział, wypuszczając Mausera z ręki, tak że zawisł na cynglu na jego palcu. –

Zabezpieczę go, dobrze? Bo wystrzeli. – Mówił spokojnym, chłodnym tonem.

– Najpierw zsuń kapelusz na twarz. I trzymaj rękę nisko. Nie zapominaj, że z tej odległości na pewno nie spudłuję. A nie chciałbym brudzić auta Dietera resztkami twego mózgu.

On pchnął kapelusz na oczy i po zabezpieczeniu Mausera rzucił go na ziemię.

– Czy to Czerwony powiedział panu, że pana śledzę?

– Stul pysk i odwróć się – nakazałem. – Ręce do góry.

Mężczyzna w brązowym garniturze odwrócił się i wtulił głowę w ramiona usiłując wyrzeć spod kapelusza.

– Chce mnie pan zabić? – spytał.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy mi powiesz, kto cię opłacił.

– Możemy ubić interes.

– Nie bardzo widzę, co byś mi miał do zaoferowania – oświadczyłem. – Albo powiesz, co wiesz, albo kulka w łeb.

Uśmiechnął się.

– Nie zastrzeli mnie pan przecież tak na zimno.

– Nie zastrzelę? – Wsadziłem mu lufę pod brodę, a potem przejechałem nią po jego twarzy, aż zatrzymała się na miękkiej części policzka. – Nie bądź taki pewny. Wprowadziłeś mnie w odpowiedni nastrój, więc radzę ci nie udawaj niemowy.

– A jeśli powiem, to pan mnie puści?

– Żebyś znów na mnie zapolował? Widzę, że uważasz mnie za głupca.

– Co mogę zrobić, żeby pana przekonać, że dam panu spokój?

Cofnąłem się o krok i chwilę się zastanawiałem.

– Przysięgnij na życie matki.

– Przysięgam na życie matki – powiedział bez namysłu.

– Dobra. Więc kto jest twoim klientem?

– Puści mnie pan, jak powiem?

– Tak.

– Przysięga pan na życie matki?

– Przysięgam.

– No, dobrze – powiedział. – Ten facet nazywa się Haupthändler.

– Ile zapłacił?

– Trzysta już, a potem... – Nie udało mu się skończyć zdania, wyrzniętem go z całej siły kolbą rewolweru, na pewno długo nie odzyska przytomności.

– Moja matka nie żyje. – Wziąłem jego Mausera i obie spluwy wetknąłem do kieszeni. Pobiegnę do auta, w którym czekała Inge. Spojrzała z przerażeniem na moje utyłane ubranie. Moje najlepsze ubranie.

– Jaśnie panu nie spodobała się winda. Coś ty zrobił, wyskoczyłeś przez okno?

– Tak jakby. – Wymacałem pod siedzeniem kierowcy kajdanki, które przechowuję tam wraz z rewolwerem. Potem podjechałem na tamtą uliczkę.

Mężczyzna w brązowym garniturze leżał nieprzytomny tam, gdzie go zostawiłem. Wsiadłem z auta, zaciągnąłem go pod mur domu i przykułem do kraty okna. Jęknął, więc wiedziałem, że go nie zabiłem. Podeszedłem do Bugatti i odłożyłem na miejsce pistolet Dietera. Jednocześnie wziąłem parę tych papierków z proszkiem. Czerwony Dieter na pewno nie przechowywał w aucie soli kuchennej, ale na wszelki wypadek powąchałem. Tak, kokaina. Tych papierków nie było dużo, w sumie może za sto marek. Więc prawdopodobnie przeznaczone były do jego prywatnego użytku.

Zamknąłem drzwiczki i tak jak sobie życzył, wsunąłem kluczyki do rury wydechowej. Potem podeszedłem do faceta w brązowym garniturze i wsunąłem parę papierków do górnej kieszonki marynarki.

– To powinno zainteresować chłopców z Alexu – powiedziałem. Skoro go już z zimną krwią nie zabiłem, był to jedyny sposób, żeby mieć pewność, iż nie uda mu się wykonać, zaplanowanej mokrej roboty. Ubijać interesy można tylko z ludźmi, którzy w prawej ręce trzymają kieliszek sznapsa.

Rozdział 14

Następnego dnia rano mżył ciepły deszczyk. Wstałem wypoczęty i ochoczo wyjrzałem przez okno. Czułem się tak pełen życia, jak sfera psów gończych.

Zjedliśmy śniadanie złożone z puszki jakiejś meksykańskiej mikstury i paru papierosów. Chyba nawet pogwizdywałem przy goleniu. Inge weszła do łazienki i stanęła przyglądając mi się. Co chwila zresztą wpatrywaliśmy się w siebie.

– Zważywszy, że wczoraj wieczorem ktoś usiłował cię zamordować, wydajesz mi się dzisiaj zadziwiająco pogodny.

– Zawsze twierdziłem, że gdy człowiek otrze się o śmierć, dodaje mu to ochoty do życia. – Uśmiechnąłem się do niej i dorzuciłem: – A co dopiero, gdy trafił na odpowiednią kobietę.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, dlaczego on zamierzał cię zabić.

– Bo mu za to zapłacono.

– Kto mu zapłacił? Ten mężczyzna w nocnym lokalu?

Wytarłem twarz i przejechałem po niej ręką. Była gładka, odłożyłem więc brzytwę.

– Pamiętasz, jak wczoraj rano prosiłem przez telefon lokaja, by przekazał ode mnie wiadomości Haupthändlerowi i jego panu?

Inge skinęła głową.

– Tak. Prosiłeś, by im powiedział, że zbliżasz się do celu.

– Miałem nadzieję, że sprowokuję Haupthändlera do działania. I sprowokowałem. Nie przypuszczałem tylko, że stanie się to tak szybko.

– Myślisz, że to on opłacił tego zbira?

– Nie myślę tylko wiem.

Inge poszła za mną do sypialni i przyglądała się, jak wkładam koszulę i z trudem zapinam spinkę na zabandażowanej przez nią ręce.

– Wiesz – powiedziałem – wczoraj znalazłem wiele odpowiedzi, ale pojawiło się jeszcze więcej pytań. Wszystko to jest okropnie nielogiczne. Mam uczucie, że staram się dopasować do siebie części dwóch układanek. Z sejfu Pfarrów ukradziono dwie rzeczy –

papiery i biżuterię. Jedno do drugiego nie pasuje. I w dodatku to morderstwo też nie pasuje do kradzieży.

Inge zmrużyła oczy jak mądry kot i spojrzała na mnie tak, że poczułem się bardzo niemądry.

– Chyba od początku były dwie różne układanki – powiedziała. – A ty próbowałeś ułożyć jedną.

Chwilę trwało, nim to do mnie dotarło, i klepnąłem się w czoło.

– No tak!

A więc chodziło o dwa rozmaite przestępstwa.

Zaparkowaliśmy na Nollendorfplatz, w cieniu S-Bahnu. Na wiadukcie dudnił pociąg, przeraźliwy hałas wypełniał cały plac. Sadze z kominów fabryk w Tempelhof i Neukölln osiadły na ścianach budynków wokół placu, budynki te pamiętały lepsze czasy. Poszliśmy na zachód, aż doszliśmy do pięciopiętrowej kamienicy na Nollendorfstrasse, gdzie mieszkała Marlene Sahn, i wdrapaliśmy się na czwarte piętro.

Otworzył nam drzwi młody mężczyzna w mundurze SA jakiejś specjalnej formacji, której nie potrafiłem zidentyfikować. Spytałem się, czy mieszka tu Fräulein Sahn, odpowiedział, że tak że jest jej bratem.

– Z kim mam przyjemność? – spytał. Wręczyłem mu swoją wizytówkę i wyraziłem chęć zobaczenia się z jego siostrą. Moje pojawienie się było mu wyraźnie nie na rękę, zastanawiałem się, czy nie łże utrzymując, że jest bratem. Przesunął ręką po włosach koloru słomy i nim pozwolił nam wejść, obejrzał się za siebie.

– Siostra się akurat położyła – wyjaśnił. – Ale zapytam ją, czy pana przyjmie, Herr Gunther. Zamknął za nami drzwi i próbował przybrać uprzejmy wyraz twarzy. Miał szerokie, niemal negroidalne wargi. Rozciągnęły się w uśmiechu, ale zimne błękitne oczy lustrowały nas oboje od stóp do głów.

– Proszę chwilkę zaczekać.

Kiedy zostawił nas samych w przedpokoju, Inge wskazała na ścianę, gdzie wisiały aż trzy portrety Führera. Uśmiechnęła się.

– Bardzo zadbali o wykazanie się swoją lojalnością.

– Nie pamiętasz? Była taka specjalna oferta Woolwortha. Kup dwóch dyktatorów, trzeciego dostaniesz za darmo.

Wrócił Sahn z siostrą, wysoką, przystojną blondynką o melancholijnie opadającym nosie i długiej szczęce. Miała muskularną, mocną szyję, która wyglądała tak, jakby nie

potrafiła się skłonić, a opalone ramiona były ramionami łuczniczki. Kiedy szła przez przedpokój, zobaczyłem dobrze umięśnione łydki w kształcie żarówek. Była zbudowana jak rokokowy kominek.

Zaprowadzili nas do skromnego saloniku, brat oparł się o drzwi i przyglądał się podejrzliwie Inge i mnie, a my usiedliśmy na krzesłach krytych tanią brązową skórą. Za szklanymi drzwiczkami serwantki stało mnóstwo zdobycznych pucharów.

– Jaka wspaniała kolekcja – powiedziałem w przestrzeń. Zabrzmiało to dość niezręcznie. Podejrzewam, że prowadzenie towarzyskiej rozmowy nie należy do moich specjalności.

– Prawda? – zgodziła się Marlene patrząc na mnie naiwnym wzrokiem i udając skromność. Jej brat nie miał takich zahamowań.

– Moja siostra jest lekkoatletką. Niestety, odniosła kontuzję i nie może uczestniczyć w Igrzyskach.

Inge i ja pomrukiem wyraziliśmy swoje współczucie. Marlene wzięła do rąk moją wizytówkę i jeszcze raz ją przeczytała.

– Czym mogę panu służyć, Herr Gunther? – spytała. Założyłem nogę na nogę i zacząłem monolog.

– Zostałem zatrudniony przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Germania”, by wyjaśnić okoliczności śmierci Paula Pfarra i jego żony. Każdy, kto ich znał, może się okazać cennym źródłem informacji.

– Tak – westchnęła Marlene. – Rozumiem.

Czekałem mając nadzieję, że powie coś bez moich dalszych pytań.

– O ile wiem, była pani sekretarką Herr Pfarra w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Tak, to prawda. – Zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Czy pani tam nadal pracuje?

– Tak – powiedziała wzruszając ramionami.

Spojrzałem na Inge, ona podniosła brew.

– Czy wciąż istnieje departament Herr Pfarra zajmujący się korupcją w DAF-ie?

Przez sekundę przyglądała się swoim pantoflom, potem, po raz pierwszy, spojrzała mi prosto w oczy.

– Kto pana o tym poinformował? – Mówiła spokojnym tonem, ale wyczułem, że jest wzburzona.

Zignorowałem to pytanie, próbując przyprzeć ją do muru.

– Czy nie sądzi pani, że to dlatego właśnie został zabity? Bo komuś jego dochodzenia

były nie na rękę?

– Ja... Nie, nie mam pojęcia, dlaczego go zamordowano. Herr Gunther, wydaje mi się, że...

– Czy słyszała pani kiedyś o jakimś Gerhardzie von Greisie? Był przyjacielem premiera, a poza tym zajmował się szantażem. Nie wiem, co przekazał pani szefowi, ale kosztowało go to życie.

– Nie wierzę, by... – szepnęła i zaraz się opanowała. – Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytania.

Ale ja nalegałem.

– Co pani wie o kochance Paula, o tej Verze czy Evie? Gdzie ona się może ukrywać? A może już także nie żyje?

Zatrzepotała rękami. Przełknęła ślinę i wstała zaciskając kurczowo ręce.

– Bardzo pana proszę – powiedziała, a jej oczy napęłniły się łzami. Jej brat stanął przede mną jak sędzia liniowy w meczu bokserskim.

– Dosyć tego, Herr Gunther – powiedział. – Nie mam zamiaru pozwolić panu na przesłuchiwanie w ten sposób mojej siostry.

– Dlaczego? – spytałem wstając. – Gorsze rzeczy widzi się w gestapo.

– Niemniej wydaje mi się jasne, że ona nie życzy sobie odpowiadać na pańskie pytania.

– Dziwne – powiedziałem. – Ja też doszedłem do tego wniosku.

Wzięłem Inge pod ramię i ruszyliśmy w kierunku drzwi. W ostatniej chwili odwróciłem się i oznajmiłem: – Nie stoję po niczyjej stronie. Próbuję tylko odkryć prawdę. Jeśli zmieni pani zdanie, bardzo proszę się ze mną skontaktować. Nic pani z mojej strony nie grozi.

– Nie posądzałam cię o rycerskość – zauważyła Inge, kiedy już wyszliśmy.

– No wiesz! Chodziłem do szkoły detektywów imienia Don Kiszota. Zawsze miałem czwórki ze szlachetnych uczuć.

– Szkoda, że nie miałeś ich z umiejętności przeprowadzania śledztwa. Wiesz, ona się naprawdę przejęła słysząc, że kochanka Pfarra może już nie żyć.

– A co według ciebie miałem zrobić? Wytrząsnąć z niej informacje?

– Cóż, ja tylko ubolewam, że nie udało ci się z niej nic wyciągnąć. Może jeszcze zmieni zdanie...

– Na to bym zbyt nie liczył. Skoro pracuje w Gestapo, to trudno ją uznać za osobę,

która lubi ślęczeć nad Biblią. Widziałaś jej muskuły? Założę się, że kiedy chcą komuś wymierzyć chłostę, to uciekają się do jej pomocy.

Wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy Bülowstrasse w kierunku południowym. Zatrzymałem się w pobliżu Viktoria Park.

– Chodź – zaproponowałem. – Przejdziemy się. Dobrze nam zrobi odrobina świeżego powietrza.

Inge z podejrzliwą miną głęboko wciągnęła powietrze. Powietrze istotnie cuchnęło, w pobliżu znajdował się browar Schultheis.

– Bardzo proszę, żeby ci nigdy nie strzeliło do głowy kupować mi perfum – powiedziała.

Weszliśmy na wzgórze, gdzie ci, co uchodzą za młodych obiecujących artystów berlińskich sprzedają swoje nieskazitelnie sielskie obrazy. Inge, jak to było do przewidzenia, spojrzała na nie ze wzdaniem...

– Widziałeś kiedyś takie gie? – parsknęła. – Jak się patrzy na tych krzepkich wieśniaków, którzy orzą pola i wiążą snopy, można by przypuścić, że przeżywamy jedną z baśni braci Grimm.

Skinąłem potakująco głową. Podobała mi się jej żywa reakcja, choć mówiła zbyt głośno, a za wygłaszanie takich opinii mogliśmy wylądować w kacecie.

Kto wie, gdybym miał więcej czasu, a ona cierpliwości, pewnie skłoniłaby mnie do zrewidowania moich nazbyt przyziemnych opinii o sztuce. Ale w obecnej chwili moją uwagę zaprzętało coś zupełnie innego. Wziąłem Inge pod ramię i zaprowadziłem do kolekcji obrazów, na których maszerowali dzielni SS-Sturmani, przed obrazami tymi siedział malarz wyglądający jak stereotyp aryjczyka.

– Od wyjścia z mieszkania Sahmów mam uczucie, że ktoś za nami idzie – powiedziałem cicho. Ostrożnie się rozejrzała. Kręciło się tu parę osób, ale nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi.

– Jeśli to ktoś, kto zna się na tej robocie, to go nie zauważysz – oświadczyłem.

– Myślisz, że to gestapo? – spytała.

– Gestapowcy nie są w tym mieście jedynymi gończymi psami. Ale, owszem, myślę. Wiedzą, że zajmuję się tą sprawą i mogą chcieć to wykorzystać.

– No to co zrobimy? – Spojrzała na mnie niespokojnie, a ja się tylko uśmiechnąłem.

– Zawsze uważałem, że nie ma lepszej zabawy niż wymknąć się pogoni. Zwłaszcza kiedy chodzi o gestapo.

Rozdział 15

W porannej poczcie znalazłem tylko dwa listy, oba zostały doręczone osobiście. W mniejszej kopercie tkwiło zaproszenie na Olimpiadę, na odwrocie widniały inicjały „M.S.” i „godz. 14”. Większa koperta zalakowana była pieczęcią Ministerstwa Lotnictwa i zawierała zapis rozmów telefonicznych Haupthändlera i Jeschonnek. A właściwie tylko jednej – tej, którą ja sam odbyłem będąc w mieszkaniu Haupthändlera. Wrzuciłem kopertę z jej zawartością do kosza i usiadłem zastanawiając się, czy Jeschonnek kupił już koleję i co zrobię, jeśli wieczorem będę musiał udać się w ślad za Haupthändlerem na lotnisko Tempelhof. Tyle że jeśli Haupthändler już opylił koleję, to na cholerę miałby czekać z odlotem do poniedziałku wieczór? Chyba że chciał odebrać zapłatę w dewizach i Jeschonnekowi trzeba było czasu, by je zdobyć. Zaparzyłem sobie kawę i czekałem na Inge.

Wyrzałem przez okno, było pochmurno i uśmiechnąłem się wyobrażając sobie, jak ucieszy się Inge, że deszcz znowu popsuje Führerowi Olimpiadę. Tyle że dziś miałem zmoknąć także i ja.

Jak to ona nazwała tę Olimpiadę? „Największe oszustwo naszych czasów”. Kiedy pojawiła się w drzwiach, przeszukiwałem właśnie szafę, by znaleźć mój stary nieprzemakalny płaszcz.

– Królestwo za papierosa – zawołała, rzucając na krzesło torebkę i sięgając do mojej kasetki na biurku. Z rozbawieniem spojrzała na mój stary płaszcz i dorzuciła: – Zamierzasz to na siebie włożyć?

– Owszem. Fräulein Atletka poszła po rozum do głowy. Przysłała mi bilet na Igrzyska. Spotka się tam dziś ze mną o drugiej po południu.

Inge wyrzała przez okno.

– Masz rację – zaśmiała się – ten płaszcz ci się przyda. Będzie lało jak z cebra. – Usiadła i położyła nogi na moim biurku. – No cóż, zostaną tu i będę pilnowała interesów.

– Wrócę najpóźniej o czwartej – zapowiedziałem. – I pojedziemy na lotnisko.

Zmarszczyła brwi.

– Zupełnie zapomniałam. Więc to dzisiaj Haupthändler wybiera się do Londynu.

Wybacz, jeśli to zabrzmiało głupio, ale co zamierzasz zrobić na tym lotnisku? Podejść do niego i tej jego tajemniczej damy i spytać się, ile wzięli za naszyjnik? Sądzisz, że otworzą walizki i pozwolą ci się przyjrzeć ich zawartości na samym środku Tempelhofu?

– W życiu nigdy nie udaje się dopiąć sprawy na ostatni guzik. Trzeba się zdać na nosa.

– Wesoło to nie brzmi.

– A już mi się wydawało, że mam asa w rękawie.

– I wypadł?

– Ano właśnie.

W biurze rozległy się kroki, więc umilkłem. Ktoś zapukał do drzwi i wszedł kapral lotnictwa niosąc wielką urzędową kopertę, taką samą jak ta, którą przed chwilą wyrzuciłem do kosza. Kapral trzasnął obcasami i spytał się, czy jestem Herr Bernhardem Guntherem. Powiedziałem, że tak, wziąłem kopertę, podpisałem pokwitowanie, a on oddał hitlerowski salut i odmaszerował.

Otworzyłem kopertę z Ministerstwa Lotnictwa. Było w niej parę stron maszynopisu, zapis rozmów telefonicznych, które poprzedniego dnia odbyli Jeschonnek i Haupthändler. Z nich dwóch to Jeschonnek, handlarz diamentów, więcej się narozmawiał, dzwonił do wielu osób próbując nielegalnie zdobyć dolary i funty.

– No, trafiliśmy w dziesiątkę! – oświadczyłem przeczytawszy zapis ostatniej rozmowy Jeschonneka. Była to rozmowa z Haupthändlerem i stanowiła dowód potrzebny mi do ustalenia, że między sekretarzem Sixa i handlarzem diamentów istnieje zмова. Co więcej, wyznaczyli sobie czas i miejsce spotkania.

– Co znalazłeś? – spytała niecierpliwie Inge. Uśmiechnąłem się do niej.

– Asa! Haupthändler i Jeschonnek umówili się dziś na piątą. Jeschonnek przyniesie dewizy.

– Skąd wziąłeś takiego informatora? – spytała niespokojnie. – Czy to ten jasnovidz Hanussen?

– Nazwałbym go raczej impresariem.

Zapaliłem papierosa. W myśli rzuciłem monetę i przegrałem. Jednak będę jej musiał powiedzieć prawdę.

– Pamiętasz tego nieboszczyka w windzie?

– Równie dobrze mogłabym zapomnieć, że mam trąd. – Otrząsnęła się.

– Jego odszukanie zlecił mi Hermann Göring. – Zrobiłem pauzę czekając na jej komentarz; patrzyła na mnie rozbawionym wzrokiem, więc wzruszyłem ramionami. – No i Göring zgodził się założyć podsłuch na telefony Haupthändlera i Jeschonneka. – Wziąłem

kartki i pokazałem jej. – Oto rezultat. Teraz już mogę powiedzieć jego ludziom, gdzie mogą znaleźć von Greisa.

Inge milczała. Zaciągnąłem się ze złością papierosem i zgasłem go, wierząc nim dziurę w popielnicze.

– Pozwól, że ci coś powiem. Jemu się nie odmawia, jeśli człowiek chce jeszcze kiedyś w życiu móc zapalić.

– Pewnie masz rację.

– Wierz mi, że sam nigdy bym go sobie nie wybrał na klienta. Zamiast zaliczki przysyła uzbrojonego zbira.

– Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

– Kiedy Göring przypuszcza kogoś do konfidencji, gra idzie o wysoką stawkę. Uważałem, że dla ciebie bezpieczniej jest nic nie wiedzieć. Teraz jednak nie miałem już wyjścia. – Jeszcze raz pomachałem w jej stronę kartkami z zapisem. Inge pokręciła głową.

– No jasne, że nie mogłeś mu odmówić. Nie zamierzałam cię krytykować, po prostu byłam zaskoczona. I dziękuję ci, Bernie, że chciałeś mnie ochronić. Cieszę się, że już możesz zawiadomić o śmierci tamtego biedaka.

– Zaraz to zrobię.

Kiedy zadzwoniłem do Rienackera, był mocno zirytowany.

– Mam nadzieję, że już na coś wpadłeś, gnojku, bo cierpliwość Grubego Hermanna jest już na wyczerpaniu. Więc jeśli dzwonicz, by pogadać o dupie Maryni, to zaraz do ciebie przyjdę i zadepczę ci mieszkanie psim łajnem.

– Co ci się stało, Rienacker? – spytałem. – Byłeś dziś rano w kostnicy?

– Przestań się wygłupiać, Gunther, i mów do rzeczy.

– W porządku. Nadstaw uszu. Znalazłem waszego faceta, ale on już nigdy nie powącha żadnego kwiatka.

– Nie żyje?

– Jeszcze jak. Znajdziesz go w opuszczonym hoteliku na Chamissoplatz. W windzie kuchennej. Kieruj się węchem.

– A dokumenty?

– W piecu spalono jakieś papiery. Ale jest tam tylko popiół.

– Czy wiesz, kto go zabił?

– Bardzo mi przykro, to już należy do was. Ja miałem go tylko odszukać. Powiedz twojemu szefowi, że dostanie ode mnie rachunek pocztą.

– Dziękuję, Gunther – powiedział Rienacker bynajmniej nie zachwyconym tonem. –

Masz...

Przerwałem mu, powiedziałem do widzenia i odłożyłem słuchawkę.

Zostawiłem Inge kluczyki od auta, prosząc, by o pół do piątej przyjechała pod dom Haupthändlera, będę tam czekał na ulicy. Miałem zamiar pojechać na stadion sportowy Rzeszy ze stacji Zoo, ale najpierw chciałem się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi, wybrałem się więc na stację bardzo okrężną drogą. Poszedłem szybko Königstrasse, pojechałem tramwajem na targ Spittel, tam dwukrotnie okrążyłem fontannę Spindler Brunnen i dopiero wtedy wsiadłem do U-Bahnu. Przejechałem jeden przystanek, wysiadłem na Friedrichstrasse. W godzinach tłoku na Friedrichstrasse jest największy ruch w Berlinie, powietrze śmierdzi ołowiem. Wymijając zręcznie parasole i wpatrzonych w swe bedekery Amerykanów, uciekłem spod kół furgonetki „Miętówki Rudersdorfa” przeciąłem Tauberstrasse i skręciłem w Jägerstrasse mijając hotel „Kaiser”. Idąc w kierunku Unter den Linden przeszedłem przez zatłoczoną jezdnię Französische Strasse i na rogu Behrenstrasse zapuściłem się w Pasaż Kajzera. Pełno tam wytwornych sklepów odwiedzanych głównie przez turystów, pasaż kończy się przy Unter den Linden, tuż obok hotelu Westminster, w którym najczęściej zatrzymują się turyści. Łatwo tam zgubić ewentualny ogon. Przeszedłem przez jezdnię i pojechałem taksówką na stację Zoo, gdzie wsiadłem w specjalny ekspres jadący na stadion.

Dwupiętrowy stadion był mniejszy, niż oczekiwałem, zastanawiałem się, jak pomieści się tam kręcący wokół tłum. Dopiero gdy się na nim znalazłem, zdałem sobie sprawę z jego ogromu, po prostu arena znajdowała się o wiele metrów poniżej poziomu ulicy.

Usiadłem obok jakiejś matrony, która uśmiechnęła się do mnie uprzejmie i skinęła mi głową. Z prawej strony było wolne miejsce, choć minęła już druga. Spojrzałem na zegarek, w tej chwili zaczął się ulewny deszcz, szczęśliwy byłem, że matrona zaproponowała mi, bym się schronił pod jej parasol. Wskazała mi zachodnią stronę stadionu i pożyczyła lornetkę. – To tam zasiądzie Führer – oznajmiła. Podziękowałem jej i choć w najmniejszym stopniu nie byłem tym zainteresowany, wpatrzyłem się w podium, na którym pełno było wojskowych i wszechobecnych SS-manów, wszyscy tam mokli. Inge będzie zachwycona, pomyślałem. Ale Führera jeszcze nie było.

– Wczoraj przyszedł dopiero o piątej – wyjaśniła matrona. – Dziś jest taka straszna pogoda, że w ogóle nie powinien przychodzić! – Wskazała na moje puste ręce. – Nie ma pan programu? – Myślałem, że chce mi go pożyczyć, ale ku mojemu zakłopotaniu zaczęła czytać głośno.

– Dziś po południu zaczniesz się od biegów przez płotki na czterysta metrów. Potem

półfinały i finały biegów na sto metrów. Obawiam się, że nasz niemiecki zawodnik nie ma szans pobić tego amerykańskiego Murzyna, Owensa. Wczoraj biegł jak gazela. – Już chciałem zrobić jakąś mało patriotyczną uwagę o tzw. rasie panów, ale usiadła koło mnie Marlene Sahn i ocaliła mnie przed zdradą stanu.

– Dziękuję, że pan przyszedł, Herr Gunther. I przepraszam za wczoraj. Byłam bardzo niegrzeczna. A pan przecież chciał mi pomóc, prawda?

– Tak.

– Nie mogłam w nocy spać, wciąż myślałam o tym, co pan wczoraj powiedział – tu chwilę się zawahała – co pan powiedział o Evie.

– O kochance Paula Pfarra?

Skinęła głową.

– To pani przyjaciółka?

– Nie jest bliską przyjaciółką, ale dobrze się znamy. I dziś rano postanowiłam panu zaufać. Zaproponowałam panu spotkanie tutaj, bo wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. To dlatego się spóźniłam. Chciałam się upewnić, że nikt za mną nie idzie.

– Gestapo?

– No cóż, na pewno nie Międzynarodowy Komitet Olimpijski, Herr Gunter.

Uśmiechnąłem się, ona również.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem.

Rozpięła pod szyją płaszcz koloru terakoty, miała na sobie bawełnianą granatową sukienkę, której wycięcie pozwalało obejrzeć sporą połać opalonych piersi. Zaczęła grzebać w przepastnej torbie z brunatnej skóry.

– No tak – zaczęła zdenerwowanym tonem. – Po śmierci Paula zadawano mi setki pytań.

– O co pytali?

– O wszystko. W którymś momencie sugerowali nawet, że jestem jego kochanką. – Wyciągnęła z torby ciemnozielony kalendarz i wręczyła mi go. – Schowałam go, to prywatny kalendarzyk Paula Pfarra. Biurowy terminarz prowadziłam ja i oddałam go gestapo.

Obracałem kalendarzyk w rękach nie zaglądając do środka. Najpierw Six, teraz Marlene, dziwna rzecz, ile to spraw ludzie usiłują ukryć przed policją. A może nie takie dziwne? Widać dobrze ją znają.

– Dlaczego to pani zrobiła?

– Bo nie chciałam narażać Evy.

– To czemu go pani po prostu nie spaliła? Tak byłoby bezpieczniej i dla niej, i dla

pani.

Zafrasowała się, pewnie do tej pory sama nie uświadomiła sobie, dlaczego tak postąpiła.

– Chyba myślałam, że jeśli ten kalendarz trafi we właściwe ręce, to pomoże to zidentyfikować mordercę.

– A jeśli okaże się, że pani przyjaciółka miała z tym coś wspólnego? Zabłyśły jej oczy, rozgniewała się.

– Nigdy w to nie uwierzę – oświadczyła. – Ona nikomu nie wyrządziłaby krzywdy.

Wydąłem wargi i pokiwałem głową.

– Niech mi pani o niej opowie.

– Zaraz, zaraz, Herr Gunther. – Zacisnęła usta. Marlene Sahn nie należała do osób, które dają się ponieść uczuciom; zacząłem się zastanawiać, czy Gestapo starannie wybiera ten typ kobiet, czy też one stają się takie pod wpływem swojej pracy.

– Przede wszystkim musi pan zrozumieć jedno.

– Słucham.

– Po śmierci Paula starałam się dyskretnie dowiedzieć, co stało się z Evą. Bez rezultatu. Ale zaraz do tego wrócę. Zanim panu cokolwiek powiem, musi mi pan obiecać, że jeśli pan ją odzuka, namówi ją pan, by się zgłosiła na policję. Jeśli zaaresztuje ją gestapo, to się dla niej bardzo źle skończy. Więc proszę pana o uprzejmość, stawiam to jako warunek. Inaczej nic panu nie powiem.

– Obiecuję. Zrobię dla niej, co będę mógł. Muszę jednak panią uprzedzić, że wszystko wskazuje na to, że jest w tę sprawę zamieszana. I chyba dziś wieczorem zamierza wyjechać za granicę. Więc nie mamy dużo czasu.

Marlene przez chwilę zagryzała wargi wpatrując się w szykujących się do biegu plotkarzy. Nie uległa podnieceniu tłumu, który umilkł, gdy starter podniósł pistolet. Padł strzał, i Marlene zaczęła mówić:

– Ona naprawdę wcale nie miała na imię Eva. Tak nazwał ją Paul. Zawsze nadawał ludziom inne imiona. Lubił aryjskie imiona, takie jak Siegfried czy Brunhilde. Eva nazywała się naprawdę Hannah, Hannah Roedl, ale Paul oświadczył, że Hannah to żydowskie imię i będzie do niej mówił Eva.

Tłum zaczął wiwatować. Amerykanin wygrał pierwszy bieg.

– Paul nie był szczęśliwy z żoną, nigdy mi jednak o tym nie opowiadał. Byliśmy w przyjaźni i często mi się zwierzał, ale nie wspominał o żonie. Któregoś wieczoru zabrał mnie do kasyna gry i tam spotkaliśmy Evę. Była krupierem. Nie widziałam jej od wielu miesięcy.

Poznałyśmy się pracując w Urzędzie Skarbowym. Była mocna w rachunkach. To pewnie dlatego zastała krupierem. Zarabiała dwa razy tyle i miała okazję poznać interesujących ludzi.

Podniosłem do góry brwi, mnie osobiście ci, którzy chodzą grać w kasynie, wydawali się wyjątkowo nieciekawi, nic jednak nie powiedziałem nie chcąc się jej narazić.

– Przedstawiłam jej Paula i zauważyłam, że się sobie spodobali. Paul był bardzo przystojny, a Eva naprawdę śliczna. W miesiąc później spotkałyśmy się i powiedziała mi, że nawiązała romans z Paulem. Trochę się zgorszyłam, ale doszłam do wniosku, że to nie moja sprawa. Przez jakiś czas – chyba przez pół roku – często się widywali. Aż do śmierci Paula. W tym kalendarzu znajdzie pan daty ich spotkań.

Otworzyłem kalendarz i zerknąłem na datę śmierci Paula. Przeczytałem uważnie wszystkie notatki.

– Wynika z tego, że w dniu śmierci Paula byli umówieni na wieczór. Marlene milczała. Zacząłem odwracać wstecz kartki kalendarza.

– O, widzę tu znane mi nazwisko. Gerhard von Greis. Czy pani coś o nim wie? – Zapaliłem papierosa i dorzuciłem: – Chyba już pora, by opowiedziała mi pani o tej waszej komórce w gestapo.

– Paul był z niej bardzo dumny. – Westchnęła. – Był takim prawym człowiekiem.

– A był – burknąłem. – Ilekroć spotykał się z inną kobietą, marzył tylko o tym, żeby być w domu z własną żoną.

– Wie pan, Herr Gunther, to szczerą prawdą. Myślę, że tak naprawdę było. Nie przestał kochać Grete, choć jednocześnie z jakichś powodów zaczął ją nienawidzić.

Wzruszyłem ramionami.

– Ludzie bywają dziwni.

Parę minut milczała, rozpoczął się następny bieg przez płotki. Ku zachwytowi tłumu wygrał zawodnik niemiecki, Nottbruch. Matronę ogarnęło szaleństwo, zerwała się i wymachiwała programem.

Marlene znów poszperała w torbie i wyjęła kopertę.

– Oto kopia pisma upoważniającego Paula do założenia tej komórki – powiedziała wręczając mi kartkę. – Pomyślałam sobie, że może zechce pan na nie rzucić okiem. Lepiej pan zrozumie, na czym polegało zadanie Paula.

Przeczytałem pismo. Brzmiało następująco:

Reichsführer SS, Zwierzchnik

Niemieckiej Policji w Ministerstwie

Spraw Wewnętrznych Rzeszy
o – Kds g2(o/RW) Nr 22 11/35

Berlin PZ7

6 listopada 1935

Unter den Linden, 74

tel. 120 034

centrala 120 037

Pilne – Do rąk własnych

Hauptsturmführera dra Paula Pfarra

Chodzi mi o bardzo poważną sprawę. O korupcję w szeregach pracowników Rzeszy. Należy przestrzegać jednej generalnej zasady – urzędnicy państwowi muszą być ludźmi uczciwymi, przyzwoitymi, lojalnymi i koleżeńskimi wobec tych, z którymi łączy ich braterstwo krwi. Osobnicy, którzy się temu nie podporządkują, choćby sprzeniewierzyli tylko jedną markę – zostaną bezlitośnie ukarani.

Jak panu wiadomo, podjąłem już kroki, by wyplenić korupcję z szeregów SS i wielu nieuczciwych członków SS zostało wyeliminowanych. Führer życzy sobie, by zajął się pan korupcją, która kwitnie w Niemieckim Froncie Pracy. W związku z tym, otrzymuje pan stopień Hauptsturmführera i będzie pan odtąd podlegał bezpośrednio mnie.

Musimy wyplenić wszelkie formy korupcji, nakazuje nam to miłość do naszego narodu.

Heil Hitler

(podpis)

Heinrich Himmler

– Paul bardzo się starał – powiedziała Marlene. – Wykrył wielu winowajców i zostali przykładowo ukarani.

– Wyeliminowani – powtórzyłem słowa Reichsführera.

Głos Marlene stwardniał.

– Byli wrogami Rzeszy.

– Byli, byli... – Czekałem, co jeszcze powie, ale widząc, iż przygląda mi się podejrzliwie, dorzuciłem: – Jasne, że powinni byli zostać ukarani, zupełnie się z panią zgadzam. Proszę sobie nie przerywać.

Marlene skinęła głową.

– Paul zajął się ostatnio Związkiem Metalowców i dotarły do niego plotki o roli, jaką w nim odgrywa jego własny teść, Hermann Six. Z początku je zlekceważył. Po jakimś czasie jednak postanowił go nagle zniszczyć. I zamieniło się to w prawdziwą obsesję.

– Kiedy to nastąpiło?

– Dokładnie nie pamiętam. Ale od tego czasu zaczął pracować do późnej nocy i nie odpowiadał na telefony żony. I to mniej więcej wtedy zaczął spotykać się z Evą.

– A na czym polegały przestępstwa taty Sixa?

– Skorumpowani urzędnicy DAF-u składali fundusze Związku Metalowców w banku Sixa.

– Chce pani powiedzieć, że ma on także i bank?

– Jest głównym udziałowcem Deutsche Kommerz Bank. I Six, żeby się im odwdziżyć, udzielał im nisko oprocentowanych pożyczek.

– A co z tego miał?

– Bank mógł się wykazać dużymi kapitałami, wypłacał zaś od tych depozytów bardzo niewielkie odsetki.

– Proste i nieskomplikowane.

– To nie wszystko – parsknęła z oburzenia. – Paul podejrzewał, że jego teść mocno te fundusze nadwerężył.

– W jaki sposób?

– Obracając akcjami. Od każdej transakcji brał procent, to się nazywa należną prowizją. I dzielił się nią z bonzami związku. Ale trudno to było udowodnić. Paul starał się o założenie podsłuchu na telefon Sixa, odpowiednie władze jednak odmówiły. Paul twierdził, że podsłuch istnieje, ale instytucja, na której zlecenie został założony, nie chce się dzielić informacjami. Szukał więc innych sposobów. Odkrył, że premier ma zaufanego człowieka, w którego posiadaniu znajdują się dokumenty kompromitujące Sixa. Zresztą nie tylko Sixa. Człowiekiem tym był Gerhard von Greis. W przypadku Sixa Göring wykorzystywał te informacje, by zmusić go do poparcia swojej polityki ekonomicznej. Paul spotkał się z von Greisem i ofiarował mu ogromną sumę za udostępnienie odpowiednich dokumentów. Von Greis odmówił. Paul utrzymywał, że von Greis się boi.

Spojrzała na stadion, miały się zacząć półfinały biegów na sto metrów, zainteresowała się. Wyniesiono plotki, zawodnicy rozpoczęli rozgrzewkę, wśród nich był ten, którego przyszedł obejrzyć tłum – Jesse Owens. Przez chwilę widziała tylko tego murzyńskiego szybkiego biegacza. – Wspaniały, prawda? – powiedziała. – Myślę o Owensie. On stanowi klasę sam dla siebie.

– Ale Paulowi udało się zdobyć te dokumenty?

Skinęła potakująco głową.

– Paul był gotów na wszystko. W takich wypadkach potrafił się zachowywać bardzo bezwzględnie.

– Nie wątpię.

– W Gestapo na Prinz Albrecht Strasse jest wydział zajmujący się stowarzyszeniami, klubami i DAF-em. Paul namówił ich, by przygotowali nakaz aresztowania von Greisa. I posłali po niego komando do specjalnych poruczeń.

– Co to właściwie jest?

– Mordercy. – Pokręciła głową. – Nie radziłabym panu znaleźć się w ich rękach. Chodziło o to, żeby przerazić von Greisa, tak przerazić, by zrozumiał, że Himmler jest potężniejszy od Göringa, że powinien bardziej niż premiera bać się Gestapo. Ostatecznie Himmler odebrał Göringowi kontrolę nad gestapo, prawda? No i co się stało z poprzednim szefem Gestapo, Dielsem, człowiekiem Göringa? Wszystko to wytłumaczyli von Greisowi. Powiedzieli mu, że czeka go to samo i że jego jedyną szansą jest ścisła współpraca, jeśli nie chce się narazić Reichsführerowi SS i znaleźć w kacie. Przekonali go. Każdego by przekonali. Dał Paulowi wszystkie dokumenty. Paul przez wiele wieczorów ślęczał nad nimi w domu. I został zamordowany.

– A dokumenty ukradziono?

– Tak.

– Czy wie pani, jakie to były dokumenty?

– Szczegółów nie znam. Nigdy tych dokumentów nie widziałam. Wiem tyle, co mi powiedział. Podobno udowadniały, bez cienia wątpliwości, że Six miał do czynienia ze zorganizowanym światem przestępczym.

Rozległ się wystrzał, Jesse Owens świetnie wystartował i po pierwszych trzydziestu metrach wyszedł na czoło. Siedząca obok mnie matrona znów się zerwała. Nie miała racji porównując Owensa do gazeli. Patrząc na pełne gracji ruchy Murzyna, który stanowił żywe zaprzeczenie tych pomylnych teorii o aryjskiej wyższości, widziałem w nim po prostu prawdziwego mężczyznę. Biegł tak, jakby od tego zależał los ziemi, jeśli istniała rasa panów, to on niewątpliwie do niej należał. Jego zwycięstwo powitało ogólne hurra niemieckiej publiczności; ucieszyło mnie, że po raz pierwszy dzisiaj tłum dał wyraz swojemu entuzjizmowi. Może jednak, pomyślałem, Niemcy nie pragną wojny. Spojrzałem w stronę podium zarezerwowanego dla Hitlera i dostojników partyjnych, chciałem sprawdzić, czy widzą, jak wielką popularność zdobył wśród obecnych czarny Amerykanin. Ale wciąż nie

było tam jeszcze przywódców Trzeciej Rzeszy.

Podziękowałem Marlene i opuściłem stadion. Jadąc taksówką w kierunku jezior zacząłem rozmyślać o biednym Gerhardzie von Greisie. Porwało go i nastraszyło gestapo, a zaraz potem porwali go, storturowali i zabili ludzie Czerwonego Dietera. Można to nazwać prawdziwym pechem.

Przejechaliśmy przez most Wannsee i jechaliśmy wzdłuż brzegu jeziora. Na plaży wisiała czarna wywieszka „Żydom wstęp wzbroniony”. Taksówkarz roześmiał się.

– Dobry dowcip z tymi Żydami. Nikogo tu przecież nie ma. Komu by się chciało w taką pogodę pchać na plażę.

Pod restauracją „Szwedzki Kącik” paru zatwardziałych optymistów czekało na zmianę pogody. Taksówkarz nie szczędził im szyderczych uwag. Potem skręcił w Koblanck Strasse i pojechał w dół Lindenstrasse. Kazałem mu się zatrzymać na rogu Hugo-Vogel Strasse.

Było to spokojne, porządne, pełne zieleni przedmieście, spore wille, a przed nimi dobrze utrzymane trawniki, od ulicy oddzielały je przyszczyżone żywopłoty. Zobaczyłem na chodniku moje auto, ale nigdzie nie było Inge. Czekając na resztę, rozglądałem się niespokojnie. Bałem się, że coś jej się stało, machinalnie wręczyłem taksówkarzowi zbyt duży napiwek, a on zaproponował natychmiast, że może na mnie poczekać. Pokręciłem przecząco głową. Potem poszedłem w kierunku mego auta zaparkowanego o jakieś trzydzieści metrów od willi Haupthändlera. Drzwiczki nie były zamknięte, usiadłem więc i chwilę czekałem, mając nadzieję, że Inge zaraz wróci. Włożyłem do schowka wręczony mi przez Marlene Sahm kalendarz, po czym wyjąłem spod siedzenia rewolwer. Wsadziłem go do kieszeni i wysiadłem z auta.

Pod posiadanym przeze mnie adresem stał brudnobrunatny dwupiętrowy dom, dosyć zapuszczony. Z zamkniętych okiennic oblażyła farba, w ogrodzie zatknięto szyld: „Na sprzedaż”. Wyglądało na to, że nikt tu już od dawna nie mieszka. Wymarzona kryjówka. Niski murek oddzielał mizerny trawnik od chodnika, przy którym był zaparkowany błękitny Adler. Przelazłem przez murek i obszedłem wokoło dom, ostrożnie wymijając zardzewiałą kosiarkę i schylając się pod gałęziami drzewa. Przy rogu domu wyjąłem i odbezpieczyłem mego Walthera.

Zgięty w pół przeszedłem pod oknem, drzwi z tyłu były uchylone. Ze środka domu dobiegały przytłumione głosy. Pchnąłem drzwi lufą i zobaczyłem na kuchennej podłodze ślady krwi. Cichutko wszedłem do środka, poczułem skurcz żołądka, strasznie się bałem, że Inge zajrzała tu sama i spotkało ją coś złego. Zacerpnałem powietrza i przytuliłem do twarzy rewolwer. Kojący chłód. Uklęknąłem przed drzwiami i zajrzałem przez dziurkę od klucza. Z

drugiej strony była sień, wokół sieni drzwi. Nacisnąłem klamkę.

Głosy dochodziły z frontowej części domu, były to głosy Haupthändlera i Jeschoneka. Po chwili dołączył do nich głos kobiety, przez sekundę pomyślałem, że to Inge, ale usłyszałem śmiech i zrozumiałem, iż się mylę. Teraz najbardziej mi zależało, by dowiedzieć się, gdzie jest Inge, pal sześć klejnoty Sixa. Postanowiłem więc stawić tej trójce czoło. Z tego, co usłyszałem, wywnioskowałem, że czują się bezpiecznie, niemniej wchodząc strzeliłem w sufit.

– Nie ruszać się! – wrzasnąłem, pewien, że ich dostatecznie wystraszyłem i tylko wariat sięgnąłby po broń. Ale Gert Jeschonnek okazał się takim właśnie wariatem. Trudno jest trafić w cel, który się rusza, zwłaszcza jeśli jest nim człowiek też trzymający w ręku broń. Za wszelką cenę należało go zatrzymać. I zatrzymałem. Padł martwy. Nie celowałem w głowę, ale w nią właśnie trafiłem. Tymczasem Haupthändler rzucił się na mnie i usiłował mi wyrwać pistolet. Upadliśmy na podłogę. Zawołał do stojącej pod kominkiem kobiety, by wzięła pistolet. Miał na myśli pistolet Jeschoneka, ale kobieta zawahała się, nie była pewna, czy przypadkiem nie chodzi o mój. Przez ten czas udało mi się Haupthändlerowi wyrwać i zdzielić go moim Waltherem w twarz. Potem podniosłem głowę i zobaczyłem, że kobieta schyla się po pistolet Jeschoneka. Nie był to odpowiedni moment, żeby wykazywać się rycerskością, nie chciałem jednakże jej zabić. Zerwałem się i walnąłem ją w szczękę.

Włożywszy pistolet Jeschoneka do kieszeni nachyliłem się nad nim. Nie musiało się być przedsiębiorcą pogrzebowym, by skonstatować zgon. Wsadziłem papierosa między zaschłe wargi i usiadłem przy stole czekając, by Haupthändler i kobieta odzyskali przytomność. Przez zaciśnięte zęby wciągałem głęboko dym w płuca, które się wspaniale wędziły. Czułem się tak, jakby ktoś wygrywał na moich kiszkach niczym na gitarze.

Pokój był skąpo umeblowany, stała tu wytarta kanapa, stół i kilka krzeseł. Na stole leżała kolia Sixa. Wyrzuciłem papierosa i przysunąłem do siebie diamenty. Były zimne i twarde, stukwały o siebie jak kostki. Nie mogłem wyobrazić ich sobie na szyi kobiety, czułaby się jak w kanciastej obroży. O stół oparta była teczka. Zajrzałem do niej. Zawierała pliki banknotów – tak jak oczekiwałem, były to dolary i funty – oraz dwa fałszywe paszporty państwa Teichmüller, to samo nazwisko widziałem już w mieszkaniu Haupthändlera na biletach lotniczych. Były świetnie podrobione, nietrudno było je sobie sprokurować pod warunkiem, że znało się kogoś w biurze paszportowym i rozporządzało odpowiednią kwotą pieniędzy. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że Jeschonnek w ten sposób dodatkowo zarabiał na Żydach, od których skupował biżuterię.

Kobieta jęknęła i usiadła. Trzymając się za policzek i głośno szlochając podeszła

pomóc Haupthändlerowi, który próbował przewrócić się na bok. Podparła go, a on otarł zakrwawiony nos i usta. Marlene Sahn mówiła o jej wielkiej urodzie, ja tej urody nie widziałem, choć niewątpliwie była przystojna, wyglądała dystyngowanie, inaczej ją sobie wyobrażałem, gdy usłyszałem, że pracowała w kasynie.

– Bardzo mi przykro, że musiałem panią znokautować, pani Teichmüller. Czy tak mam do pani mówić, czy może woli pani używać imienia Hannah albo Eva?

Patrzyła na mnie z nienawiścią.

– A więc wcale nie jest pan taki sprytny – powiedziała. – Nie wiem, czemu ci dwaj idioci próbowali pana sprzątnąć.

– W obecnej chwili wygląda na to, że mieli rację.

Haupthändler splunął na podłogę i spytał:

– No i co teraz?

Wzruszyłem ramionami.

– To zależy. Może sfabrykujemy jakąś historyjkę. Zbrodnia z namiętności czy też coś w tym rodzaju. Mam na Alexie przyjaciół. Ale tylko jeśli mi pan pomoże. Pracuje ze mną kobieta – wysoka, brązowe włosy, dobrze zbudowana, ma na sobie czarny płaszcz. Na podłodze w kuchni zobaczyłem ślady krwi i zacząłem się o nią niepokoić. Co państwo o niej wiedzą?

Eva parsknęła śmiechem, Haupthändler zawołał:

– Idź pan do diabła!

– W przeciwnym razie – powiedziałem, by ich przerazić – za morderstwo z premedytacją płaci się głową. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi duże pieniądze. Kiedyś widziałem wykonanie wyroku w więzieniu Plötzen. Goelpl, kat, był we fraku i w białych rękawiczkach. Bardzo elegancka egzekucja.

– Herr Gunther, będzie pan uprzejmy rzucić broń. – Ktoś stojący w drzwiach zwrócił się do mnie takim tonem, jakby napominał dziecko. Zrobiłem, co mi kazano. Nie dyskutuje się z karabinem maszynowym, twarz tego człowieka przypominała rękawicę bokserską, wiedziałem, że nie zawaha się mnie zastrzelić, jeżeli pisnę słówko. Facet wszedł do pokoju, towarzyszyło mu dwóch mężczyzn ze spluwami.

– Wy tam, wstawać! – zawołał mężczyzna z karabinem. Eva pomogła Haupthändlerowi podnieść się na nogi. – Twarzą do ściany! Pan też, Herr Gunther!

Tapeta była dość obskurna. I jak na mój gust zbyt ciemna. Wpatrywałem się w nią, gdy mnie rewidowano.

– Skoro znacie moje nazwisko, to musicie wiedzieć, że jestem prywatnym

wywiadowcą. A ta para jest poszukiwana za morderstwo.

 Nie zobaczyłem gumowej pałki, ale usłyszałem jej świst. Padając na ziemię zdążyłem pomyśleć, że ostatnio jakoś zbyt często dostaję w łeb.

Rozdział 16

Dzwonki i bęben. Co to za melodia? „Tą, którą kocham jest Anna z Tharau”? Nie, to nie jest żadna melodia, to dzwoni tramwaj nr 51, jadący do komisariatu na Schonhäuser Allee. Bicie dzwonu, podskakuje auto, którym pędzimy Schillerstrasse. Tak, to wielki dzwon olimpijski ogłasza otwarcie Igrzysk. Strzał startera, tłum wyje, Joe Louis sprintem zbliża się do mnie i kładzie mnie po raz drugi na deskach. Junkers z hukiem przemierza czarne niebo w stronę Croydon, uwożąc mój zamieniony w papkę mózg. Usłyszałem własne słowa:

– Wyzućcie mnie przed więzieniem w Plötzen.

Pękała mi głowa. Próbowałem ją podnieść, okazało się, że mam z tyłu skute ręce, ból był straszny i wszystko przestało mnie obchodzić, należało tylko uważać, by nie drgnąć.

Byłem półprzytomny, gdy wyciągano mnie z auta i wleczono po schodach. Ktoś zdjął mi kajdanki i posadził na krześle, musiano mnie podtrzymywać, bym z niego nie spadł. Jakiś cuchnący karbolem mężczyzna w mundurze przeszukał mi kieszenie. Wywrócił je podszewką do góry. Czuję, że kołnierz marynarki przylepił mi się do szyi, dotknąłem jej, na palcach miałem lepłą krew. Potem ktoś obejrzał moją głowę i oznajmił, że będę w stanie odpowiedzieć na parę pytań – równie dobrze mógłby mi kazać zagrać w piłkę. Przyniesiono mi kawę i papierosy.

– Wie pan, gdzie się pan znajduje?

Chciałem pokręcić przecząco głową, ale nie było to możliwe, więc coś wymamrotałem.

– Jest pan w Kripo Stelle na Königs Weg w Grunewald. – Jestem Kriminalinspektorem, nazywam się Hingsen – powiedział mężczyzna. – A to jest Wachmeister Wentz. – Wskazał głową na mężczyznę w mundurze, tego, od którego tak cuchnęło karbolem. – Może zechce nam pan podać swoją wersję wydarzeń.

– Gdybyście mnie lżej uderzyli, łatwiej by mi było sobie przypomnieć.

Inspektor spojrział na sierżanta, który wzruszył ramionami.

– Nikt z nas pana nie tknął – oświadczył.

– To co mi się stało?

– Powtarzam, że nikt pana nie tknął.

Dotknąłem głowy i przyjrzałem się zaschniętej krwi na palcach.

– Czyli to ja sam zraniłem się czesząc? – zapytałem.

– Proszę odpowiadać na pytania – oświadczył inspektor. Usłyszałem własne westchnienie.

– O co chodzi? Nie rozumiem. Widział pan moją legitymację, prawda?

– Tak – odparł inspektor. – Proponuję, żeby zaczął pan od początku. Proszę przyjąć, że my nie wiemy nic.

Oparłem się pokusie, by powiedzieć to, co samo nasuwało się na język, i zacząłem opowiadać, starając się mówić możliwie jasno.

– Powierzono mi dochodzenie – powiedziałem. – Haupthändler i ta kobieta popełnili morderstwo.

– Chwileczkę – przerwał mi inspektor. – Kto to jest Haupthändler? Usilnie próbowałem się skoncentrować.

– Oni przybrali teraz nazwisko Teichmüller. Haupthändlerowi i Evie dostarczył tych paszportów Jeschonnek.

Inspektor zakołysał się.

– No tak. Gert Jeschonnek. Znaleźliśmy jego zwłoki, prawda? – Zwrócił się do sierżanta, który z papierowej torby wyciągnął za sznurek mojego Walthera.

– Czy to pana pistolet, Herr Gunther? – spytał sierżant. – Tak, tak – potwierdziłem. – To ja go zabiłem. W samoobronie. Wyjął broń. Przyszedł tam na spotkanie z Haupthändlerem. Czyli z Teichmüllerem. – Znow zobaczyłem, że wymieniają spojrzenia. Zacząłem czuć się nieswojo.

– Niech nam pan opowie o tym Teichmüllerze – zażądał sierżant.

– O Haupthändlerze – poprawiłem go z gniewem. – Mam nadzieję, że go złapaliście?

Inspektor wydał usta i pokręcił przecząco głową.

– A co z tą kobietą, Evą?

Inspektor założył ręce i patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem.

– No, Gunther. Proszę nam nie pleść banialuków. Sąsiad usłyszał strzał i nas zawiadomił. Pan leżał nieprzytomny na ziemi, obok leżały zwłoki Jeschonneka i rozrzucone banknoty. Nie było żadnych Teichmüllerów ani Haupthändlera, ani Evy.

– A diamenty?

Inspektor pokręcił przecząco głową. Był to tłusty, znużony mężczyzna o poczerńiałych od nikotyny zębach. Usiadł naprzeciwko mnie i poczęstował mnie następnym papierosem.

Sam też zapalił. Kiedy znów się odezwał, mówił niemal przyjaznym tonem.

– Pracował pan kiedyś w policji, prawda?

Skinąłem głową, znów ten straszny ból.

– Tak, wydawało mi się, że znam pana nazwisko. I o ile dobrze pamiętam, cieszył się pan świetną opinią.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Więc nie muszę panu mówić, jak to wszystko wygląda w naszych oczach.

– Źle, co?

– Gorzej niż źle. – Inspektor międlił w ustach papierosa i mrugnął, kiedy dym trafił mu do oczu. – Wezwać panu adwokata?

– Nie, dziękuję. Ale jeśli chce mi pan oddać przysługę, niech pan zadzwoni do mojej asystentki, Inge Lorenz, i da jej znać, żeście mnie zatrzymali.

Dał mi ołówek i kawałek papieru, na którym napisałem trzy numery telefonu. Inspektor robił wrażenie przyzwoitego człowieka i bardzo chciałem mu się zwierzyć, że Inge znikła przyjechawszy moim autem nad Wannsee. Ale to oznaczałoby, że znajdą mój wóz, a w nim kalendarz, który mi wręczyła Marlene Sahn, i w ten sposób ją narażę. Może Inge się po prostu źle poczuła i wróciła do domu taksówką. Może...

– Ma pan jeszcze przyjaciół w policji? Na Alexie?

– Owszem, znam dobrze Bruna Stahleckera. On chętnie zaświadczy, że jestem wyrozumiały dla dzieci i dla zabłąkanych psów. Ale to by było na tyle.

– Marna sprawa.

Chwilę się zastanawiałem. Jedno mogłem zrobić, wezwać tych dwóch zbirów z gestapo, którzy zdemolowali mi biuro, i podzielić się z nimi moimi informacjami. Nie będą zachwyceni. Jak nic wyląduję w kacecie. Ale nie miałem dużego wyboru – jeśli tego nie zrobię, zostanę oskarżony o morderstwo.

Kriminalkommissar Jost pyknął z fajki.

– To interesująca teoria – powiedział. Dietz przestał się bawić wąsami i pogardliwie parsknął. Jost chwilę patrzył na inspektora, potem spojrzał na mnie. – Ale jak pan widzi, mojemu koledze wydaje się zupełnie nieprawdopodobna.

– Bardzo delikatnie powiedziane – mruknął Dietz. Był jeszcze ohydniejszy niż wtedy, kiedy straszył moją sekretarkę i stłukł ostatnią butelkę dobrej whisky.

Jost był wysokim mężczyzną o ascetycznej twarzy, na której permanentnie malowało się zdumienie, wystająca z kołnierzyka wychudła szyja wyglądała jak szyja żółwia.

– Ale teoretyzowanie nie należy do jego mocnych stron – dorzucił. – To człowiek czynu, prawda, Dietz? – Dietz spojrział na niego ponuro i Herr Kommissar się uśmiechnął. Potem zdjął okulary i zaczął je czyścić ruchem człowieka, który w sposób oczywisty bardziej ceni sobie własny intelekt niż choćby najdoskonalszą sprawność fizyczną. Założył z powrotem okulary, wyjął z ust fajkę i ziewnął.

– Co wcale nie oznacza, że w Sipo nie ma miejsca dla ludzi czynu. Ale decyzje muszą podejmować ci, co myślą. Jak pan przypuszcza, czemu Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Germania” nie poinformowało nas o zaginięciu tego naszyjnika?

Zaskoczył mnie.

– Może nikt ich o to nie pytał – powiedziałem niemądrze. Nastąpiła dłuższa cisza.

– Sejf został przecież wypatroszony – zdenerwował się Dietz. – Towarzystwo Ubezpieczeniowe powinno samo poinformować nas, co zginęło.

– Czemu? – spytałem. – Nikt jeszcze nie upomniał się o odszkodowanie. Zatrudnili mnie na wszelki wypadek.

– Czy chce pan powiedzieć, że oni wiedzieli, iż w sejfie znajduje się kosztowny naszyjnik – spytał Jost – i ukryli ten fakt, który mógł się stać cenną poszlaką? I próbowali nie zapłacić odszkodowania?

– Ale to przecież wam nie przyszło do głowy się spytać – powtórzyłem. – Panowie, mówimy o ludziach interesu, nie o Pomocy Zimowej. Dlaczego mieliby stracić paręset tysięcy marek? I komu mieliby je wypłacić?

– Najbliższej rodzinie – oświadczył Jost.

– Nie wiedząc nawet, kto ma prawo do spadku? Zawracanie głowy. Ostatecznie w sejfie znajdował się nie tylko ten naszyjnik, prawda? – Jost nie zareagował. – Nie, Herr Kommissar, myślę, że pańscy ludzie tak byli przejęci zniknięciem papierów von Greisa, że zapomnieli dowiedzieć się, co oprócz nich leżało w sejfie Herr Pfarra.

Dietzowi bardzo się to nie spodobało.

– Nie mądrz się, ośle – zawołał. – Co, oskarżasz nas o brak kompetencji? Zapominasz chyba, że mamy przeciwko tobie dosyć zarzutów, by cię posłać do najbliższego kacetu.

Jost wskazał na mnie cybuchem fajki.

– Tu on ma rację, Herr Gunther. Może i nie jesteśmy doskonali, ale to pan podłożył głowę pod topór. – Pociągnął z fajki, ale nie było już w niej tytoniu. Napelnił ją.

– Sprawdzimy pańską historyjkę – powiedział i kazał Dietzowi zadzwonić do Lufthansy na Tempelhofie i sprawdzić, czy państwo Teichmüllerowie mają rezerwację na wieczorny lot do Londynu. Dietz zameldował, że mają. Jost zapalił fajkę i pykając oświadczył

mi:

– Jest pan wolny, Herr Gunther.

Dietz wyszedł z siebie, nawet inspektor z Grunewaldu wydawał się zaskoczony decyzją Josta. Ja też. Z trudem wstałem, oczekując, że Jost da Dietzowi znak, by wymierzył mi następny cios. Ale Jost siedział, spokojnie pykając z fajki. Przeszedłem przez pokój i nacisnąłem klamkę drzwi. Kiedy wychodziłem, zauważyłem, że Dietz patrzy w inną stronę, opanowując się z trudem, by się na mnie nie rzucić, co ściągnęłoby na niego niełaskę szefa. Wściekłość Dietza sprawiła mi nieliczną przyjemność, był to jedyny jasny punkt tego okropnego dnia.

Kiedy wychodziłem z komisariatu, siedzący przy biurku sierżant poinformował mnie, że pod żadnym z podanych przeze mnie numerów telefonu nikt się nie zgłasza. Znalazłem się na ulicy. Krótkotrwała radość z uwolnienia zamieniła się w niepokój o Inge. Byłem potwornie zmordowany, powinienem zatroszczyć się o ranę na głowie, którą na pewno należałoby zszyć, ale kiedy złapałem taksówkę, kazałem się zawieźć nad Wannsee, tam gdzie Inge zaparkowała moje auto.

W aucie nie znalazłem nic, co mogłoby mnie naprowadzić na trop, a stojący przed letnim domkiem Haupthändlera policyjny wóz rozwiął moje nadzieje, że uda mi się ten domek przeszukać i natrafić tam na jakiś ślad. Mogłem tylko objechać dookoła Wannsee i się za nią rozglądać.

Mieszkanie wydało mi się strasznie puste, zapaliłem wszystkie lampy i nastawiłem radio. Zadzwoiłem do mieszkania Inge – nikt się nie odezwał. Zadzwoiłem do biura. Zadzwoiłem nawet do „Morgenpost”, do Müllera, ale on wiedział o Inge Lorenz równie mało co ja, nie znał jej rodziny ani przyjaciół.

Nalałem sobie duży kieliszek brandy i wypilem jednym haustem, mając nadzieję, że to mnie znieczuli, że przestanę się tak strasznie martwić. Zagrzałem wodę na kąpiel. Kiedy kąpiel była gotowa, wypilem drugi kieliszek i naszykowałem trzeci. Woda była tak gorąca, że ugotowałby się w niej homar, ale nawet tego nie zauważyłem, gdyż cały czas rozmyślałem o tym, co stało się z Inge.

Potem zacząłem się zastanawiać, jakim cudem Jost wypuścił mnie po zaledwie godzinnym przesłuchaniu. Nikt by mnie nie przekonał, że uwierzył we wszystko, co mu powiedziałem, choć uważał się za wielkiego kryminologa. Wiedziałem, że cieszy się renomą współczesnego Sherlocka Holmesa. Z tego, co słyszałem, miał tyle wyobraźni, ile ma wywałaszony koń pociągowy. Dlaczego zwolnił mnie po tym jednym telefonie do Lufthansy

na Tempelhofie, zupełnie to do niego nie pasowało.

Wytarłem się ręcznikiem i położyłem. Przez chwilę zaglądałem do różnych szufladek w głowie, mając nadzieję, że znajdę coś, co pozwoli mi znaleźć trop. Nie znalazłem, zresztą tak naprawdę to wcale na to nie liczyłem. Ale gdyby była koło mnie Inge, zwierzyłbym się jej z moich przypuszczeń – odzyskałem wolność, gdyż zwierzchnicy Josta za wszelką cenę chcieli zdobyć papiery von Greisa, skłonni byli użyć do tego nawet człowieka, którego podejrzewali o morderstwo.

I powiedziałbym Inge, że ją kocham.

Rozdział 17

Obudziłem się z uczuciem straszliwej pustki, byłem rozczarowany, że nie mam kaca, kac otępia.

– No i co – szepnąłem sam do siebie, obmacując głowę i sam nie wierząc, że nie czuję bólu. – Piłem wczoraj na umór i nic mi z tego nie przyszło.

W kuchni zaparzyłem sobie mocnej kawy, była tak gęsta, że dałoby się krajać ją nożem, potem umyłem się. Przy goleniu pokaleczyłem się, kiedy potem nacierałem wodą kolońską twarz, o mało nie zemdlałem.

W mieszkaniu Inge wciąż nie odpowiadał telefon. Przeklinałem siebie i te moje rzekome umiejętności odnajdywania zaginionych osób. Zadzwoiłem na Alex do Bruna i poprosiłem, żeby sprawdził, czy nie zaaresztowało jej Gestapo. Kiedy ginie jagnię, nie ma sensu szukać tygrysa, skoro tuż obok grasuje stado wilków. Bruno obiecał mi zająć się tą sprawą, ale wiedziałem, że może upłynąć wiele dni, nim zdobędzie informacje. Niemniej całe przedpołudnie nie ruszałem się z domu w nadziei, że się odezwie – on albo nawet sama Inge. Wpatrywałem się w sufit, wpatrywałem się w ścianę, wreszcie znów zacząłem rozmyślać o sprawie Pfarrów. W porze obiadu dojrzałem do zadania kilku pytań. Bo nagle wiedziałem, komu powinienem je zadać.

Tym razem ciężka brama z kutego żelaza prowadząca do posiadłości Sixa była zamknięta. Założono łańcuch z kłódką, małą wywieszkę „Wstęp wzbroniony” zastąpiono dużą: „Wstęp surowo wzbroniony. Posiadłość prywatna”. Wyglądało na to, że Six zaczął drzeć o własną skórę.

Zaparkowałem wóz tuż pod murem, wsadziłem do kieszeni pistolet, wysiadłem z auta i wdrapałem się na jego dach. Stamtąd łatwo udało mi się wleźć na mur. Z drugiej strony rósł wiąz i po nim bez trudności zsunąłem się na ziemię.

Psy chyba nawet nie zawarczały, usłyszałem jednak, jak szeleszczą zeschłe liście, a potem tuż, tuż ciężkie dyszenie. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Wystrzeliłem w momencie, kiedy pies skakał mi do gardła. Strzał zabrzmiał niezbyt głośno, nie wyglądało na to, by udało

mi się położyć trupem tego rozjuszonego dobermana. Odetchnąłem głęboko, serce biło mi jak trzepaczka do jajek, instynktownie odwróciłem się, nie zapomniałem, że widziałem tutaj dwa psy. Szelest liści na wietrze prawie zagłuszał ciche powarkiwanie. Między drzewami ukazał się drugi doberman i zbliżył, ale dość niepewnym krokiem. Gdy podszedł do zamordowanego brata i zaczął go obwąchiwać, cofnąłem się o krok. Podniosłem rewolwer, zawył wiatr, a ja wypaliłem. Pies zaskowyczał i upadł. Przez chwilę ciężko dyszał, po chwili dyszenie ustało.

Schowałem rewolwer do kieszeni, wszedłem pomiędzy drzewa i ruszyłem w kierunku domu. Nawoływał paw, gdyby mi wlaź pod nogi, też bym go pewnie zastrzelił. Zabijanie wchodzi w nałóg.

Sztuka detektywistyczna to coś w rodzaju konstruowania łańcucha; musiałem znaleźć ogniwa łączące poszczególnych ludzi: Paula Pfarra, von Greisa, Bocka, Mutschmanna, Czerwonego Dietera Helffericha i Hermanna Sixa. Drugi był krótszy – Paul Pfarr, Eva, Haupthändler i Jeschonnek.

Nie zamierzałem zabijać Sixa. Ale nie wykluczałem tej możliwości, jeśli nie otrzymam rzetelnych odpowiedzi na kilka pytań. Lekko się więc zakłopotalem, gdy natknąłem się na milionera, który stał pod wielką jodłą i coś pod nosem nucił.

– O, to pan – powiedział spokojnie, zupełnie się nie przejmując, że widzi mnie tu tak nieoczekiwanie i w dodatku z bronią w ręku. – Myślałem, że to nocny dozorca. Przyszedł pan pewnie po pieniądze?

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć. Oświadczyłem:

– Zastrzeliłem pańskie psy. – I schowałem rewolwer do kieszeni.

– Tak? Wydawało mi się, że słyszę strzały. – Nie okazał ani strachu, ani irytacji.

– Proszę wejść – powiedział i ruszył w stronę domu, a ja za nim.

Kiedy podeszliśmy pod dom, zobaczyłem zaparkowane przed nim błękitne BMW Ilse Rudel i zacząłem się zastanawiać, czy ją znów ujrzę. Ale nagle moją uwagę przyciągnęła rozpięta nad trawnikiem markiza.

– Planują państwo przyjęcie?

– Hm... tak. Żona ma urodziny. Przyjdzie kilku przyjaciół.

– Tak zaraz po pogrzebie? – spytałem cierpkim tonem i Six to zauważył. Spojrzał w niebo, jakby szukając racjonalnego wytłumaczenia.

– Cóż, ja... – zaczął. I zaraz dorzucił: – Żałoba żałobą, ale życie musi toczyć się dalej.

– Odzyskał pewność siebie. – Uznałem, że postąpiłbym nie fair wobec mojej żony, odwołując to przyjęcie. Nasza pozycja społeczna narzuca nam towarzyskie obowiązki.

– Tak, o tym nie wolno zapominać, prawda? – spytałem. Nic nie odpowiedział,

podeszliśmy do frontowych drzwi i zastanawiałem, się czy nie zacznę wzywać pomocy. Pchnął drzwi i weszliśmy do holu.

– Gdzie lokaj? Nie ma go dzisiaj?

– Ma wolny dzień – odpowiedział Six, unikając mojego wzroku. – Ale jeśli zechce się pan czegoś napić, jest pokojówka. Pewnie po tych ekscytujących przeżyciach jest panu gorąco.

– Które przeżycia ma pan na myśli? – zapytałem. – Dzięki panu nie brakowało mi ostatnio ekscytujących przeżyć.

Uśmiechnął się kwaśno.

– Myślę o psach.

– O psach. Owszem, jest mi gorąco. Były to ogromne psy. Ale – nie chwaląc się, jestem dobrym strzelcem.

Weszliśmy do biblioteki.

– Ja też lubię strzelać – powiedział. – Poluję. Nigdy jednak nie zabiłem czegoś większego od bażanta.

– Wczoraj zastrzeliłem człowieka – oświadczyłem. – Drugiego człowieka w ciągu dwóch tygodni. Odkąd zacząłem pracować dla pana, Herr Six, zabijanie stało się dla mnie chlebem powszednim.

Sterczał przede mną w dość niezręcznej pozycji, splótł dłonie na karku. Odchrząknął i rzucił niedopałek cygara na puste palenisko kominka. Kiedy odezwał się, mówił zakłopotanym tonem, takim tonem zwykle się zwracać do starego zaufanego sługi, którego trzeba odprawić, bo nieoczekiwanie coś ukradł.

– Wie pan, bardzo jestem rad, że pan do mnie zaszedł – oznajmił. – Miałem zamiar zlecić jutro Schemmowi, temu mojemu prawnikowi, żeby wypłacił panu należną kwotę. Ale skoro już pan tu jest, zaraz panu wypiszę czek. – Tak szybko podszedł do biurka, że pomyślałem, iż ma w szufladzie broń.

– Wolałbym gotówkę.

Spojrzał na mnie bacznie, zobaczył, że trzymam rękę w kieszeni.

– Tak, rozumiem. – Nie otworzył szuflady, usiadł w fotelu i odsunął róg dywanika, pod którym był wpuszczony w podłogę mały sejf.

– Bardzo poręczny. W obecnych czasach nie można być dość ostrożnym – zauważyłem, rozkoszując się własnym brakiem taktu. – Ufać nie należy nawet bankom, prawda?

Oczy Sixa zwęziły się.

– Pan wybaczy, ale ostatnio straciłem poczucie humoru. – Otworzył sejf i wyjął z niego kilka paczek banknotów. – Mówiliśmy chyba o pięciu procentach. Czy czterdzieści tysięcy wyrówna nasze rachunki?

– Może pan spróbować.

Położył na biurku osiem paczek. Potem zamknął sejf, zakrył go dywanem i pchnął w moją stronę pieniądze.

– Niestety, to same setki.

Wziąłem jedną z paczek i zerwałem banderolę.

– Żeby tylko widniał na nich wizerunek Herr Liebiga, to nie będę grymasił.

Six wstał, uśmiechając się kwaśno.

– Myślę, Herr Gunther, że widzimy się po raz ostatni.

– Czy pan aby o czymś nie zapomniał?

Zaczął tracić cierpliwość.

– Nie, nie sądzę – oświadczył oschłym tonem.

– A jednak. – Włożyłem do ust papierosa i potarłem zapałkę. Nachyliłem głowę nad płomyczkiem, zaciągnąłem się parę razy i wrzuciłem zapałkę do popielniczki. – Zapomina pan o naszyjniku. – Six milczał. – Bo już go pan odzyskał, co? Albo wie pan przynajmniej, gdzie on się znajduje.

Pokręcił nosem. Miał minę człowieka, który nagle poczuł smród.

– Mam nadzieję, Herr Gunther, że nie będzie pan stwarzał niepotrzebnych trudności.

– A co z tymi dokumentami? Myślę o dowodach pańskich powiązań ze światem przestępczym, które tak pieczołowicie zgromadził pana zięć. Czy też sądzi pan, że Czerwony Dieter i jego banda namówią Teichmüllerów, by wyznali, gdzie się one znajdują. Tak?

– Pierwsze słyszę o Czerwonym Dieterze.

– Słyszał pan, słyszał, Six. To taki sam rzezimieszek jak pan. Płacił pan temu gangsterowi za łamanie strajków w pana stalowniach.

Six roześmiał się i zapalił cygaro.

– Gangsterowi? Doprawdy, Herr Gunther, ponosi pana wyobraźnia. Został pan sownie wynagrodzony, będę więc bardzo wdzięczny, jeśli się pan natychmiast pożegna. Jestem człowiekiem zajęтым.

– Chętnie wierzę, że trudno jest się panu uporać z robotą bez pomocy sekretarza. Chciałbym pana poinformować, że Teichmüller, którego w tej chwili obrabiają zbiry Dietera, to właśnie pański sekretarz Hjalmar Haupthändler.

– Niech pan nie będzie śmieszny – odparł. – Hjalmar pojechał do Frankfurtu

odwiedzić swych przyjaciół.

Wzruszyłem ramionami.

– Nietrudno będzie poprosić chłopców Dietera, by dowiedzieli się, jak naprawdę nazywa się Teichmüller. Zresztą pewnie im to już wyznał. Ale można im wybaczyć, że mu nie uwierzyli, skoro znaleźli przy nim nowy paszport na nazwisko Teichmüllera. Kupił go od tego samego człowieka, któremu miał zamiar sprzedać kolię. Jeden dla siebie, drugi dla tej kobiety.

– A ta kobieta jak się niby nazywa?

– Hannah Roedl, choć pański zięć nazywał ją Evą. Byli kochankami do chwili, gdy go zamordowała.

– To kłamstwo. Paul nie miał żadnej kochanki, był bardzo oddany mojej Grete.

– Niech się pan nie wygłupia, Six. Co pan im takiego zrobił, że Pfarr odwrócił się od żony? Że zaczął pana aż tak nienawidzić, by próbować pana wsadzić za kratki?

– Jeszcze raz powtarzam, że oboje byli sobie bardzo oddani.

– Nie wykluczam, że pojednali się tuż przed śmiercią, gdy Pfarr dowiedział się o ciąży żony.

Six roześmiał się.

– I wtedy kochanka Pfarra postanowiła się na nim zemścić.

– Jest pan naprawdę śmieszny – powiedział Six. – Żeby ktoś, kto się uważa za detektywa, nie wiedział, że moja córka nie mogła mieć dzieci.

– Jest pan pewny?

– Wielki Boże, człowieku, takich rzeczy się nie zapomina. Oczywiście, że jestem pewny.

Obszedłem wokół biurko Sixa i przyjrzałem się stojącym tam fotografiom. Wziąłem jedną z nich i wpatrzyłem się w widniejącą na niej kobietę. Od razu ją poznałem. Była to ta kobieta, którą zdzieliłem po głowie w domku nad Wannsee, ta, którą uważałem za Evę, ta, która przybrała teraz nazwisko Frau Teichmüller, to ona zabiła prawdopodobnie swego męża i jego kochankę, zatem naprawdę była jedyną córką Sixa, Grete. Każdy detektyw popełnia błędy, ale strasznie upokarzająca jest konfrontacja z własną głupotą, zwłaszcza kiedy prawda była cały czas tak oczywista.

– Herr Six, wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale pańska córka żyje, w każdym razie wczoraj po południu żyła i wybierała się z pana sekretarzem do Londynu.

Przez chwilę myślałem, że Six się na mnie rzuci. – Co pan, u diabła, wygaduje. Oszalał pan? – ryknął. – Jak to żyje? Została już dawno pochowana.

– Musiała wrócić niespodziewanie do domu i zastała Paula w łóżku z kochanką, pijanych w sztok. Grete zastrzeliła ich, a potem, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła, zadzwoniła do jedyne go człowieka, do którego mogła się zwrócić o pomoc, do Haupthändlera. Był w niej zakochany. Zrobiłby dla niej wszystko, pomógł więc jej wyplątać się z morderstwa.

Six ciężko usiadł. Zrobił się blady jak ściana, cały drżał. – Nie wierzę – wykrztusił. Ale było jasne, że przemówiły do niego fakty.

– Myślę, że to jemu przyszło na myśl spalić ciała tak, żeby wyglądało na to, iż to pańska córka poniosła śmierć wraz z mężem. Wziął ślubną obrączkę Grete i wsunął na palec tamtej kobiety. Potem wpadł na genialny pomysł, by wyjąć z sejfu diamenty i upozorować włamanie. To dlatego nie zamknął drzwiczek sejfu. A diamenty miały im umożliwić rozpoczęcie gdzieś nowego życia. I zdobycie nowej tożsamości. Haupthändler jednakże nie wiedział, że tego samego wieczoru, trochę wcześniej, ktoś otworzył sejf i wyjął z niego kompromitujące pana dokumenty. Był to prawdziwy fachman, niedawno zwolniony z więzienia. Lubił czystą robotę, nigdy nie użyłby materiałów wybuchowych ani nie zostawił otwartych drzwiczek sejfu. Założę się, że Paul i Eva byli tak pijani, iż w ogóle go nie usłyszeli. Oczywiście należał do tej szajki Dietera. To przecież Dieter załatwiał zawsze dla pana brudną robotę, prawda? Póki te papiery znajdowały się w ręku człowieka Göringa, von Greisa, było to dla pana niewygodne, ale nie groźne. Premier jest pragmatykiem. Wykorzystałby te obciążające pana dokumenty, by skłonić pana do poparcia polityki ekonomicznej partii. Kiedy jednak dostały się w ręce Paula i jego Czarnych Aniołów, zaczęło panu zagrażać prawdziwe niebezpieczeństwo. Wiedział pan, że Paul chce pana zniszczyć. Został pan przyparty do muru i musiał pan coś zrobić. I, jak zwykle wezwał pan na pomoc Czerwonego Dietera.

Ale potem, kiedy Paul i ta kobieta zostali zamordowani, a z sejfu znikły diamenty, pomyślał pan, że kasiarz Dietera dał się ponieść chciwości. I dość logicznie uznał pan, że to on zamordował pańską córkę. Kazał się pan tym zająć Dieterowi. Dieter zabił jednego z włamywaczy, tego, który prowadził auto, ale kasiarz uciekł, zatem to w jego posiadaniu znalazły się dokumenty i prawdopodobnie diamenty. Wtedy zatrudnił pan mnie. Bo nie był pan pewny, czy nie oszukał pana sam Dieter. Na wszelki wypadek ani jemu, ani policji nic pan nie wspomniał o diamentach.

Six wyjął z ust zgasłe cygaro i położył je na popielniczce. Nagle zaczął wyglądać na bardzo starego człowieka.

– Muszę przyznać – ciągnąłem dalej – że rozumował pan bezbłędnie: jeśli znajdzie się

człowieka z diamentami, odzyska się jednocześnie dokumenty. Potem Helfferich przekonał pana widać, że nie próbował pana oszukać. Wtedy kazał mu pan mnie śledzić. I zaprowadziłem go do człowieka, który miał kolię, a według pana także i te papiery. Obawiam się, że w tej chwili pańscy wspólnicy z „Germańskiej Potęgi” usiłują wyciągnąć z państwa Teichmüllerów, gdzie ukrywa się Mutschmann. Bo dokumenty znajdują się oczywiście w jego posiadaniu. A państwo Teichmüller w ogóle nie wiedzą, o co się ich pyta. Do cnót Dietera nie należy cierpliwość. Akurat panu nie muszę tłumaczyć, co to oznacza.

Magnat stalowy patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby nie słyszał, co mówię. Chwyciłem go za kłapy marynarki, postawiłem na nogi i wymierzyłem mocny policzek.

– Czy pan nie słyszy? Pańska córka jest w rękach tych oprawców!

Obwisły mu wargi. Znów go uderzyłem.

– Musimy im przeszkodzić.

– Gdzie oni mogą być? – Puściłem go i odepchnąłem od siebie.

– Na rzece – powiedział. – Grosse Zug koło Schmöckwitz.

Chwyciłem słuchawkę telefonu.

– Jaki numer?

Six zaklął.

– Tam nie ma telefonu – jęknął. – Chryste, co my zrobimy.

– Musimy tam pojechać. Najszybciej byłoby popłynąć.

Six wybiegł zza biurka.

– Mam na pobliskiej przystani motorówkę. Będziemy tam w pięć minut.

Wzięliśmy klucze i kanister z benzyną, wsiedliśmy do BMW i dojechaliśmy na brzeg jeziora. Dziś na wodzie panował większy ruch.

Wiał wiatr, wypłynęły żagłówki, ich białe żagle zasłaniały powierzchnię wody jak setki skrzydeł białych ciem.

Pomogłem Sixowi zdjąć okrywający motorówkę zielony brezent i wlałem do baku benzynę, on zaś zapuścił motor. Zahuczało, pięciometrowy lakierowany kadłub łodzi gotów był pomknąć rzeką, wyprężyły się liny. Jedną z nich rzuciłem Sixowi, odwiązałem drugą i szybko wskoczyłem do motorówki. Ruszyliśmy.

Motor był potężny, mknęliśmy chyba szybciej niż rzeczna policja. Płynęliśmy w kierunku Spandau. Six trzymał białe koło steru i nie przejmował się tym, że fale potężnej motorówki zalewały inne łodzie. Oburzeni właściciele wygrażali pięściami i krzyczeli, okrzyki zagłuszał huk potężnego motoru. W parę sekund znaleźliśmy się na Sprewie.

– Chryste Panie, czy my aby zdążymy! – zawołał Six. Wrócił już do dawnej formy, stał się znów człowiekiem czynu.

– Dobrze znam się na ludziach – powiedział – ale pana, Herr Gunther, nie doceniłem. Nie oczekiwałem, że będzie pan aż tak dociekliwy. Szczerze mówiąc liczyłem, że wykona pan ściśle moje polecenia. Widzę jednak, że należy pan do ludzi, którzy niechętnie się komuś podporządkowują.

– Kiedy bierze pan kota, by łapał myszy w kuchni, nie może pan oczekiwać, że nie zwróci uwagi na szczury w piwnicy.

– Cóż, racja.

Minęliśmy Tiergarten i Muzealną Wyspę. Spytałem Sixa, dlaczego aż tak zniechęcił go zięć. Ku mojemu zdumieniu chętnie mi odpowiedział i nie przedstawiał już tym razem sytuacji w różowych barwach.

– Tak świetnie orientuje się pan, Herr Gunther, w moich sprawach rodzinnych, że chyba nie muszę panu przypominać, iż Ilse jest moją drugą żoną. Pierwszy raz ożeniłem się w 1910 roku, w rok później Lisa zaszła w ciążę. Nastąpiły komplikacje, dziecko urodziło się martwe. Co więcej, okazało się, że już nie będzie mogła mieć dzieci. W tym samym szpitalu pewna niezamężna kobieta urodziła zdrowe dziecko i nie miała warunków, by je wychować. Zaproponowaliśmy, że zaadoptujemy jej córeczkę. Była nią Grete. Nie powiedzieliśmy jej nigdy, że jest dzieckiem adoptowanym. Ale po śmierci żony Grete odkryła to i zaczęła szukać swojej prawdziwej matki.

Była już wówczas żoną Paula i bardzo go kochała. Paul nie był jej wart. Moim zdaniem ożenił się z nią głównie dlatego, że była moją córką, zależało mu na pozycji i pieniądzech. Niemniej postronni obserwatorzy mogli ich uważać za szczęśliwą parę.

Wszystko to zmieniło się w mgnieniu oka, gdy Grete odnalazła swoją prawdziwą matkę. Była nią wiedeńska Cyganka, pracowała w piwiarni na Potsdamer Platz. Grete przeżyła szok, natomiast ten gnojek, Paul, uznał to za haniebną katastrofę. Cokolwiek ma oznaczać ta cholerna czystość rasowa, w takim samym stopniu dotyczy ona Cyganów, co Żydów. Paul robił mi wymówki, że nie poinformowałem go o tym wcześniej. Mnie to nawet nie przyszło na myśl; kiedy pierwszy raz zobaczyłem maleńką Grete, nie widziałem w niej cygańskiego dziecka, tylko śliczną, zdrową dziewczynkę, której matka chętnie zgodziła się, byśmy ją zaadoptowali i otoczyli luksusem. Dla mnie ta mała mogłaby być córką rabina, i tak byśmy ją wzięli. Przecież pan pamięta tamte czasy, Herr Gunther. Takie rzeczy nie odgrywały roli, wszyscy byliśmy po prostu Niemcami. Ale Paul zapatrywał się na to inaczej. Myślał tylko o tym, że Grete może mu zaszkodzić w karierze w partii i w SS. – Gorzko się roześmiał.

Byliśmy już w Grünau, gdzie znajduje się Berliński Klub Regatowy. Na wielkim jeziorze wytyczono dwukilometrowy tor olimpijski. Słychać było dźwięki orkiestry dętej, przez megafon ogłaszano w jakiej kolejności odbywać się będą dziś zawody w poszczególnych dyscyplinach.

– Z Paulem trudno było dyskutować. Straciłem cierpliwość i powiedziałem mu bez ogródek, co myślę o nim i o jego ukochanym Führerze. Od tego czasu staliśmy się wrogami. I nie mogłem pomóc Grete. Musiałem patrzeć, jak pęka jej serce. On zaczął ją nienawidzić. Namawiałem ją, by się z nim rozstała – nie chciała. Wierzyła, że odzyska jego miłość.

– A tymczasem on robił, co mógł, by pana zniszczyć. Swego własnego teścia.

– Tak – powiedział Six. – I to nadal mieszkając w wygodnym domu kupionym za moje pieniądze. Grete miała wszelkie powody, by go zabić. Gdyby tego nie zrobiła, niewykluczone, że sam bym się tym zajął.

– W jaki sposób chciał pana wykończyć? Co to były za dokumenty?

Six skierował motorówkę na południe przesmykiem między Langer See i Seddinsee w stronę pagórkowatego półwyspu Schmöckwitz. Grosse Zug była to oberża na jednej z dwóch wysepek między Köpenick i Schmöckwitz. Wysepka miała paręset metrów długości i nie więcej niż pięćdziesiąt szerokości. Gęsto rosły sosny. Tuż nad wodą było więcej wywieszek „Posiadłość prywatna” i „Obcym wstęp wzbroniony” niż na drzwiach garderoby uwielbianej przez publiczność tancerki.

– Co to za posiadłość?

– To letnia kwatery „Germańskiej Potęgi”. Urządzają tu potajemne spotkania. Sam pan widzi dlaczego – straszne zadupie. – Zaczął okrążyć wysepkę szukając miejsca, gdzie dałoby się przybić do brzegu.

Z drugiej strony wysepki znajdowało się maleńkie molo, do którego było przycumowanych kilka łodzi. Na brzegu stały trzy starannie pomalowane szopy, za nimi oberża „Grosse Zug”. Chwyciłem linę i wyskoczyłem na molo. Six zgasił motor.

– Musimy być ostrożni – oświadczył, włączając na molo i przycumowując łódź. – Niektórzy z tych chłopców najpierw strzelają, a dopiero potem zaczynają pytać.

– To mnie nie dziwi – oświadczyłem.

Poszliśmy z boczem w stronę szop. Poza łodziami nic nie wskazywało na to, że na wyspie ktoś się znajduje. Ale tuż przed szopami, zza przewróconej łodzi, wyłoniło się dwóch uzbrojonych mężczyzn. Ich wyraz twarzy dobitnie świadczył, iż poradzą sobie ze mną, nawet gdybym powiedział im, że jestem nosicielem dżumy. Takiej pewności siebie dostarcza tylko posiadanie gnata z obciętą lufą.

– Stać! – nakazał wyższy mężczyzna. – To własność prywatna. Kim panowie są i czego tu szukają? – Jego obrzyn spoczywał na zgiętym przedramieniu jak uśpione niemowlę, ale wystarczyłoby go lekko podnieść i wycelować. Six zaczął tłumaczyć.

– Rozpaczliwie szukam Dietera. – Uderzył się pięścią w dłoń. Dlaczego zachowuje się tak melodramatycznie? – pomyślałem. – Nazywam się Hermann Six. Mogę panów zapewnić, że zechce się ze mną zobaczyć. Tylko proszę się śpieszyć.

Facet ze spluwą spojrział na kolegę, który skinął głową i ruszył w kierunku oberży. Powiedział:

– Poczekajcie tu, aż sprawdzimy.

Six załamał ręce i zawołał:

– Niech pan nie zwleka. To sprawa życia i śmierci.

Zbir ze spluwą wyszczerzył zęby. Jego szef stale miał do czynienia ze śmiercią. Six wyjął papierosa. Ale go nie zapalił.

– Proszę pana – zwrócił się do zbira z obrzynem. – Błagam, niech mi pan powie, czy przetrzymujecie na wyspie dwoje ludzi... Mężczyznę i kobietę.

– Nazywają się Teichmüllerowie – odpowiedziałem.

Mężczyzna przestał się uśmiechać, patrzył na nas z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Ja tam nic nie wiem.

Wpatrywaliśmy się niespokojnie w oberżę. Był to dwupiętrowy budynek, pomalowany na biało, czarne okiennice, mansardowy dach. Z komina zaczął się wydobywać dym, drzwi wreszcie się otworzyły, podświadomie oczekiwałem, że pojawi się w nich Baba Jaga z tacą pierników. Ale pojawił się tamten drugi mężczyzna i skinął na nas.

Weszliśmy gęsiego do środka, na końcu kroczył facet z obrzynem, lufa niemal dotykała mojej szyi. Jak się czułem, wie każdy, kto widział człowieka zastrzelonego z tej odległości. W przedpokoju stało parę wieszaków na kapelusze, oczywiście nikt kapelusza nie zdjął. Dalej był niewielki pokój, w którym ktoś grał na pianinie tak, jakby mu brakowało kilku palców. Na końcu pokoju znajdował się półokrągły bar i stołki. Z tyłu ustawiono trofea sportowe, zastanawiałem się, kto je wygrał i w jakiej konkurencji. Może przyznawano je za największą ilość morderstw w ciągu roku albo za najmocniejszy cios gumową pałką – tu miałbym odpowiedniego kandydata. Ale prawdopodobnie po prostu kupili te puchary, żeby oberża wyglądała na to, czym miała być – siedzibą dobroczynnej organizacji zajmującej się byłymi więźniami.

– Tędy – mruknął idący przodem zbir i poprowadził nas w kierunku drzwi za barem.

Ten pokój wyglądał jak biuro. Mosiężna lampa zwisała z jednej z belek sufitu. W kącie pod oknem stała długa dębowa ława, obok spory posąg z brązu – naga dziewczyna, wyglądała tak, jakby wpadła na piłę tarczową. Na ścianach wisiało jeszcze parę „dzieł sztuki”, zwykle podobne obrazki służą za ilustracje do podręczników dla akuszerki.

Czerwony Dieter, bez kołnierzyka, z zakasnymi rękawami czarnej koszuli, wstał z zielonej skórzanej kanapy i wrzucił do ognia papierosa. Spojrzał na Sixa, spojrzawszy na mnie, nie wiedział, czy zrobić uradowaną, czy też zmartwioną minę. Six nie zostawił mu na nic czasu, rzucił się na niego i schwycił go za gardło.

– Na litość boską, coście z nią zrobili?

Z kąta wyszedł jakiś mężczyzna i razem udało nam się odciągnąć rozjuszonego starca.

– Trzymajcie go! – wrzasnął Czerwony. Obciągnął marynarkę i usiłował opanować swoje, jakże naturalne, wzburzenie.

Six wołał dalej:

– Gdzie moja córka? Coście zrobili z moją córką?

Gangster zmarszczył brwi i spojrzawszy na mnie pytająco.

– Co on, do cholery, wygaduje?

– Chodzi o tę parę, którą pańscy ludzie zgarnęli wczoraj w domku nad jeziorem. Coście z nimi zrobili? Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, ale ta kobieta jest jego córką.

Spojrzawszy z niedowierzaniem.

– Przecież ona nie żyje.

– Człowieku, mów! – zawołałem.

Dieter zaklął, jego twarz pociemniała, wargi zaczęły drżeć, jakby najadł się tłuczonego szkła. Na czole pojawiła się sina żyła. Wskazał na Sixa.

– Nie dajcie mu stąd wyjść – mruknął. Za drzwiami przepychał się wśród ludzi jak rozwścieczony zapaśnik. – Jeśli to jeden z tych twoich numerów, Gunther, to porachuję się z tobą osobiście.

– Nie byłbym taki głupi. Ale mam jeden problem.

Dieter zatrzymał się przy frontowych drzwiach i spojrzawszy na mnie. Był tak wściekły, że jego twarz przybrała kolor krwi.

– A niby co?

– Pracuje ze mną kobieta. Inge Lorenz. Zniknęła wczoraj spod tego domku nad Wannsee na parę minut przedtem, nim twoi ludzie dali mi w łeb.

– To czemu mnie pytasz?

– Porwałś dwoje ludzi, to skąd mam wiedzieć, czy nie masz na sumieniu także i jej?

Choć o sumienie trudno cię posądzać!

Dieter omal nie splunął mi w twarz.

– Odpieprz się od mojego sumienia. – Wyszedł z domu, a ja podążyłem za nim w kierunku jednej z szop. W jej drzwiach stał jakiś mężczyzna i zapinał rozporek. Uśmiechnął się widząc zmierzającego szybkim krokiem szefa, źle to zrozumiał.

– Co, też ją sobie chcesz popierdolić?

Dieter zbliżył się do niego, przez sekundę wpatrywał się w niego nieobecny wzrokiem i wyrznął go w żołądek.

– Stul pysk, ty głupia mordo! – wrzasnął i kopniakiem otworzył drzwi szopy.

Zobaczyłem długi pomost, na którym leżało osiem łodzi wioślarskich. Do pomostu przywiązany był półnagi mężczyzna. Zwisła mu głowa, na karku i plecach widniały ślady oparzeń. Musiał to być Haupthändler, choć gdy podszedłem bliżej, nie rozpoznałem jego twarzy, tak była zmasakrowana. Obok stało dwóch mężczyzn nie zwracając uwagi na swego jeńca. Palili papierosy, jeden miał w ręku mosiężny kastet.

– Gdzie ta przeklęta kobieta? – rozdarł się Dieter. Jeden z oprawców Haupthändlera wskazał za siebie kciukiem.

– Tam obok, zabawia się z nią mój brat.

– Hej, szefie – powiedział drugi mężczyzna. – Ten padalec wciąż nie chce mówić. Damy mu jeszcze popalić?

– Zostawcie tego skurwiela w spokoju – burknął Dieter. – On nic nie wie.

W sąsiedniej szopie było niemal ciemno, moje oczy dopiero po chwili przyzwyczyły się do mroku.

– Franz! Gdzie ty, do cholery, jesteś?

Usłyszeliśmy słaby jęk, ciało klaskało o ciało. I zobaczyliśmy ich: ogromny mężczyzna ze spodniami wokół kostek nóg nachylał się nad nagim ciałem córki Hermanna Sixa, przywiązanej twarzą w dół do wywróconej łodzi.

– Złaź z niej, skurwielu. Ale już! – krzyknął Czerwony. Mężczyzna nie okazał najmniejszej chęci wykonania rozkazu, nawet wówczas, gdy ten zabrzmiał mu tuż nad uchem. Pochylony do przodu, miał zgięte kolana i wyglądał tak, jakby uciekł spod niego koń. Ogromny penis wsuwał się rytmicznie między pośladki Grete Pfarr.

Dieter wyrznął go pięścią w głowę. Równie dobrze mógłby próbować zatrzymać rozpędzony parowóz. Wyciągnął pistolet i z zimną krwią wystrzelił, mózg Franza rozprysnął się.

Dieter odsunął ciało butem i zaczął odwiązywać Grete. Patrzył niespokojnie na

głębokie ślady szpicruty na jej pośladkach i udach. Miała zimną skórę, cuchnęło od niej nasieniem. Trudno było powiedzieć, ile razy została zgwałcona.

– O, cholera! Spójrz, w jakim ona jest stanie – jęknął Czerwony Dieter potrząsając głową. – Co będzie, jak zobaczy ją Six.

– Miejmy nadzieje, że żyje – powiedziałem zdejmując płaszcz i kładąc go na ziemi.

Położyliśmy ją na płaszczu i przytknąłem ucho do jej nagiej piersi. Serce biło, ale była nieprzytomna.

– Przyjdzie do siebie? – spytał naiwnie Czerwony, jak uczeń, który dopytuje się o ulubionego króliczka. Spojrzałem na niego, zobaczyłem, że wciąż jeszcze nie wypuścił pistoletu z ręki.

W drzwiach szopy pojawiło się paru członków „Germańskiej Potęgi”, sprowadził ich strzał. Usłyszałem, jak jeden z nich mówi:

– On zabił Franza!

Drugi dorzucił:

– Jak mógł go zabić?!

Zrozumiałem, że będziemy mieli kłopoty. Zrozumiał to także Dieter. Zwrócił się w ich stronę.

– Ta kobieta jest córką Sixa. Wszyscy znacie Sixa. Jest bogatym potentatem. Kazałem Franzowi ją puścić. Nie chciał mnie słuchać. A ona już ledwie żyje.

– Nie musiałeś strzelać – powiedział jakiś głos.

– Mogłeś mu dać w łeb – dorzucił drugi.

– Dałem. On ma czaszkę twardą jak kamień!

– Już nie.

Dieter nachylił się nade mną. Nie spuszczał z oka swoich ludzi, szepnął:

– Masz spluwę?

– Tak – odparłem. – Słuchaj, tu nie mamy żadnych szans. Ani my, ani ona. Lećmy do motorówki.

– A co z Sixem?

Zapiąłem płaszcz na nagim ciele Grete i ją podniosłem.

– Six będzie sobie musiał sam poradzić.

Helfferich pokręcił głową.

– Nie. Ja po niego wrócę. Czekaj na nas w motorówce, jak się długo da. Jeśli zaczną strzelać, zmywaj się. Na wszelki wypadek słowo daję, że nic nie wiem o tej twojej dziewczynie.

Poszliśmy wolno w kierunku drzwi, Dieter prowadził. Jego ludzie rozstąpili się niechętnie. Zaraz za drzwiami rozstaliśmy się i ruszyłem w stronę mola.

Położyłem córkę Sixa na tylnym siedzeniu. W schowku znalazłem koc i ją okryłem. Zastanawiałem się, czy może coś wiedzieć o Inge Lorenz. Ona albo Haupthändler. Już zamierzałem po niego wrócić, gdy z oberży dobiegły strzały. Odcumowałem linę, włączyłem motor i wyjąłem pistolet. Drugą ręką trzymałem się mola. W sekundę później znów usłyszałem strzały, coś wyrznęło w rufę łodzi. Chwyciłem ster, żeby odbić od mola. Zamroczyło mnie z bólu, spojrzałem na rękę, pewny, że trafiła mnie kula, ale z dłoni sterczała tylko ogromna drzazga. Odłamałem ją, odwróciłem się i zacząłem strzelać w kierunku postaci, które pojawiły się na szybko oddalającym się molo. Ku mojemu zdumieniu wszyscy padli na ziemię. Usłyszałem z tyłu karabin maszynowy. Była to ostrzegawcza seria, ale poleciały gałęzie z drzew i posypały się odpryski z mola. W ostatniej chwili udało mi się zatrzymać motorówkę, żeby nie wpaść na policyjny ścigacz. Wyłączyłem motor i instynktownie podniosłem do góry ręce, rzucając pistolet.

I zobaczyłem na czole Grete czerwoną kropkę wyglądającą jak oznaka kasty, cieniusieńki strumyczek krwi spływał po pozbawionej życia twarzy.

Rozdział 18

Człowiek traci własną odporność będąc świadkiem systematycznej destrukcji innej istoty ludzkiej. Gestapo o tym dobrze wie. I wykorzystuje to. Musisz przysłuchiwać się cudzej agonii, w ten sposób cię zmiękcza. I dopiero potem zabierają się do ciebie na dobre. Najgorsze jest zawsze oczekiwanie, niezależnie od tego, czy czeka się na wyniki badań szpitalnych, czy na topór kata. Marzy się, żeby to, co ma się stać, stało się jak najprędzej. Sam w pewnym stopniu uciekałem się na Alexie do tej techniki. Podejrzani musieli się długo pocić, przesłuchiwałem ich dopiero wówczas, kiedy już byli gotowi wszystko wyznać. Kiedy na coś czekasz, wyobraźnia stwarza ci własne prywatne piekło.

Zastanawiałem się, czego oni mogą ode mnie chcieć. Dowiedzieć się czegoś o Sixie? Mają nadzieję, że wiem gdzie są papiery von Greisa? Co będzie, jeśli zaczną mnie torturować, a ja naprawdę nie będę znał odpowiedzi na ich pytania?

Trzeciego, a może już czwartego dnia, który spędziłem w brudnej celi, przyszło mi do głowy, że moje cierpienia mogą być celem samym w sobie. I wciąż rozmyślałem, co mogło się stać z Inge Lorenz i jaki jest los aresztowanych wraz ze mną Sixa i Czerwonego Helffericha.

Większość czasu wpatrywałem się w tablice na ścianach, na których uwieczniło swe myśli wielu moich nieszczęsnych poprzedników. O dziwo, mało tu było obelg pod adresem nazistów. Komuniści i socjaldemokraci oskarżali się wzajemnie, kłócąc się o to, kto zawinił, że wybrano Hitlera. Sozi obwiniali Kozi, Kozi obwiniali Sozi.

Miałem kłopoty ze snem. Pierwszej nocy w ogóle się nie położyłem, tak śmierdział barłóg, ale w miarę upływu dni, gdy coraz bardziej cuchnął kibel, przestałem być taki wybredny. Dopiero gdy piątego dnia pojawiło się dwóch SS-manów i wywlokło mnie z celi, uprzytomniłem sobie, jak sam śmierdzieć. Tyle że od nich zalaływo śmiercią, a to było jeszcze gorsze.

Wykręcili mi do tyłu ręce i poprowadzili zasikany korytarzem do windy, którą wjechaliśmy na piąte piętro. Tutaj cichy korytarz wyłożony był chodnikiem, a ściany boazerią, na której widniały ponure portrety Führera, Himmlera, Canarisa, Hindenburga i

Bismarcka. Można by przypuścić, że jest to korytarz jakiegoś ekskluzywnego klubu. Przez podwójne dębowe drzwi wysokości tramwaju weszliśmy do jasnego, przestronnego biura, gdzie siedziało kilka stenotypistek. Nie zwróciły na mnie uwagi. Zza ozdobnego biurka wyszedł młody Hauptsturmführer z SS i spojrzał na mnie bez specjalnego zainteresowania.

– Kto to?

Jeden ze strażników trzasnął obcasami, stanął na baczność i wyjaśnił, kim jestem.

– Proszę zaczekać – powiedział Hauptsturmführer i zapukał do mahoniowych drzwi na drugim końcu salki. Usłyszał widać odpowiedź, bo otworzył drzwi, wetknął w nie głowę i coś zameldował. Potem odwrócił się w naszą stronę, skinął na strażników, a oni popchnęli mnie naprzód.

Gabinet był okazały. Wysoki sufit, kosztowne kryte skórą meble. Zrozumiałem, że gestapo nie zamierza gawędząc tutaj ze mną posługiwać się jak zwykle nahajem i kastetem. W każdym razie jeszcze nie w tej chwili. Nie zaryzykowałiby poplamienia tego dywanu krwią. Z drugiej strony gabinetu znajdowało się francuskie balkonowe okno, stał regał i biurko, za którym siedziało w wygodnych fotelach dwóch oficerów SS. Byli to wysocy, zadbani i układni mężczyźni, uśmiechali się wyniośle, mieli włosy koloru szwajcarskiego sera, a ich grdyki nie rozpychały węzłów krawata. Wyższy zabrał głos pierwszy, wyprosił z pokoju adiutanta i strażników.

– Herr Gunther. Proszę spocząć – wskazał stojące przed biurkiem krzesło. Obejrzałem się, gdy zamykały się drzwi, i poczłapałem naprzód, nie wyjmując z kieszeni rąk. Po aresztowaniu odebrali mi sznurowadła i szelki, tylko w ten sposób mogłem zapobiec, żeby nie opadły mi spodnie.

Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z wyższymi oficerami SS i nie potrafiłem rozpoznać ich rangi. Ale przypuszczałem, że jeden z nich jest pułkownikiem, a drugi, ten, który się odezwał, generałem. Żaden z nich nie miał więcej niż trzydzieści parę lat.

– Zapali pan? – spytał generał. Podsunął mi paczkę papierosów i zapalki. Z wdzięcznością zapaliłem. – Proszę się nie krępować i palić, ile pan chce.

– Dziękuję.

– Może by się pan czegoś napił?

– Nie odmówię szampana.

Jednocześnie się uśmiechnęli. Pułkownik wyjął butelkę sznapsa i nalał pełną szklanekę.

– Niestety, nie rozporządzamy tu takimi luksusami.

– To nie będę wybrzydzał.

Pułkownik podał mi szklanekę. Nie marnowałem czasu. Wychyliłem ją jednym tchem.

Czułem, jak sznaps rozgrzewa mnie, sływa do żołądka, sływa aż do odcisków na palcach nóg.

– Nalej mu jeszcze – powiedział generał. – Wygląda na zdenerwowanego.

Wyciągnąłem szklankę.

– Dziękuję, ale moje nerwy są w porządku – powiedziałem. – Po prostu lubię pić.

– Aha, taki styl, co?

– Niby jaki?

– No, dzielnego prywatnego detektywa. To taki tandeciarz, który w lichu umeblowanym biurze zapija się na śmierć, ale śpieszy z pomocą tajemniczej damie w czerni.

– Czyżby z SS? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Pewnie pan nie uwierzy, ale uwielbiam kryminały. Praca detektywa musi być bardzo ekscytująca. – Miał niezwykłą twarz. Wielki orli nos sterczał tak, że podbródek robił wrażenie cofniętego, szkliste błękitne oczy z obu stron cienkiego nosa robiły wrażenie zbyt blisko osadzonych, były lekko skośne, co nadawało twarzy cyniczny wyraz.

– Uważam, że znacznie bardziej interesujące bywają baśnie.

– Chyba nie w pana wypadku. Przecież ostatnio prowadził pan sprawę dla Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Germania”.

– Czyli dla Hermanna Sixa – wtrącił się pułkownik. Był przystojniejszy, ale wyraźnie mniej inteligentny. Generał spojrział na leżące przed nim na biurku otwarte akta, chciał mi widać dać do zrozumienia, że wie o mnie wszystko.

– No, właśnie – mruknął. Po chwili podniósł na mnie wzrok. – Dlaczego wyszedł pan z Kripo?

– Szmalec.

Podniósł ze zdziwieniem brwi.

– Szmalec?

– No wie pan, szmal, forsa, flota, pieniądze. A propos pieniędzy, kiedy zajechałem do tego hotelu, miałem w kieszeni czterdzieści tysięcy marek. Chciałbym wiedzieć, co się z nimi stało. I co stało się z dziewczyną, która ze mną pracowała. Nazywa się Inge Lorenz. Zniknęła.

Generał spojrział na swojego współpracownika, który pokręcił przecząco głową.

– Niestety, nic nam o niej nie wiadomo, Herr Gunther – oświadczył pułkownik. – Jak pan sam najlepiej wie, w Berlinie co chwila ktoś znika. A pańskie pieniądze leżą u nas w bezpiecznym miejscu.

– Dziękuję, nie chciałbym być niewdzięczny, ale wolałbym je mieć pod własnym

materacem.

Generał złożył dłonie jak do modlitwy, miał długie, cienkie palce skrzypka, czubkami tych palców dotknął ust.

– Czy nigdy nie przyszło panu na myśl wstąpić do gestapo?

Uznałem, że przyszła pora, abym to ja się uśmiechnął.

– Wie pan, mój garnitur, zanim zostałem zmuszony spać w nim przez cały tydzień, wyglądał całkiem elegancko. I wiem, że dzisiaj ode mnie cuchnie, ale nie aż tak!

Generał prychnął z rozbawieniem.

– Herr Gunther, mówi pan jak pański prototyp literacki, twardziel nad twardziele. Mówić łatwo, trudniej się tak zachowywać. Pańskie uwagi albo wynikają z całkowitego niezrozumienia, w jak groźnej się pan znajduje sytuacji, albo świadczą o prawdziwej odwadze. – Podniósł do góry wąziutkie złociste brwi i zaczął się bawić Odznaką Jeździecką, którą miał nad górną kieszenią, z lewej strony. – Jestem raczej cynikiem. Tak jak chyba wszyscy policjanci, prawda? Powinienem więc przychylić się do tej pierwszej ewentualności, jednakże tak się składa, że urządza mnie wiara w pańską siłę charakteru. Mam nadzieję, że mnie pan nie rozczaruje. – Chwilę milczał. – Mam zamiar posłać pana do kacetu.

Złodowaciałem. Wypiłem resztkę sznapsa i ze zdziwieniem usłyszałem, że mówię:

– Czy to chodzi o ten nie zapłacony rachunek za mleko?

Obaj zaczęli się uśmiechać, napawali się widokiem mojego przerażenia.

– Do Dachau – powiedział pułkownik. Zgasiłem niedopałek i zaraz zapaliłem następnego papierosa. Widzieli, jak trzęsie mi się ręka.

– Niech pan się tak nie przejmuj – powiedział generał. – Będzie pan tam dla mnie pracował. – Obszedł wokoło biurko i usiadł na nim tuż przede mną.

– Kim pan właściwie jest?

– Obergruppenführer Heydrich. – Wskazał na pułkownika i założył ręce. – A to jest Standartenführer Sohst z brygady do specjalnych poruczeń.

– Miło mi pana poznać. – Nie było to prawdą. Ta brygada składała się z gestapowskich morderców, o których opowiadała mi Marlene Sahn.

– Już od jakiegoś czasu mam pana na oku – powiedział – a od chwili tego godnego pożałowania incydentu nad Wannsee znajduje się pan pod stałą obserwacją; mieliśmy nadzieję, że zaprowadzi nas pan do pewnych dokumentów. Wie pan, oczywiście, jakie dokumenty mam na myśli. Zamiast tego zaprowadził nas pan do człowieka, który zaplanował ich kradzież. Spędził pan u nas w gościnie parę dni i zdążyliśmy wszystko zweryfikować. A ten robotnik budowlany, Bock, powiedział nam, gdzie szukać Kurta Mutschmanna, bo

wszystko wskazuje na to, że to ów kasiarz podwędził dokumenty.

– Bock? – Pokręciłem głową. – Nie wierzę. On nie zdradziłby przyjaciela.

– Zapewniam pana, że to prawda. Och, nie twierdę, że powiedział nam, gdzie go szukać, ale przed śmiercią naprowadził nas na właściwy ślad.

– Torturowaliście go?

– Owszem. Wyznał, że Mutschmann powiedział mu kiedyś, że jeśli już za bardzo zaczną deptać mu po piętach i znajdzie się w rozpaczliwej sytuacji, to ukryje się w więzieniu albo w kacecie. Cóż, musiał uznać, że sytuacja jest rozpaczliwa, przecież chciał mu się dobrać do skóry ten przestępczy gang, nie mówiąc już o nas.

– To stary trik – wyjaśnił Sohst. – Dajesz się zaarrestować za jakieś drobne przestępstwo, żeby uniknąć grubszej sprawy. Przypuszczamy, że Mutschmann w trzy dni po śmierci Paula Pfarra został aresztowany i wysłany do Dachau – oświadczył Heydrich. I dorzucił z zadowolonym uśmiechem: – Można powiedzieć, że wręcz dopraszał się aresztowania. Został schwytyany na gorącym uczynku, malował slogany KPD na Kripo Stelle w Neukölln.

– Kozi w kacecie może sobie jakoś poradzić – zachichotał Sohst.

– W każdym razie łatwiej niż Żyd czy pedryl. Za parę lat pewnie wyjdzie.

Pokręciłem głową.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Dlaczego komendant Dachau nie przesłucha po prostu Mutschmanna? Po co wam ja?

Heydrich założył ręce, machnął nogą tak, że omal nie kopnął mnie w kolano.

– Gdybyśmy się zwrócili do komendanta Dachau, doszłoby to do Himmlera, a tego chcemy uniknąć. Widzi pan, Reichsführer jest idealistą. Uznałby za swój obowiązek wykorzystać te dokumenty, by ukarać winnych.

Przypomniałem sobie list Himmlera do Paula Pfarra, który Marlene Sahn pokazała mi na olimpijskim stadionie, i przytaknąłem ruchem głowy.

– Ja natomiast jestem pragmatykiem i wolę zużytkować te dokumenty bardziej racjonalnie.

– Innymi słowy, nie wzgardzi pan maleńkim szantażykiem, tak?

Heydrich uśmiechnął się kwaśno.

– Czyta pan we mnie jak w otwartej księdze, Herr Gunther. Ale będzie pan uprzejmy zapamiętać, że sprawa jest ściśle tajna. Dotyczy bezpieczeństwa państwa. Nie wolno panu nigdy i nikomu wspomnieć słówkiem o naszej rozmowie.

– Chyba jednak muszą być w Dachau tacy SS-mani, którym może pan zaufać?

– Oczywiście – odparł Heydrich. – Ale co ma taki SS-man zrobić, podejść do Mutschmanna i spytać go, gdzie ukrył papiery? Niech pan nie będzie dzieckiem, Herr Gunther.

– Zatem chcecie, bym odnalazł Mutschmanna i się z nim zaprzyjaźnił?

– Dokładnie tak. Musi pan zdobyć jego zaufanie. Dowiedzieć się, gdzie ukrył dokumenty. A potem zwróci się pan do mojego człowieka.

– Ale w jaki sposób zidentyfikuję Mutschmanna?

– Jedyne zdjęcie, jakie mamy, pochodzi z rejestrów więziennych – powiedział Sohst wręczając mi fotografię. Przyjrzałem jej się uważnie. – To zdjęcie jest sprzed trzech lat, w dodatku Mutschmann ma teraz ogoloną głowę, więc to nie będzie łatwe. No i na pewno mocno schudł. W kacecie człowiek się bardzo zmienia. Ale jest coś, co powinno panu pomóc. Na prawym nadgarstku na dużą narośl.

Oddałem mu zdjęcie.

– Wiele mi to nie pomoże. A gdybym odmówił?

– Nie odmówi pan – pogodnie oświadczył Heydrich. – Tak czy owak trafi pan do Dachau. Z tą różnicą, że jeśli będzie pan dla mnie pracował, to pan wyjdzie. No i odzyska swoje pieniądze.

– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– No właśnie – roześmiał się Heydrich. – Gdyby miał pan wybór, to by pan na pewno odmówił. Każdy by odmówił. Dlatego właśnie nie mogę tam wysłać żadnego z moich ludzi. No i nikogo więcej nie chcę dopuszczać do sekretu. Pan, Herr Gunther, jako były policjant, nadaje się idealnie. Ma pan wszystko do zyskania. Albo do stracenia.

– Prowadziłem korzystniejszą dla siebie sprawę.

– Musi pan zapomnieć, kim pan był – szybko wtrącił Sohst. – Mamy dla pana nowe dokumenty. Nazywa się pan Willy Krause i prowadził pan transakcje na czarnym rynku. – Podał mi nowy dowód osobisty. Wklejono do niego moją starą fotografię z czasów Kripo.

– Jeszcze jedno – powiedział Heydrich. – Bardzo mi przykro, ale żeby sprawa wyglądała bardziej prawdopodobnie, musimy zadbać o pański wygląd. Ostatecznie został pan aresztowany i był pan przesłuchiwany. Rzadko się zdarza, by ktoś pojawił się w Columbia Haus bez paru siniaków. Zajmą się tym moi ludzie na dole. Chodzi oczywiście o pana własne bezpieczeństwo.

– Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony – wykszusiłem.

– Przez tydzień przetrzymają pana w Columbia Haus, a potem wyślą do Dachau. – Heydrich wstał. – Życzę panu powodzenia.

Podtrzymując spodnie wstałem także.

– I niech pan pamięta, że pracuje pan dla gestapo. Nie wolno panu o tym nikomu wspomnieć. – Heydrich nacisnął guzik dzwonka wzywając strażnika.

– Czy może mi pan powiedzieć, co stało się z Sixem, Helfferichem i tą jego bandą?

– Owszem, mogę. Cóż, Herr Six znajduje się w areszcie domowym. Nie wystosowano jeszcze pod jego adresem aktu oskarżenia. Znajduje się w szoku wywołanym nagłym zmartwychwstaniem i powtórłą śmiercią córki, nie jest w stanie odpowiadać na pytania. Tragiczny wypadek. Herr Haupthändler zmarł przedwczoraj w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Przestępca znany jako Czerwony Dieter Helfferich został dziś rano stracony w Plötzen, a cały jego gang wysłano do Sachsenhausen. – Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

– Wątpię, żeby Herr Sixa miały spotkać jakieś większe przykrości. Jest zbyt ważną osobistością. Więc jak pan widzi, ze wszystkich aktorów tej nieszczęsnej historii pozostał już jedynie pan. Powinien pan ze wszystkich sił starać się znaleźć rozwiązanie sprawy, chodzi tu już nie tylko o dumę zawodową, ale o pańskie życie.

Dwóch strażników zabrało mnie do mojej celi i dało wycisk. Próbowałem się bronić, byłem jednak zbyt osłabiony brakiem snu i przyzwoitego jedzenia, aby naprawdę stawić opór. Potem zaprowadzono mnie na wartownię SS-manów – była wielkości dużej sali zebrań. Przy masywnych drzwiach siedziała grupka SS-manów grając w karty i popijając piwo, ich pistolety i pałki leżały na sąsiednim stole jak zabawki skonfiskowane przez surowego nauczyciela. Twarzą do ściany stało na baczność około dwudziestu więźniów, kazano mi do nich dołączyć. Młody SS-Sturmman chodził tam i z powrotem, co chwila na kogoś wrzeszczał lub kopał kogoś w tyłek. Kiedy jakiś starzec upadł na kamienną posadzkę, znęcał się nad nim, póki ten nie stracił przytomności. Cały czas do szeregu dołączali nowi więźniowie. Po godzinie była nas już chyba setka.

Długim korytarzem wyprowadzono nas na wybrukowane kocimi łbami podwórze i zaczęto ładować do ciężarówek zwanych „Zielonymi Minnami”. SS-mani do nich nie wsiedli, nikt się jednak nie odzywał. Siedzieliśmy cicho, każdy rozmyślał o domu i o swych bliskich, których być może już nigdy nie zobaczy.

Dojechaliśmy do Columbia Haus i wyrzucono nas z ciężarówek. Usłyszeliśmy, jak na pobliskim lotnisku Tempelhof startuje samolot, kiedy przelatywał nad szarymi murami starego wojskowego więzienia, wszyscy jak jeden mąż spojrzeliśmy w niebo, każdy z nas marzył, by znaleźć się na pokładzie.

– Ruszać się, skurwysyny! – rozdarł się strażnik, zaczęto nas kopać i popychać, aż

znaleźliśmy się na pierwszym piętrze, ustawiono nas w kolumnie, po pięć osób w rzędzie, przed masywnymi drewnianymi drzwiami. Zajął się nami cała menażeria sadystycznych strażników.

– Widzicie te cholerne drzwi! – wrzeszczał Rottenführer, wykrzywił się, jego twarz wyglądała jak paszcza rekina. – Za chwilę za tymi drzwiami przestaniecie być mężczyznami. Powykręcamy wam jaja, żebyście nie tęsknili za żonami i kochankami. – Wybuchnął śmiechem, a za nim cała reszta. Kilku oprawców zabrało pierwszego z mężczyzn do środka, on opierał się i kopał, zamknęły się za nim drzwi.

Wszyscy więźniowie trzęśli się ze strachu, ale ja doszedłem do wniosku, że słowa te były tylko wynikiem dość specyficznego poczucia humoru strażnika, i kiedy nadeszła moja kolej, udało mi się zachować spokój. Wewnątrz kazano mi jeszcze raz wymienić moje nazwisko i adres, obrzucono wyzwiskami jako rzekomego potentata czarnego rynku i znów pobito.

Kiedy prowadzono mnie do celi, usłyszałem ze zdziwieniem chóralny męski śpiew. Śpiewano: „Jeśli masz jeszcze matkę”. Dopiero potem dowiedziałem się, że SS kazało utworzyć chór, jego śpiew miał zagłuszać jęki dochodzące z karnych cel, gdzie mokrym batogiem chłostano nagich więźniów.

Jako gliniarz widziałem w swoim czasie parę więzień – Tegel, Sonnenburg, Plötzen, Brandenburg, Brauweiler – wszędzie tam panowała surowa dyscyplina, więźniowie nie mieli lekko, nigdzie jednak nie panowała taka nieludzka brutalność jak w Columbia Haus i wkrótce zacząłem się zastanawiać, czy nie będzie mi lepiej w Dachau.

W Columbia Haus siedziało około tysiąca ludzi. Jedni mieli, tak jak ja, zostać wkrótce odesłani do kacetu, innych czekał długi pobyt i także kacet. Wielu opuściło to więzienie w czterech sosnowych deskach.

Ponieważ miano mnie wkrótce wywieźć, byłem w celi sam. Nocami marzłem, w celi nie było koca, i bardzo tęskniłem za odrobiną ludzkiego ciepła. Na śniadanie dawali mi kawałek razowego chleba i ersatz kawy. Na obiad znów chleb i kartoflanekę. Latryna był to rów, a nad nim deska, na której zasiadało rzędem wielu więźniów. Raz strażnik przepiłował deskę i paru więźniów znalazło się w kloace. W Columbia Haus lubiano pożartować.

Siedziałem sześć dni, szóstego o północy kazano mi dołączyć do innych więźniów i załadowano na ciężarówkę, która zawiozła nas na dworzec Putlitzstrasse, skąd odchodził transport do Dachau.

Dachau znajduje się mniej więcej o piętnaście kilometrów na północny zachód od Monachium. W pociągu powiedziano mi, że był to pierwszy obóz koncentracyjny w Rzeszy. Wydało mi się to bardzo słuszne, zważywszy, że to Monachium cieszy się opinią kolebki narodowego socjalizmu. Obóz zbudowano wokół ruin fabryki materiałów wybuchowych, otacza go miły dla oka pejzaż, w pobliżu są farmy. W Bawarii jedno tylko jest sympatyczne – pejzaż, ale na pewno nie da się tego powiedzieć o ludziach. Zawsze tak uważałem i przekonany byłem, że nie zmienię zdania w Dachau. W Columbia Haus mówiło się, że Dachau stanowi wzór dla reszty kacetów, to tutaj znajdowała się szkoła dla SS-manów, gdzie mieli się uczyć większej jeszcze brutalności. Okazało się to prawdą.

Strażnicy „pomogli” nam wysiąść z wagonów, jak zwykle kopiąc i waląc kolbami karabinów. Pomaszerowaliśmy na wschód, w stronę wejścia do obozu obok wartowni z bramą, na której widniał napis: „Arbeit macht frei”. Wywołało to stłumiony śmiech więźniów, nikt jednak nie odważył się odezwać.

Przyszło mi na myśl parę rzeczy, które mogłyby człowiekowi pomóc odzyskać wolność, ale nie należała do nich praca. Po pięciu minutach w Dachau najprostszą taką możliwością wydawała się śmierć.

Zaprowadzili nas na wielki plac, gdzie odbywały się apele, na południowym krańcu stał długi budynek ze spadzistym dachem. Na północy droga wysadzana topolami, a z obu stron nie kończące się rzędy baraków. Zamarło mi serce, zdałem sobie sprawę, jak bardzo trudne będą moje poszukiwania. Dachau było ogromne. Wiele miesięcy może upłynąć, nim uda mi się odnaleźć Mutschmanna, nie mówiąc już o tym, że będę się z nim musiał zaprzyjaźnić, jeśli mam go skłonić, by wyznał mi, gdzie ukrył dokumenty. Zacząłem się obawiać, czy całe przedsięwzięcie nie jest sadystycznym wymysłem Heydricha.

Z długiego budynku wyszedł nas powitać komendant obozu. Tak jak wszyscy Bawarczycy miał dość dziwne pojęcie o gościnności. Oferował nam głównie kary. Powiedział, że w okolicy rośnie dość drzew, żeby móc nas wszystkich powiesić. Obiecywał nam piekło na ziemi i nie wątpiłem, że dotrzyma słowa. Jednego nam nie mógł odebrać, a mianowicie świeżego powietrza. Bawaria ma dwie zalety, drugą jest wielkość piersi tutejszych niewiast.

W Dachau był najdziwniejszy w świecie skład męskich ubrań. I najdziwniejszy zakład fryzjerski. Otrzymałem śliczne pasiaki, parę drewniaków i zostałem ostrzyżony. Poprosiłem o brylantynę, ale rzeczywiście skąpałaby na ziemię. Sytuacja odrobinę się poprawiła, gdy wręczono mi trzy koce – duży postęp w stosunku do Columbia Haus – i przydzielono na blok aryjski. W takim bloku mieszkało stu pięćdziesięciu mężczyzn. W blokach żydowskich trzy

razy więcej.

Prawdziwe jest to stare powiedzenie, że zawsze znajdzie się ktoś, kto jest w gorszym położeniu niż ty. Chyba że miałeś pecha urodzić się Żydem. W Dachau nie było aż tak wielu Żydów, ale ich los był najstraszliwszy. Łatwiej im było tylko o śmierć. W aryjskim bloku umierał co noc przeciętnie jeden człowiek, w żydowskim siedmiu lub ośmiu.

Tak, Dachau to nie było miejsce dla Żydów.

Ogólnie biorąc, skład więźniów wiernie odzwierciedlał skład antynazistowskiej opozycji plus trochę osób należących do kategorii ludzi szczególnie przez nazistów znienawidzonych. Byli tu Sozi i Kozi, związkowcy, sędziowie, adwokaci, lekarze, nauczyciele, oficerowie. A także świadkowie Jehowy, masoni, księża katoliccy, Cyganie, Żydzi, homoseksualiści, włóczędzy, złodzieje i paru morderców. Z wyjątkiem paru Rosjan i paru członków rządu austriackiego, wszyscy więźniowie Dachau byli obywatelami niemieckimi. Spotkałem więźnia, który był Żydem i homoseksualistą. Jakby tego było mało, był także komunistą. Trzy winkle. Za dużo szczęścia na raz.

Dwa razy dziennie odbywały się apele na placu, po sprawdzeniu obecności następowała chłosta zwana Jałmużną Hindenburga. Przywiązywano mężczyznę lub kobietę do kozła i wymierzano dwadzieścia pięć uderzeń batogiem w nagie pośladki. Nierzadko ktoś się zesrywał. Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, zrobiło mi się za tego człowieka wstyd, ale współwięźniowie wytłumaczyli mi, że w ten sposób najłatwiej jest odwrócić uwagę oprawcy i parę następnych razów jest lżejszych.

Tylko przy apelach miałem możliwość przyjrzenia się innym więźniom. Starłem się zapamiętać tych, których wyeliminowałem, po miesiącu było ich trzystu.

Nigdy nie zapominam raz widzianej twarzy. To niezbędne, jeśli ma się być dobrym policjantem, właśnie ze względu na ten dar wstąpiłem ongiś do policji. Teraz miało od tego zależeć moje życie. Ale wciąż psuli mi szyki nowo przybyli. Czuję się jak Herkules mający oczyścić stajnie Augiasza.

Jak opisać coś, czego opisać się nie da? Jak mówić o czymś, kiedy myśląc o tym niemiejesz z grozy? Nie potrafiło tego wielu bardziej wymownych ode mnie ludzi. To milczenie rodzi się ze wstydu, nawet najbardziej niewinni stawali się w obozie winnymi. Człowiek wyzbyty praw człowieka zamienia się w zwierzę. Konający z głodu okradają innych konających, myśli się tylko o tym, by przeżyć. Choćby kosztem cierpienia innych;

człowiek przez chwilę czuł się bezpieczny, kiedy to kogo innego bito lub zabijano, a kiedy ktoś zmarł koło ciebie na pryczy, następnego dnia mogłeś zjeść jego porcję.

Żeby pozostać żywym, trzeba było najpierw trochę umrzeć.

Wkrótce po moim przybyciu do Dachau postawiono mnie na czele komanda Żydów, którzy mieli zbudować warsztaty w zachodnim kącie obozu. Trzeba było w kamieniołomach ładować na wózki kawałki skały, ważące często trzydzieści kilo, i ciągnąć te wózki na górę, a potem jeszcze paręset metrów na plac budowy. Nie wszyscy SS-mani w Dachau byli skurwysynami, niektórzy zachowywali umiar, czerpali zresztą dodatkowe korzyści z taniej pracy utalentowanych więźniów, których w kacecie nie brakowało, zatem nie zależało im na tym, by ci zapracowywali się na śmierć. Ale SS-mani nadzorujący budowę byli prawdziwymi skurwielami. W większości byli to bawarscy chłopcy, których sadyzm nie dorównywał wyrafinowaniem sadyzmowi, z jakim zetknąłem się w Columbia Haus, za to był równie skuteczny. Moja praca była lekka, jako kapo komanda nie musiałem ładować kamieni, jednakże Żydzi musieli pracować ponad siły. SS-mani wyznaczali krótkie terminy na zbudowanie czy to fundamentów, czy ściany, niedotrzymanie terminu oznaczało brak pożywienia i wody. Ci, którzy z wyczerpania padali, byli dobijani na miejscu.

Z początku pomagałem Żydom w pracy, SS-manów bardzo to bawiło, a Żydom było niewiele lżej. Któregoś dnia jeden z postów spytał się mnie:

– Ty kochasz Żydów, czy co? Nie rozumiem. – Nie musisz im pomagać, więc na co ci to?

Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Potem oświadczyłem:

– Nie rozumie pan, Herr Post... Właśnie dlatego to robię.

Myślałem, że mnie zdzieli, ale się tylko roześmiał.

– Twój pogrzeb!

Wkrótce uświadomiłem sobie, że ma rację. Ta praca, zabijała mnie tak samo jak Żydów z mego komanda. Przestałem pracować. Było mi wstyd i kiedy któryś z więźniów upadł, schowałem go pod pustymi wózkami, żeby doszedł do siebie. I zacząłem to robić systematycznie, choć wiedziałem, że ryzykuję chłostę. W Dachau pełno było donosicieli. Ostrzegało mnie przed nimi wielu więźniów, nie było to pozbawione ironii, ja też byłem w pewnym sensie konfidentem.

Nie złapano mnie na gorącym uczynku ochraniać Żydów, ale poddano mnie przesłuchaniu, pewnie więc rzeczywiście padłem ofiarą donosu. Skazano mnie na dwadzieścia pięć batów. Mniej bałem się bólu niż tego, że po chłościę znajdę się w szpitalu.

Większość pacjentów miała tyfus lub dyzenterię, szpitala więc należało za wszelką cenę unikać. SS-mani nigdy tam nie zaglądali. Co będzie, jak się zarażę? Wówczas nie uda mi się już odnaleźć Mutschmanna.

Apel trwał zwykle godzinę, tego ranka wydawało mi się że trwa trzy.

Przywiązali mnie do kozła i ściągnęli spodnie. Próbowałem się zesrać, ale ból był tak straszny, że nie mogłem się na tym skoncentrować. Pewnie zresztą nie miałem czym srać. Po chłóście odwiązano mnie, chwilę stałem, a potem zemdlałem.

Przez długi czas wpatrywałem się w zwisającą rękę leżącego na górnej pryczy mężczyzny. Nawet nie drgnęła, zastanawiałem się, czy ten człowiek żyje. Leżałem na brzuchu, spróbowałem się podnieść i zawyłem z bólu. Ktoś do mnie podszedł.

– Jezu – westchnąłem, czując, że spływa mi po twarzy pot. – Boli gorzej niż przedtem.

– Lekarstwo działa. – Mężczyzna miał koło czterdziestki, zęby wyglądały jak zęby królika, włosy pochodziły chyba ze starego materaca. Był wychudzony, jego ciało wyglądało tak, jakby leżało w formalinie, do kurtki miał przyszytą żółtą gwiazdę.

– Lekarstwo? – W moim głosie zabrzmiała nuta niedowierzania.

– Tak, chlorek sodu, czyli zwykła sól kuchenna. Posypałem nią rany.

– Dobry Boże, czyżbym stał się omletem?

– Nie, ale ja jestem lekarzem. Pieprzonym, ale lekarzem. Wiem, że to parzy jak pokrzywa w kondomie, ale nie mam innych środków, by wydezynfekować rany. – Mówił aktorskim głosem. – Ma pan szczęście. Pana wyleczę. Chciałbym móc to samo powiedzieć o tych nieszczęśnikach. Ale mam tylko tyle leków na rewirze, ile się udało ukraść z kuchni.

Spojrzałem na pryczę nade mną i na tę zwisającą rękę. Nigdy jeszcze widok żadnej ręki nie sprawił mi takiej przyjemności... Na nadgarstku była duża narośl. Doktor stanął na mojej pryczy, by zbadać mego sąsiada. Potem zlął i znów spojrzał na mój goły tyłek.

– Wygrzebie się pan.

Wskazałem głową na tamtą pryczę.

– Co jemu jest?

– Sprawiał panu jakieś kłopoty?

– Nie.

– Miał pan żółtaczkę?

– Tak.

– No to chwała Bogu. Nie zarazi się pan. Tylko niech pan go nie całuje ani się z nim nie pieprzy. Postaram się przenieść go na inną pryczę, żeby na pana nie nasiusiał. Odchody są

zaraźliwe.

– A niby czym bym się miał zarazić?

– No właśnie żółtaczką. Położymy pana na górnej pryczy, a jego na dolnej. Jak mu się będzie chciało pić, da mu pan wody.

– Jasne – odpowiedziałem. – Jak się nazywa? Doktor westchnął.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Bardzo to było przykre, gdy flegerzy przenosili mnie na górną pryczę. Spojrzałem w dół żeby się przyjrzeć człowiekowi, dzięki któremu mogłem wyjść z Dachau. Nie zanosilo się na to. Zdjęcie, które oglądałem w biurze Heydricha, nie pomogło mi w zidentyfikowaniu Mutschmanna, był tak wychudzony i żółty. Ale narośl. Leżał pod kocem, trzęsła nim gorączka, od czasu do czasu jęczał z bólu. Obserwowałem go, ku mojej wielkiej uldze w którymś momencie odzyskał przytomność, jednakże tylko na chwilę, wyrzygał się i znów leżał jak kłoda. Jasne było, że Mutschmann umiera.

Oprócz lekarza, który nazywał się Mendelssohn, i paru flegerów, też zresztą chorych, w bloku szpitalnym było około sześćdziesięciu mężczyzn i kobiet. Szpital ten należałoby raczej nazwać kostnicą. Byli tu dwojakiego rodzaju pacjenci: chorzy, którzy nieodmiennie umierali, i ranni, którzy często zarażali się jakąś chorobą.

Wieczorem, nim się ściemniło, Mendelssohn przyszedł przyjrzeć się moim ranom.

– Rano oczyszczę je i znów posypię solą. – Spojrzał bez zainteresowania na Mutschmanna.

– A co z nim? – Było to głupie pytanie i wywołało podejrzliwość lekarza. Zwężyły mu się oczy.

– Radziłbym mu unikać alkoholu, pieprzonych potraw i odpoczywać – powiedział sarkastycznie.

– Rozumiem.

– Nie chciałbym się wydać gruboskórny, ale nic dla niego nie mogę zrobić... Gdyby dostawał glukozę, witaminy i był na odpowiedniej diecie, miałby szansę.

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Chce pan wiedzieć, czy odzyskuje czasem przytomność?

Skinąłem głową, Mendelssohn westchnął.

– Trudno powiedzieć. Za dzień, dwa zacznie się koma. Nie mam nawet dla niego morfiny. W tej klinice jedyną kuracją, na którą mogą liczyć pacjenci, jest śmierć.

– Wezmę to pod uwagę.

– Uważaj, żeby nie zachorować, przyjacielu. Panuje tu tyfus. Jeśli poczuje pan

gorączkę, proszę wypić dwie łyżki własnej uryny, czasem to pomaga.

– Muszę się wystarać o czystą łyżkę... Dzięki za dobrą radę.

– Dam panu jeszcze jedną. Kiedy tylko będzie się pan mógł utrzymać na nogach, radzę stąd zmykać. Tylko szalenciec zostałby tu dłużej, niż musi.

– A pan? Przysięga Hipokratesa?

Mendelssohn wzruszył ramionami.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Na chwilę zasnąłem. Choć zamierzałem czuwać i pilnować, czy Mutschmann nie odzyska przytomności. Pewnie wyobrażałem sobie, że nastąpi wrzuszająca scena filmowa, kiedy umierający zwierza się temu, kto siedzi przy jego łożu śmierci.

Kiedy obudziłem się, było ciemno, usłyszałem chrapanie, kaszel, pode mną Mutschmann wymiotował. Schyliłem się i w świetle księżycy zobaczyłem, że opiera się na łokciu, trzymając za brzuch.

– Wszystko gra? – spytałem.

– A jakże – wysapał. – Jestem nieśmiertelny jak te przeklęte żółwie z Galapagos. – Znów zaczął sapać i przez zaciśnięte zęby wydukał: – Tylko te cholerne kurcze w żołądku.

– Chcesz wody?

– Tak. Wyszło mi w ustach jak nie przymierzając w... – Znów zaczął wymiotować. Złazłem niezdarnie na dół i przysunąłem mu pokrywę kubła. Mutschmann szczękając zębami napił się hałaśliwie wody. Potem westchnął i położył się.

– Dziękuję, przyjacielu – powiedział.

– Nie ma za co. Też byś to dla mnie zrobił.

Usłyszałem, że kaszle, ale brzmiało to trochę jak chichot.

– O, nie – wystękał. – Bałbym się zarazić. Nie wiesz, co mi właściwie jest?

Chwilę się zastanawiałem. Potem powiedziałem:

– Masz hepatitis.

Dłuższy czas milczał, poczułem wstyd. Powinienem mu zaoszczędzić gorzkiej prawdy.

– Dziękuję za szczerość. A tobie co jest?

– Jałmużna Hindenburga.

– Za co?

– Pomogłem jednemu Żydowi w moim komandzie.

– Bardzo głupio – szepnął. – Oni tak czy owak umrą. Jeśli już musisz pomagać, to wybierz kogoś, kto ma jakieś szanse. Ale nie Żyda. On ich nie ma.

– Cóż, tobie także nie udało się wygrać na loterii.

Zaśmiał się.

– Co prawda, to prawda – rzekł. – Nigdy mi nie przyszło na myśl, że zachoruję. Byłem pewien, że wyjdę cało z tego pieprzonego obozu. Miałem lekką pracę w warsztacie szewskim.

– Cholerny pech – przyznałem.

– Umieram, tak? – spytał.

– Lekarz jest dobrej myśli.

– Nie zalewaj. Ale dziękuję ci. Jezu, dałbym wszystko za gwoździa.

– Ja też.

– Nawet za peta. – Umilkł. Potem dorzucił: – Wiesz, coś ci powiem. Pilnowałem się, żeby mój głos nie zabrzmiał zbyt skwapliwie.

– A co?

– Nie pieprz w tym obozie żadnej babki. Jestem pewny, że się zaraziłem.

– Nie będę. Dziękuję, że mnie uprzedzasz.

Następnego dnia wymieniłem chleb na parę papierosów i czekałem, by Mutschmann na chwilę oprzytomniał. Większość dnia leżał w delirium. Kiedy odezwał się do mnie, mówił tak, jakby nasza poprzednia rozmowa odbyła się przed paroma minutami.

– Jak się czujesz? Co z ranami?

– Bola – powiedziałem, schodząc z pryczy.

– No myślę. Ten pierdolony sierżant wali jak opętany. – Nachylił nade mną wychudłą twarz. – Wiesz, mam uczucie, że cię skądś znam.

– Zastanówmy się – powiedziałem. – Klub tenisowy Rot Weiss? Herren Klub? A może spotkaliśmy się w Excelsiorze?

– Nie truj...

Zapaliłem papierosa i włożyłem mu do ust.

– No to w operze. Jestem tam stałym bywalcem. Albo na ślubie Göringa?

Żółte, cienkie wargi rozchylił uśmiech. Potem Mutschmann zaciągnął się dymem, jakby to był czysty tlen.

– Magik z ciebie – powiedział rozkoszując się papierosem. Wyjąłem mu go na chwilę z ust. – Nie, to nie było tam. Ale sobie przypomnę.

– Na pewno – powiedziałem, wcale o tym nie marząc. Przez chwilę chciałem wymienić więzienie w Tegel, jednakże się powstrzymałem. Gotów pamiętać, że nie, i wtedy byłbym w jego oczach skończony.

– Za co siedzisz? Sozi, Kozi?

– Za czarny rynek. A ty?

Uśmiechnął się szeroko szczerząc zęby.

– Ja się tu ukrywam.

– Tutaj? Przed kim?

– Przed wszystkimi.

– W tym piekle? Zwariowałeś.

– Ale tutaj nikt mnie nie będzie szukał – powiedział. – Gdzie ukryłbyś kroplę deszczu?

– Zrobiłem głupią minę, a on wyjaśnił: – W jezioru pod wodospadem. Tak mówi chińska filozofia. No co, znalazłbyś taką kroplę?

– Nie, ma pewno nie. Ale musiałeś być strasznie zdesperowany.

– Miałem pecha... zachorowałem... Inaczej bym stąd wyszedł... za rok, dwa... Przez ten czas... przestaliby mnie szukać.

– Kto? – spytałem. – Za co ciebie ścigają?

Zamknął powieki i papieros wypadł mu z ust na koc. Podciągnąłem mu koc pod brodę i zgasilem papierosa mając nadzieję, że znów oprzytomnieje i wypali drugą połówkę.

W ciągu nocy Mutschmann ledwie oddychał, rano Mendelssohn oświadczył, że lada chwila zacznie się koma. Nic nie mogłem zrobić, tylko czekać leżąc na brzuchu. Rozmyślałem o Inge, ale głównie martwiłem się własnym losem. W Dachau ceremonie pogrzebowe były proste – palono cię w krematorium i koniec pieśni. Kiedy patrzyłem, jak jady zatrują całą ciało Kurta Mutschmanna, zacząłem zastanawiać się nad losem mojej ojczyzny, którą też zżera trucizna. Dopiero tu, w Dachau, zdałem sobie sprawę, że atrofia prowadzi nieuchronnie do nekrozy, a kiedy zaczną się straszne bóle, Niemcom także – tak jak biednemu Mutschmannowi – nikt nie poda morfiny.

W Dachau było kilkoro dzieci, urodziły je więźniarki. Dzieci te nie znały życia poza obozem. Bawiły się na całym terenie, tolerowane przez postów, nie wolno im było tylko zbliżać się do szpitalnego baraku. Za nieposłuszeństwo groziło lanie.

Mendelssohn pod jedną z prycz ukrywał dziecko ze złamaną nogą. Chłopiec bawił się w kamieniołomie, spadł i od trzech dni leżał tu z nogą w łupkach. Przyszli po niego SS-mani. Tak się przeraził, że połknął własny język i się udusił.

Kiedy przyszła go odwiedzić matka, trzeba jej było zaanonsować tę potworną nowinę. Mendelssohn wywiązał się z zadania jak prawdziwy profesjonalista. Ale potem usłyszałem, że szłocha.

– Hej, ty tam. – Podskoczyłem słysząc z dołu ten głos. Nie, nie spałem, tylko za mało uważnie obserwowałem pryczę Mutschmanna. Przeraziłem się, że już od dawna jest przytomny. Zlazłem na dół i uklęknąłem przy jego pryczy. Usiąść wciąż jeszcze nie mogłem. Wyszczerył zęby i chwycił mnie za ramię.

– Przypomniałem sobie – powiedział.

– A co?

– Gdzie cię widziałem.

Zrobiłem obojętną minę, ale zaczęło mi się tłuc serce. Jeśli przypomniał sobie, że widział mnie jako policjanta, to po herbacie. Były więzień nigdy nie zaprzyjaźni się z gliniarzem. Nawet jeśli znajdą się tylko we dwóch na bezludnej wyspie, to i tam napluje mu w twarz.

– Byłeś hotelowym detektywem – zarechotał. – W „Adlonie”. Prawda? Kiedyś trafiła mi się tam robota.

– Masz dobrą pamięć. Jaka była twoja specjalność?

– Kasy.

– Nie przypominam sobie, żeby kiedyś obrabowano sejf w „Adlonie”. W każdym razie nie za moich czasów.

– Bo niczego nie ukradłem – powiedział dumnie. – Och, otworzyłem sejf. Ale nie znalazłem w nim niczego, co by warto było zabrać.

– Tak mówisz, a ja ośmielam się wątpić. W hotelu stale mieszkają jacyś bogacze, oni zaś mają klejnoty. Rzadko się zdarza, żeby sejf świecił pustką.

– To prawda. Po prostu miałem pecha. Nie było tam nic, co bym mógł szybko upłynnić. Nie warto brać czegoś, czego nie da się sprzedać.

– W porządku, wierzę ci – oświadczyłem.

– Nie przechwalam się, ale byłem najlepszym kasiarzem w Berlinie. Potrafiłem otworzyć każdy sejf. Założę się, że uważasz mnie za bogacza.

Wzruszyłem ramionami.

– Raczej uważam, że skazany byłeś na trafienie do więzienia. I trafiłeś.

– Właśnie dlatego, że jestem bogaty, muszę się tu ukrywać – oświadczył. – Już ci chyba o tym mówiłem, nie?

– Coś wspominałeś, tak. – Chwilę pomilczałem, nim spytałem: – A na czym polega twoje bogactwo? Forsa? Paciorki?

Znów zarechotał.

– Coś znacznie lepszego. Coś, co zapewni mi władzę.

– Władzę? A co to jest?

– Dokumenty – odparł. – Wierz mi na słowo, że wielu ludzi słono by mi za te dokumenty zapłaciło.

– Jakie dokumenty?

Jego oddech był coraz bardziej płytki.

– Sam dokładnie nie wiem. Nazwiska, adresy, informacje. Ale z ciebie sprytny facet, na pewno byś się w tym połapał.

– Masz je gdzieś tutaj?

– Głupi jesteś, czy co? – Ledwie dyszał. – Są w bezpiecznym miejscu.

Wyjąłem mu z ust zgasłego papierosa i rzuciłem na podłogę. Potem dałem mu swojego.

– Szkoda by było... żeby się zmarnowały... Byłeś dla mnie dobry... Weź je... I daj tym skurwysynom popalić... – Opadły mu powieki. Wziąłem go za ramiona i potrząsałem, chcąc, by odzyskał świadomość.

By wrócił do życia.

Chwilę przy nim klęczałem. O ile w ogóle byłem jeszcze w stanie coś odczuwać, czułem się potwornie przygnębiony. Mutschman był młodszy ode mnie, był silny. Ja też mogłem łatwo zachorować. Potwornie schudłem, miałem liszaje, ruszały mi się zęby. Ten człowiek Heydricha, SS-Oberschutz Bürger, nadzorował warsztaty stolarskie, zastanawiałem się czy pójść do niego i wypowiedzieć to umówione hasło, które pozwoli mi opuścić Dachau. Co zrobi ze mną Heydrich, gdy dowie się, że nie mam pojęcia, gdzie ukryto papiery von Greisa? Odeśle mnie do kacetu? Skaże na śmierć? A jeśli wciąż nie będę dawał znaku życia, czy dojdzie do wniosku, że mi się nie powiodło, i pomyśli, by mnie wyciągnąć z obozu? Z tego, co o nim wiedziałem, najprawdopodobniej nie. Trudno mi było pogodzić się z myślą, że byłem o krok od celu i nie udało mi się go osiągnąć.

Po jakimś czasie naciągnąłem koc na pozołkłą twarz Mutschmanna. Z pryczy stoczył się ogryzek ołówka. Wpatrywałem się w niego bezmyślnie, aż nagle coś mnie olśniło i znów poczułem nadzieję. Ściągnąłem z Mutschmanna koc. Miał zaciśnięte pięści. Zacząłem odginać palce. W lewej ręce zaciskał skrawek brązowego papieru, w który szewcy zawijali zreperowane buty SS-manów. Nie od razu rozwinąłem kulkę, strasznie bałem się, że nic nie zdążył napisać. Napisał, ale odcyfrowanie zajęło mi niemal godzinę. Przeczytałem: „Biuro rzeczy znalezionych, Saarlandstr. Zgubiłeś w lipcu na Leipzigerstr teczkę z brązowej skóry, mosiężny zamek, na rączce plama z atramentu. Złote inicjały K.M. W środku pocztówka z Ameryki, powieść Karola Maya „Old Surehand” i dokumenty. Dziękuję – K. M.”

Najdziwniejszy bilet powrotny do domu, jaki komuś udało się otrzymać.

Rozdział 19

Wszędzie mundury. Nawet sprzedawcy gazet nosili czapki i płaszcze SA. Żadnych apeli, żadnych Żydów. Chyba dopiero teraz, po pobycie w Dachau, uświadomiłem sobie w pełni, jak nazizm zawładnął Niemcami.

Szedłem w kierunku biura. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, skąd Himmler wysłał do Paula Pfarra swoje memorandum w sprawie korupcji, mieściło się, jakże niestosownie, między grecką ambasadą i Galerią Sztuki Schultzego. Kiedy mijałem je, zatrzymało się przed frontowym wejściem auto i wysiadło z niego dwóch oficerów i dziewczyna w mundurze. Była to Marlene Sahn. Przystanąłem i już chciałem się z nią przywitać, ale w ostatniej chwili opanowałem się. Minęła mnie obojętnie. Jeśli poznała mnie, to świetnie potrafiła to ukryć. Patrzyłem za nią, gdy wchodziła do budynku. Nie mogło to trwać dłużej niż minutę, wystarczyło jednak, by zwrócił na mnie uwagę tłusty mężczyzna w nasuniętym na czoło kapeluszu.

– Dokumenty – powiedział lakonicznie, nie zadając sobie trudu, by pokazać legitymację albo odznakę Sipo.

– A niby komu mam je pokazać?

– Mnie – wyszczał mężczyzna, jego źle ogolona, wieprzowata twarz zbliżyła się do mojej.

– Wie pan co, bardzo się pan myli, jeśli sądzi pan, że ma pan tak zwaną władczą osobowość. Więc niech się pan nie wygłupia i sam najpierw wylegitymuje.

Przed nosem błysnęła mi legitymacja Sipo.

– Strasznieście się zrobili leniwi – powiedziałem wyjmując dokumenty. Porwał je i zaczął studiować.

– Czemu pan tu wystaje? – spytał.

– Wystaję? Wcale nie wystaję – odparłem. – Zatrzymałem się na chwilę, by podziwiać architekturę tego gmachu.

– To dlaczego przyglądał się pan tym oficerom?

– Nie przyglądałem się żadnym oficerom. Przyglądałem się dziewczynie. Uwielbiam

dziewczyny w mundurach.

Oddał mi papiery

– Niech pan się zmywa!

Przeciętny Niemiec godzi się z najbardziej obraźliwym traktowaniem ze strony każdej władzy. Uważam się za typowego Niemca, ale nie pod tym względem, muszę przyznać, że z natury skłonny jestem stawiać wszelkiej władzy opór. To dziwne, jeśli się zważy, że byłem kiedyś policjantem.

Na Königstrasse odbywała się zbiórka na Pomoc Zimową, co chwila ktoś potrząsał ci pod nosem czerwoną puszką, choć dopiero zaczął się listopad. Ongi utworzono Pomoc Zimową, by złagodzić skutki kryzysu i bezrobocia, teraz uważano to niemal powszechnie za finansowy i psychologiczny szantaż Partii. Pomoc Zimowa zbierała fundusze, ale głównie służyła psychologicznemu naciskowi: uczono ludzi, że mają ze wszystkiego zrezygnować na rzecz Ojczyzny. Co tydzień zbierano na cele innej organizacji, tym razem chodziło o kolejarzy.

Polubiłem w życiu tylko jednego kolejarza, ojca mojej dawnej sekretarki, Dagmarr. Ledwie zagryzając usta wręczyłem komuś dwadzieścia fenigów, zaraz zaczepił mnie następnym kwestarz. Choć miałem w kłapie odpowiedni papierowy znaczek. Ale to tylko zachęcało, byłem potencjalnym dawcą. Nie dlatego jednakże odepchnąłem, klnąc, grubasnego kolejarza. Po prostu zobaczyłem, że za pomnikiem przed Ratuszem znika Dagmarr.

Usłyszała moje pospieszne kroki i zatrzymała się. Staliśmy trochę zakłopotani przed pomnikiem w kształcie urny, napis głosił: „Pamiętaj o Pomocy Zimowej”.

– Bernie... – powiedziała.

– Cześć, Dagmarr, właśnie o tobie myślałem. – Dotknąłem niezdarnie jej ramienia. – Strasznie się zmartwiłem, usłyszawszy o Johannesie.

Uśmiechnęła się dzielnie i podciągnęła pod szyję płaszcz.

– Schudłeś, Bernie. Chorowałeś?

– To długa historia. Miałabyś czas napić się kawy?

Poszliśmy do „Alexanderquelle”, na Alexanderplatz, gdzie zamówiliśmy prawdziwą mokrą i prawdziwe bułeczki z prawdziwym dżemem i prawdziwym masłem.

– Mówi się, że Göring wymyślił nowy sposób produkcji masła, a mianowicie z węgla.

– Nie wygląda na to, żeby sam jadał takie masło – zaśmiałem się uprzejmie. – A czy słyszałaś już, że w Berlinie nie można dostać cebuli – zużyto wszystkie na produkcję gazów trujących dla Japończyków, którzy wypróbują je w Chinach.

Po chwili spytałem Dagmarr, czy chce rozmawiać o Johannesie.

– Niewiele mam do powiedzenia – powiedziała z żalem.

– Jak to się stało?

– Wiem tylko, że zginął podczas nalotu lotniczego na Madryt. Zawiadomił mnie o tym jeden z jego kolegów. Od władz otrzymałam list składający się z jednej linijki: „Pani mąż poległ w imię honoru Niemiec”. Też coś! – pomyślałam. – Wypiła łyk kawy. – Potem kazano mi się zgłosić w Ministerstwie Lotnictwa i podpisać zobowiązanie, że nikomu o tym nie powiem i nie będę nosić żałoby. Wyobrażasz to sobie, Bernie? Nie wolno mi oplakiwać własnego męża. W przeciwnym razie nie dostanę renty. – Uśmiechnęła się z goryczą i dorzuciła: – „Ty jesteś niczym, wszystkim jest twój naród”. Oni tak naprawdę myślą. – Wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

– Nie docenia się panteizmu nazistów – orzekłem. – Jednostka nie ma znaczenia. W obecnych czasach nawet twoja własna matka uważa twoje zniknięcie za coś najbardziej naturalnego. Nikt nie przejmuje się losem pojedynczego człowieka.

W myśli dodałem: nikt poza mną. Od chwili wyjścia z Dachau zajmowałem się tylko i wyłącznie zniknięciem Inge Lorenz.

Poszukiwanie kogoś w Niemczech tej jesieni 1936 roku to było, jakbyś próbował coś znaleźć w wielkiej szufladzie, której zawartość wyrzucono na podłogę, a potem znów włożono do środka. Po jakimś czasie mój impet zmalował, zniechęciła mnie obojętność otoczenia. Dawni koledzy Inge z gazety wzruszali ramionami i mówili, że wcale jej tak dobrze nie znali. Sąsiedzi potrząsali głowami i przekonywali mnie, że do takich rzeczy należy podchodzić filozoficznie. Otto, jej wielbiciel z DAF-u, uważał, że należy spokojnie czekać, na pewno da ona wkrótce znak życia. Nie mogłem ich winić. Kiedy człowiek łąsieje, nie przejmuje się losem jednego wioska.

Długie, samotne wieczory spędzałem w towarzystwie przyjaznej butelki zastanawiając się, co mogło stać się z Inge. Wypadek samochodowy i amnezja, załamanie nerwowe, a może popełniła jakieś przestępstwo i musiała natychmiast zniknąć? Ale wciąż uważałem za najprawdopodobniejsze, że została porwana i zamordowana, i że miało to związek z prowadzoną przeze mnie sprawą.

Po dwóch miesiącach, kiedy zwykle gestapo odkrywało już swoje karty, Bruno Stahlecker, który został tymczasem przeniesiony na mało ważny posterunek w Spreewald, wciąż nie znalazł żadnego śladu – nie została więc chyba ani wysłana do kacetu, ani stracona. Wiele razy powracałem do domku Haupthänllera nad Wannsee, mając nadzieję, że natrafię tam na jakiś trop, ale żadna z moich wypraw nie przyniosła rezultatu.

Dopóki nie wygasła umowa o najem, często chodziłem do mieszkania Inge i

przeszukiwałem je, myśląc, że może miała jakąś tajemnicę, o której mi nie wspomniała. Jednocześnie po trochu zapominałem jej twarz, nie miałem żadnej fotografii. I po trochu uświadamiałem sobie, jak mało o Inge wiem. Zawsze wydawało mi się, że będzie mnóstwo czasu na to, by się pytać.

Tygodnie zamieniały się w miesiące i uprzytomniłem sobie, że coraz mniej jest szans na odnalezienie Inge. Ślady zacierały się, nadzieja nikła. Czułem – wiedziałem, że więcej jej nie zobaczę.

Dagmarr zamówiła następną kawę i opowiadaliśmy sobie, co robimy. Ale nie wspominałem o Inge ani o Dachau. O takich rzeczach nie da się rozmawiać przy porannej kawie....

– Jak interesy? – spytała.

– Kupiłem sobie nowy wóz, Opla.

– No to widzę, że ci się dobrze powodzi.

– A co z tobą?

– Wróciłam do rodziców. Dużo przepisuję w domu na maszynie. Głównie doktoraty studentów. – Udało jej się uśmiechnąć. – Ojciec bardzo się tym niepokoi. Wiesz, lubię pracować nocą i stukanie maszyny już trzy razy w ciągu trzech tygodni sprowadziło gestapo. Szukają ludzi, którzy piszą do podziemnych gazet. Na szczęście, to co przepisywałam, było pełne czołobitności wobec narodowego socjalizmu. Ojciec jednak ciągle się niepokoi, że sąsiedzi pomyślą, że interesuje się nami gestapo.

Po jakimś czasie zaproponowałem, byśmy się wybrali do kina. – Dobrze – powiedziała. – Ale nie zniosę żadnego z tych patriotycznych filmów.

Po wyjściu z kawiarni kupiliśmy gazetę.

Na pierwszej stronie było zdjęcie dwóch Hermannów: Göringa i Sixa, jak ściskają sobie dłonie. Göring się szeroko uśmiechał, zabrakło jednak uśmiechu na twarzy Sixa; wyglądało na to, że premierowi udało się przeprowadzić, by stalownie korzystały wyłącznie z krajowej rudy żelaznej. Zajrzałem na stronę poświęconą rozrywce.

– Może obejrzymy „Czerwoną Carycę” w Tauenzienpalast? – zaproponowałem. Dagmarr oznajmiła, że widziała ją już trzy razy.

– Może raczej „Wielką namiętność” z Ilse Rudel. To chyba jej najnowszy film. Lubisz ją, co? Wszyscy mężczyźni za nią szaleją.

Pomyślałem o tym młodym aktorze, Waitherze Kolbie, którego przysłała, by mnie zabił, a którego zabiłem ja. Rysunek na ogłoszeniu pokazywał ją w welonie zakonnicy. Nawet gdybym nie wiedział o niej tyle, ile wiedziałem, uważałbym, że została obsadzona w zupełnie

niewłaściwej roli.

Ale już się niczemu nie dziwię. Przywykłem do życia w świecie, który wyszedł z zawiasów, jakby uległ trzęsieniu ziemi.

– Tak – powiedziałem. – To świetna aktorka.

Poszliśmy do kina. Czerwone gabloty „Stürmera” wróciły na rogi ulic i ta gazeta Streichera zionęła jeszcze większym jadem.